tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 50 (1353)
8-14.12.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. STANISŁAW FILIPOWICZ
DLACZEGO NAS TAK NIE LUBIĄ?

TVP INFO: CZY NOWY SZEF OŻYWI TRUPA?

ROBERT WALENCIAK
STAN WOJENNY. GRA JARUZELSKIEGO

NA CO **RYDZYK** WYDAŁ MILIONY

1% Polaków ma 30% Polski

JAK TO SIĘ STAŁO?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311508 50

eprasa.pl 7d57c361f1

PODARUJ ISKRY NA ŚWIĘTA

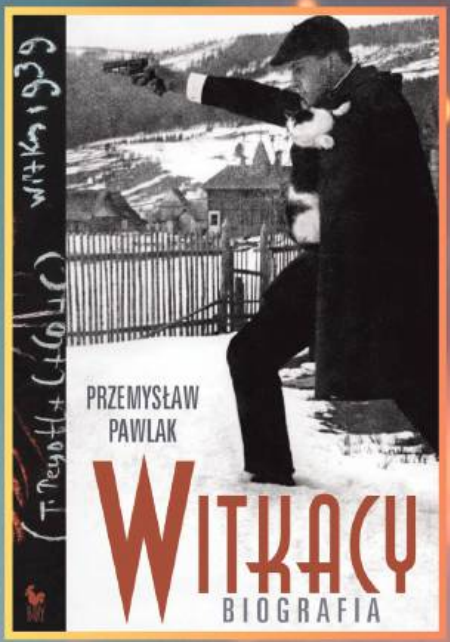

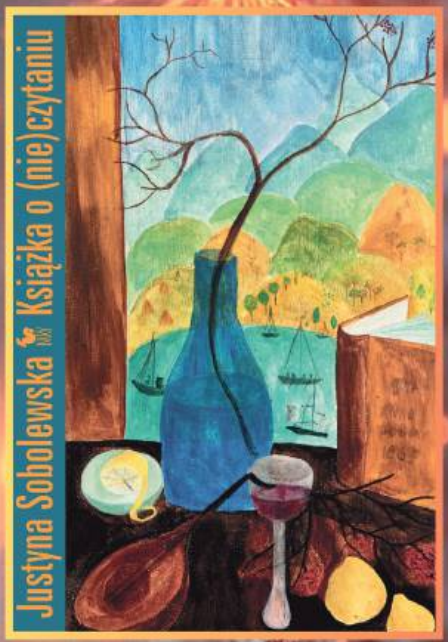

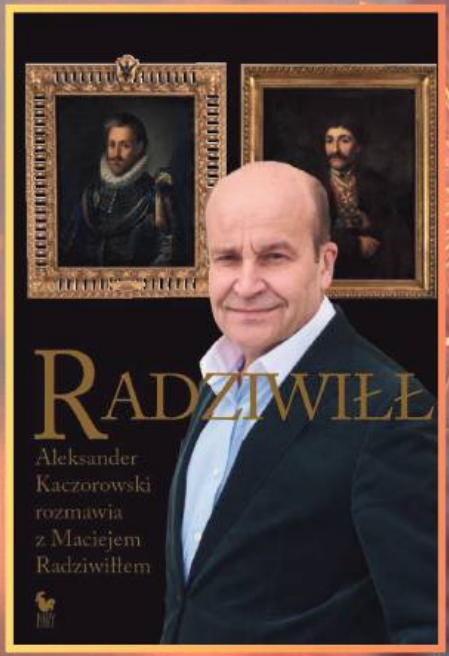

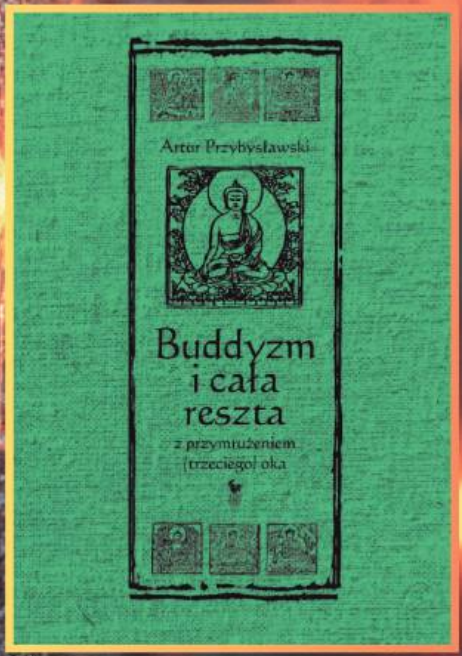

eprasa.pl 7d57c28

Prywatna spuścizna Kwaśniewskiego

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Jak szybko to minęło. 30 lat temu Polacy wybrali Aleksandra Kwaśniewskiego. Po raz pierwszy. A kilka dni temu najlepiej oceniany polski prezydent przekazał swoje archiwum do zasobu Archiwum Akt Nowych. Przerwał w ten sposób marną tradycję sprzedawania przez polityków prywatnych dokumentów za granicę. Na usprawiedliwienie można powiedzieć, że nie zostali oni wyposażeni przez ojczyznę na czas emerytury w środki pozwalające na w miarę godziwe życie. Znałem i znam polityków, którzy ciężko pracowali i nie ulegli pokusom, które stwarzała im władza. Dla tego typu ludzi potrzebne jest rozwiązanie systemowe, wspierające tę wcale niemałą grupę państwowców. Są dla nas bardzo ważni, bo stanowią przeciwwagę dla rozmaitych przekrętasów i złodziei. Uczciwa służba państwu polskiemu musi być premiowana i lepiej nagradzana.

O tym, jakie są osiągnięcia i prawdziwy dorobek polityka, świadczą dokumenty z okresu, gdy sprawował władzę, które może pokazać. Aleksander Kwaśniewski jest tu prekursorem, bo po raz pierwszy w historii spuścizna archiwalna byłego prezydenta trafiła do zasobu państwowego. I liderem w dużej grupie znaczących polityków, którzy odpowiadali za Polskę po 1990 r.

O dorobku Aleksandra Kwaśniewskiego mówią dokumenty i niepodważalne fakty. Są w tym zbiorze także pisma nieznane dotąd opinii publicznej, jak tzw. memorandum Jana Pawła II z 2002 r. Papież miał już wtedy problem z mówieniem i wolał pisać.

Dokumentowanie historii najnowszej, czasu transformacji ustrojowej, procesów politycznych i społecznych, jakie zachodziły po zmianie systemu, jest bardzo ważne dla uczciwej oceny tego, co wówczas się stało. Nie da się tego zrobić bez dokumentacji, która ma dla badaczy, analityków i historyków wyjątkową wartość naukową.

Po to, by państwo mogło w sposób mądry i systemowy gromadzić dokumenty o wartości historycznej, jest Archiwum Akt Nowych. Trzeba je dofinansować i chuchać na nie, by było profesjonalną placówką z najlepszymi archiwistami. Tym bardziej że ma już zgromadzone spuścizny po tak wybitnych postaciach jak Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński, Ignacy Jan Paderewski, Tadeusz Mazowiecki i prof. Zbigniew Religa. Teraz dołączył do nich Aleksander Kwaśniewski. Prezydent z czasów wielkich przemian, wejścia Polski do Unii Europejskiej, uchwalenia konstytucji.

Szanowni Czytelnicy, szykujemy prenumeratę „Przeglądu" za pośrednictwem paczkomatów InPost. Proszę sprawdzić, gdzie jest najbliższy paczkomat, i pomyśleć, czy nie byłaby to najlepsza forma zakupu naszego tygodnika.

Dostawa gwarantowana w każdy poniedziałek. Szczegółowe informacje pod numerami telefonu: 22 635 84 10 wew. 118, 111 lub 101 i adresem e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7d57c361f1

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jak to się stało?**
Polska nierówności majątkowych

12 **Przychodzi CBA do Rydzyka**
„Dzieła" redemptorysty, pieniądze państwa

22 **Spokojnie! Kościół stać na wasze pensje!**
W odpowiedzi na polemikę katechetów

38 **Jak olsztyńska Borussia przekraczała granice**
35 lat działalności

54 **„Przegląd" na Targach Książki Historycznej**

HISTORIA

15 **Gra Jaruzelskiego**
Kulisy stanu wojennego

18 **Jerzy Ziętek**
Bohater pracującej Polski

36 **O likwidacji „Po Prostu" z dystansem**
Młodzi idealiści chcieli za wiele

MEDIA

20 **TVP Info: zmiana szefa i co dalej?**
Minęły dwa lata, wyników nie ma

OPINIE

24 **Piotr Kimla**
Z nieba do piekła, czyli kariera Dicka Cheneya

ZAGRANICA

26 **Bajka o dobrych Chińczykach**
Konflikt chińsko-japoński

32 **Zabita, bo była kobietą**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA

42 **Pomiędzy zrywem a przegraną**
– rozmowa z Weroniką Śmigielską i Barbarą Grobler

46 **Dzisiaj aktor jest kimś innym**
– rozmowa z Juliuszem Chrząstowskim

49 **Szczygieł z Nagrodą im. Karoliny Beylin**

50 **Qulturalia**

66 **Widok z okna**

KSIĄŻKI

52 **Planeta Syberia Jacka Pałkiewicza**

PSYCHOLOGIA

56 **Depresja rodzaju męskiego**
– rozmowa z dr. Robertem Kowalczykiem i dr. Piotrem Pawłem Świniarskim

ZWIERZĘTA

60 **Dzięcioł obrączkuje drzewa**
Od dzięcioła dużego do dzięciołka

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Prywatna spuścizna Kwaśniewskiego

29 **Andrzej Romanowski**
Ostateczne rozwiązanie kwestii ukraińskiej?

35 **Stanisław Filipowicz**
Migawki z życia narodu wybranego

45 **Roman Kurkiewicz**
To Polska zagraża Polsce

51 **Tomasz Jastrun**
Buczenie elity

53 **Wojciech Kuczok**
Życie do końca

12
KRAJ

PRZYCHODZI CBA DO RYDZYKA
„Dzieła" redemptorysty, pieniądze państwa

46
KULTURA

DZISIAJ AKTOR JEST KIMŚ INNYM
– rozmowa z Juliuszem Chrząstowskim

60
ZWIERZĘTA

DZIĘCIOŁ OBRĄCZKUJE DRZEWA
Od dzięcioła dużego do dzięciołka

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7d57c361f1

Prywatyzacja edukacji w natarciu

Prywatyzacja edukacji w natarciu

Ciekawa jestem poziomu nauczania w domach. I co z identyfikowaniem się takich dzieci z rówieśnikami? Co z socjalizacją społeczną? Mam mieszane uczucia.

Małgorzata Markiewicz

•

Zamiast brać przykład z najlepszych, np. z Finlandii, staczamy się po równi pochyłej. Znakomicie potwierdza to felieton prof. Widackiego o nieukach, nie wiadomo po co marnujących czas i pieniądze (swoje – pal diabli, ale dlaczego publiczne?) na różnych „uczelniach".

Janusz Mikołaj Kowalski

STRONNICTWO DŁUGIEGO TRWANIA

PSL to jedyna partia, która pod tą samą nazwą działa od początku III RP i zasiada w każdym Sejmie demokratycznej Polski

Stronnictwo długiego trwania

Waldemar Pawlak jest bardzo sprytnym politykiem, który nie o jedną, ale o dwie głowy przerasta większość obecnej sceny politycznej w Polsce. Generalnie ta nasza scena polityczna to tragedia. Intelektualne miernoty, od prawa do lewa. Pawlaka zdecydowanie zaliczam do pierwszej ligi, a nawet do politycznej ekstraklasy.

Damian Paweł Strączyk

•

Jeśli dobrze pamiętam, to PSL rzadko widzi wrogów, z tym zastrzeżeniem, że widzi ich chyba wyłącznie w koalicjach rządzących, które współtworzy. Czy koalicjant jest z prawa, czy z lewa, czy z centrum, wydaje się najmniej istotne. Ważne, żeby był.

Michał Błaszczak

Czy naprawdę musimy wycierać ręce świeżo ściętym drzewem?

Brzmi jak żart, ale to rzeczywistość, którą od lat akceptujemy. Na polskim rynku trwa ciche, ale poważne zjawisko: zdecydowana większość dostępnego na rynku papieru toaletowego i ręczników papierowych powstaje wyłącznie z celulozy, czyli z bezpośredniej wycinki lasów.

Produkty zawierające makulaturę są marginesem, a często nie ma ich w ogóle na sklepowych półkach. (…) Na tym tle jeszcze bardziej rażący jest fakt, że produkty z czystej celulozy – powstające w całości z wycinki lasu – są oznaczane jako „eco", mimo że ich główny surowiec nie ma nic wspólnego z ekologią. To manipulacja konsumentem i przykład greenwashingu w najczystszej postaci. (…)

W dobie elektryfikacji, gospodarki obiegu zamkniętego i presji na ograniczenie emisji dwutlenku węgla fakt, że tak podstawowy produkt powstaje niemal wyłącznie z dziewiczego drewna, brzmi jak ponury żart. Tym bardziej że makulatura jest dostępna, tańsza, a technologia pozwala na jej bezpieczne wykorzystanie. To skandal. Skandal, że w 2025 r. jednorazowy produkt kupowany codziennie przez miliony ludzi powstaje w sposób sprzeczny z zasadami zrównoważonego rozwoju. Skandal, że konsument nie ma dostępu do podstawowej informacji o składzie produktu i źródle surowca (…). Skandal, że branża może bezkarnie naklejać zielone liście na opakowania, choć w środku znajduje się produkt pochodzący wyłącznie z wycinki lasów. (…)

Las Wycinany

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Aleksander Kwaśniewski przekazał swoje dokumenty z lat 1995-2005 do zasobu Archiwum Akt Nowych. To pierwszy raz, gdy dokumenty byłego prezydenta RP trafiają do państwowego zasobu archiwalnego. Uroczystość odbyła się w gmachu Sejmu. Nz. Aleksander Kwaśniewski i dyrektor archiwum Mariusz Olczak. Warszawa, 5 grudnia 2025 r.

eprasa.pl 7d57c361f1

Już 25% Polaków chce wyjść z Unii Europejskiej. Pozostanie we Wspólnocie popiera 69% badanych **(sondaż Eurobazooka)**.

•

Sejmowi nie udało się odrzucić weta prezydenta wobec rządowej ustawy regulującej rynek kryptowalut. Zabrakło tylko 19 głosów, bo część opozycji nie chciała przykładać ręki do braku ochrony klientów i inwestorów przed coraz częstszymi oszustwami.

•

Prezydent podpisał ustawę zakazującą hodowli zwierząt na futra. Politycy PiS w jego kancelarii dopilnowali, by stało się tak, jak chce prezes Kaczyński. Nie pomogły naciski środowiska Radia Maryja ani Konfederacji, wspieranych finansowo przez hodowców. Ci będą mogli prowadzić działalność do 2033 r. Na osłodę Nawrocki zawetował im ustawę dotyczącą trzymania psów na łańcuchach.

•

Na utrzymanie 16 mln psów i kotów Polacy wydają rocznie prawie 10 mld zł.

•

Od 2022 r., gdy rząd Morawieckiego wprowadził dla emigrantów „ulgę na powrót" do kraju, wróciło do ojczyzny 54 tys. Polaków. Skorzystali z ulg w podatku dochodowym na prawie 2,9 mld zł **(„Rzeczpospolita")**.

•

Prawie 2 mln cudzoziemców przebywa w Polsce na zasadzie pobytu czasowego. Najwięcej jest **Ukraińców (ponad 1,3 mln), Białorusinów (ponad 145 tys.), Gruzinów (ok. 54 tys.) i Rosjan (ponad 33 tys.)**.

•

Decyzją kanclerza Friedricha Merza Niemcy zwróciły kilka zrabowanych w czasie wojny dzieł sztuki i dokumentów historycznych, m.in. archiwa zakonu krzyżackiego i fragment rzeźby z XIV w. – głowę św. Jakuba Starszego.

•

Decyzją Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu Rosja i Białoruś mogą startować w igrzyskach olimpijskich. Międzynarodowa Federacja Judo (IJF) zniosła wszelkie sankcje wobec sportowców reprezentujących Rosję.

•

Sukcesem zakończył się start trójstopniowej rakiety suborbitalnej wyprodukowanej przez polskie firmy zbrojeniowe.

•

Ponad 1 mln osób w Polsce ma rozpoznaną chorobę nowotworową.

•

Na świadczenia 800+, 13. i 14. emeryturę oraz dodatki pielęgnacyjne państwo wyda w tym roku 102,4 mld zł. Do gospodarstw o najniższych dochodach trafia z tego tylko 22 mld zł.

•

Sztuczna inteligencja w Polsce wpływa na duży spadek zainteresowania usługami copywritingu, call center, treningów personalnych, grafiki komputerowej, tłumaczeń i księgowości. Narażeni są pracownicy 20 zawodów. Uprawia je w naszym kraju 44% ogółu zatrudnionych.

•

5894 osoby odbywały jesienią 2025 r. karę w systemie dozoru elektronicznego.

•

Polska dynia cieszy się coraz większą popularnością na świecie. W 2023 r. najwięcj dyń wyeksportowaliśmy do Niemiec, Czech i Słowacji.

PRZEBŁYSKI

Karol Modzelewski – Bielany pamiętają

Karol Modzelewski powrócił do Warszawy z Wrocławia w roku 1995. Zwolnił się etat mediewisty na Uniwersytecie Warszawskim, mógł więc wrócić na swój uniwersytet. Wrócił, zamieszkał na Bielanach, w bloku robotników z Huty Warszawa.

Bielany pamiętają swojego profesora. Burmistrz dzielnicy Grzegorz Pietruczuk wystarał się o mural autorstwa Wilhelma Sasnala, wymalowany na jednym z bielańskich bloków, oraz tablicę pamiątkową umieszczoną przed domem, w którym Modzelewski mieszkał. Ostatnio zaś, razem z Instytutem Narutowicza, zorganizował okolicznościową sesję z okazji 88. rocznicy urodzin profesora.

Mogliśmy go wspominać. Wielką postać polskiej lewicy.

Piesiewicz, księża i kryptowaluty

Rozpaczliwie ratujący się przed dymisją i utratą milionowych dochodów (jeszcze) prezes PKOl Radosław Piesiewicz szuka tego ratunku… w niebie. Na zimową olimpiadę we Włoszech zaprosił trzech kapelanów. Piesiewicz najlepiej wie, w jakim stanie jest organizacja, którą, na nieszczęście polskiego sportu, kieruje. Trudno liczyć na medale. Pozostaje modlitwa o cud. Ratowanie posady jest dla Piesiewicza bezcenne. Przecież i tak zapłacą podatnicy.

A w samym PKOl? Otwarta wojna. Prezes wypowiedział ją wiceprezesom. Listy, by zrezygnowali, wysłał do prezesa żeglarzy Tomasza Chamery, Adama Korola i szefa sportu w Polsacie Mariana Kmity.

Kmita odpisał mu m.in. tak: „Okres Twojej prezesury to spór, kłótnie i niepokoje", „Donosisz i pomawiasz publicznie Telewizję Polsat". Nad Piesiewiczem wisi także inny topór – umowa sponsorska z Zondacrypto, giełdą kryptowalut. Firmą, której jeden szef zaginął, a drugi unika wizyt w Polsce.

Bańka w chińskim basenie

Czy Witold Bańka, prezes WADA, polegnie na Chińczykach? A wyrok wykona Travis T. Tygart, szef USADA, amerykańskiej agencji antydopingowej? Domaga się on audytu w Światowej Agencji Antydopingowej. Zarzuca Bańce zamiecenie pod dywan dopingu, czyli 23 pozytywnych wyników testów u chińskich pływaków w czasie pandemii. Nie zbadano im próbek B. Nikogo nie zawieszono. Nikogo nawet nie przesłuchano. Urzędnicy WADA są objęci dochodzeniem amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości. Także Bańka. Zarzuca się mu, że w sprawie dopingu chińskich pływaków blisko współpracował z wiceprezes z Chin Yang Yang.

Coś ukrywają. Boją się publicznej konfrontacji i odpowiedzi na zarzuty Amerykanów. Może Bańka przypomni sobie słowa Ziobry, kiedyś partyjnego kolegi, że niewinni nie mają czego się bać.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, PKOL, WADA

eprasa.pl 7d57c361f1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Polacy dają się tak łatwo nabierać na przedświąteczne oferty?

PROF. ANDRZEJ FALKOWSKI,
psycholog biznesu, Uniwersytet SWPS

Nie tylko Polacy. Podatność na przedświąteczne zakupy dotyczy ludzi w wielu krajach, bo wszyscy mamy podobny system poznawczy. Wbrew założeniu pytania nie każdy „daje się nabierać", ale większość rzeczywiście kupuje więcej i drożej. Wynika to m.in. z długich, ciemnych jesienno-zimowych wieczorów, gdy brakuje nam bodźców i szukamy stymulacji. Często właśnie w centrach handlowych. Drugi czynnik to bodźce świąteczne: kolędy, choinki, zapachy, które uruchamiają pamięć autobiograficzną i wywołują pozytywne emocje. One przesłaniają analizowanie ceny i wzmacniają zakupy impulsywne. Nie zawsze jest to „nabieranie", choć sprzedawcy często podnoszą wtedy ceny.

DR HAB. KATARZYNA SEKŚCIŃSKA,
ekonomistka i psycholożka, Katedra Psychologii Biznesu i Innowacji Społecznych, UW

Okres świąteczny działa na nas wyjątkowo: kojarzy się rodzinnie i pozytywnie, dzięki czemu łatwiej zapominamy o kosztach. Świąteczny nastrój osłabia naszą czujność i refleksję na temat tego, czy sensowne jest wydawanie pieniędzy. Twierdzimy też, że „pod choinką coś musi być", więc kupujemy, by dopełnić społecznego obowiązku. Jesteśmy bombardowani ofertami od wczesnej jesieni, np. akcjami typu Black Friday i Cyber Monday, a przez to kupujemy więcej rzeczy, często niepotrzebnych. Prowadzi to do zmęczenia, paraliżu decyzyjnego i kupowania czegokolwiek, by mieć to za sobą. Niestety, dzisiejszy świat sprawia, że bardziej niż kiedykolwiek dotąd nauczyliśmy się okazywać miłość przez prezenty. I to materialne. Wydaje nam się, że ich jakość świadczy o uczuciach. Chcemy stworzyć idealny klimat świąt, dlatego łatwo ulegamy pokusie kolejnych zakupów.

DR MATEUSZ POLAK,
psycholog, UJ

Przede wszystkim koniec roku został zmieniony w „święto konsumpcji" – tradycja ustępuje kupowaniu prezentów i wystawnego jedzenia, co wywołuje szaleństwo zakupowe. Presja czasu powoduje z kolei, że decyzje podejmujemy w sposób nieprzemyślany, co zwiększa naszą podatność na zabiegi marketingowe. Sprzedawcy odwołują się przy tym do naszych bardzo podstawowych potrzeb, których realizacja jest niezmiernie przyjemna. Widząc produkt na promocji, czujemy, że łapiemy okazję, jesteśmy jak prehistoryczny łowca, który upolował coś wielkiego. Reklamy pokazują nam idealny świąteczny czas w rodzinnym gronie, jeżeli tylko kupimy dany produkt. Próbuje się też pokazywać nam, że zakup będzie świadczył o naszym bogactwie i sukcesie, łechcząc samoocenę. Często kupujemy więc produkt nie dla produktu jako takiego, lecz dla pięknych scenariuszy w naszej głowie.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 7d57c361f1

1% Polaków ma 30% Polski

JAK TO SIĘ STAŁO?

Marek Czarkowski

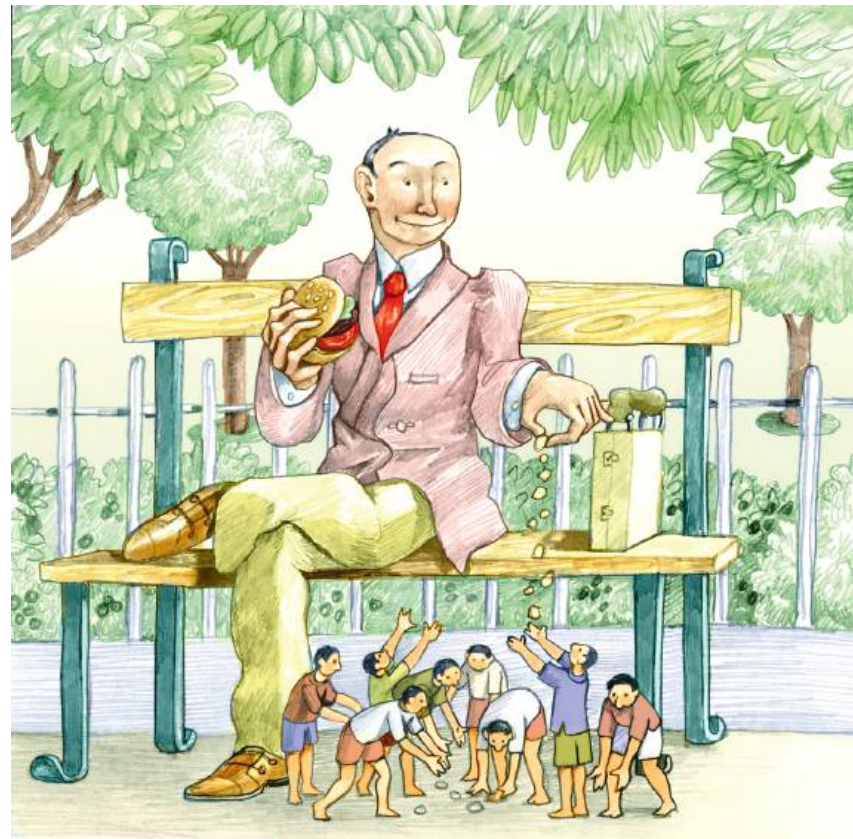

W połowie 2025 r. przy ulicy Ryżowej 72 w Ursusie rozpoczęły się prace rozbiórkowe opuszczonej willi, która na początku lat 90. XX w. była dla stołecznej elity symbolem luksusu. Teren otaczały szpalery drzew. Na posesji znajdowały się basen, kort tenisowy i jacuzzi. Właścicielem owych rozkoszy był Leonard Praśniewski – w 1990 r. czwarty na liście najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost". Był właścicielem firmy INTER KIM, Prywatnego Banku Komercyjnego Leonard SA oraz – wspólnie z Ireneuszem Sekułą i japońskimi inwestorami – linii lotniczej Polnippon Cargo. Dziś mało kto pamięta o nim i jego interesach.

Błyskawiczne fortuny

Praśniewski, podobnie jak Ryszard Krauze, Jan Kulczyk, Zygmunt Solorz czy „artyści biznesu" Bogusław Bagsik i Andrzej Gąsiorowski, należał do pierwszej fali polskich milionerów, którzy błyskawicznie się wzbogacili na początku transformacji ustrojowej. Jaka była tajemnica ich sukcesu? „Pierwszy milion dostałem od ojca", powiedział w jednym z wywiadów Kulczyk. „Pierwszy milion trzeba ukraść", rzekomo oświadczył premier Jan Krzysztof Bielecki.

Według oficjalnej narracji fortuny, które powstały w latach 90., były nagrodą za przedsiębiorczość, odwagę i ciężką pracę. W rzeczywistości liczyły się dobre układy z przedstawicielami administracji państwowej.

Fundamentem fortuny Zygmunta Solorza stała się przyznana mu w styczniu 1994 r. koncesja dla ogólnopolskiej Telewizji Polsat. Zapłacił za nią 10 mld ówczesnych złotych, czyli 1 mln zł po denominacji, co było kwotą nikczemnie skromną. Szybko zaczął zarabiać krocie na emisji reklam.

W latach 1990-2004 przekształceniami własnościowymi objęto 7165 przedsiębiorstw państwowych. Część przejęli rodzimi biznesmeni. Nie zawsze w jasnych okolicznościach.

Jeśli w 1990 r. 1% najbogatszych Polaków kontrolował od 5% do 8% majątku narodowego, a nierówności społeczne były jednymi z najniższych na świecie, to już w 2022 r., według World Inequality Report przygotowanego przez zespół znanego ekonomisty Thomasa Piketty'ego z Paris School of Economics, 1% najbogatszych Polaków kontrolował ok. 30,3% majątku narodowego.

Jaka dziś jest wartość tegoż majątku narodowego? Niełatwo dokonać wyceny. Gdybyśmy zsumowali wszystkie składniki: wartość rynkową mieszkań, gruntów, infrastruktury państwowej, fabryk oraz oszczędności prywatnych Polaków, łączna wartość majątku Polski brutto przekraczałaby szacunkowo 12-15 bln zł.

Oficjalna wartość „księgowa" netto, uwzględniana w międzynarodowych rankingach i pomniejszona o długi, wynosi ok. 7,4 bln zł (1,85 bln dol.). Pod tym względem zajmujemy 27. miejsce na świecie,

eprasa.pl 7d57c361f1

wyprzedzając m.in. Austrię, Izrael i Portugalię.

Ścieżki awansu

Dziś, by trafić na listę 100 najbogatszych Polaków, trzeba mieć majątek o wartości ponad 1 mld zł. Szacuje się, że wartość dóbr zgromadzonych przez to grono wynosi 315 mld zł. To 9,26% PKB Polski za rok 2024.

A przecież owa setka to wierzchołek góry lodowej. Rodzima elita majątkowa i finansowa jest znacznie liczniejsza. 1% populacji to 376 tys. osób. Kontrolują one wspomniane 30,3% majątku narodowego o wartości – zależnie od przyjętej metodologii liczenia – od 2,2 bln do 4 bln zł.

Gdybyśmy wyobrazili sobie mapę Polski jako reprezentację całego bogactwa kraju, obszar należący do tego 1% obejmowałby kilka pełnych województw: zachodniopomorskie, pomorskie, lubuskie, wielkopolskie, kujawsko-pomorskie oraz części łódzkiego i dolnośląskiego.

To nie wszystko: 10% Polaków, czyli 3,76 mln osób, kontroluje aż 60% majątku narodowego, którego wartość szacowana jest w przedziale od 4,4 bln do 7,8 bln zł. Średni majątek osoby z tej grupy wynosi ok. 800 tys. zł.

Kim są ci ludzie? Nie są na tyle zamożni, by wzbudzić zainteresowanie np. mediów. Preferują anonimowość, żyją na wysokim poziomie, choć bez czerwonych dywanów i blasku fleszy.

Przykładem mogą być młodzi Polacy, mniej więcej 30-letni, których start-upy szybko zaczęły przyciągać poważny kapitał. Piotr Dąbkowski i jego szkolny kolega Mateusz Staniszewski to właściciele zarejestrowanej w Stanach Zjednoczonych spółki ElevenLabs zajmującej się generowaniem mowy przy użyciu sztucznej inteligencji. Stworzone przez nich oprogramowanie pozwala osiągnąć tak wysoką jakość dźwięku, że nie sposób odróżnić generowanej przez nie mowy od mowy człowieka.

W ubiegłym roku Piotr Dąbkowski znalazł się na liście „100 najbardziej wpływowych ludzi w obszarze sztucznej inteligencji" magazynu „Time", tuż obok twórcy ChatGPT Sama Altmana z OpenAI, dyrektora generalnego Google'a Sundara Pichaia i założyciela Facebooka Marka Zuckerberga. ElevenLabs jest dziś warta ponad 1 mld dol. Możemy przyjąć, że majątki Dąbkowskiego i Staniszewskiego także są wysokie, choć jeszcze nie na tyle, by znaleźli się oni w setce najbogatszych Polaków.

28-latkowie Michał Pogoda-Rosikoń, Karol Gawron i Michał Swędrowski to założyciele wrocławskiego start-upu o nazwie Bards.ai, zajmującego się sztuczną inteligencją. Spółka dynamicznie się rozwija i wszystko wskazuje na to, że jej właściciele będą mogli poszczycić się solidnym majątkiem.

W 2021 r. trzej inni młodzi ludzie: Jakub Wojciechowski, Marcin Kaźmierczak i Alex Suvorov założyli start-up RedStone. Zajmują się technologią blockchain w kontekście rynków finansowych. Spółka przyciąga inwestorów w rekordowym tempie i jeśli nic się nie zmieni, może odnieść znaczący sukces. Bardzo prawdopodobne, że jej założyciele są już w gronie 1% najbogatszych Polaków.

W 1990 r. 1% najbogatszych Polaków kontrolował 5-8% majątku narodowego, a nierówności społeczne były jednymi z najniższych na świecie.

Dolarowi milionerzy i ci, którzy nie mają nic

Według firmy doradczej EY-Parthenon w Polsce mieszka niemal 100 tys. dolarowych milionerów, czyli osób posiadających aktywa netto przekraczające 4 mln zł. Mają duże mieszkania lub domy, najczęściej w Warszawie, Krakowie i Trójmieście, oszczędności rzędu 300-800 tys. zł i samochody, których wartość oscyluje między 150 tys. a 300 tys. zł. Ich zarobki mieszczą się w przedziale 40-50 tys. zł brutto miesięcznie. Ludzie ci korzystają z prywatnej opieki zdrowotnej, ich dzieci chodzą do prywatnych szkół, rodziny dwa, trzy razy do roku wyjeżdżają na wczasy zagraniczne, co jest oznaką statusu.

Wydawać by się mogło, że są zadowoleni, ale tak nie jest, gdyż wyższą klasę średnią tworzą w Polsce głównie *working rich*, czyli pracujący bogaci. To kadra zarządzająca w dużych firmach, wzięci prawnicy, lekarze, inżynierowie z branży IT, architekci, artyści itp. Są zamożni, lecz ich pozycja niemalże w 100% zależy od pracy. W przeciwieństwie do osób żyjących ze zgromadzonego majątku utrata zdolności do pracy (np. choroba czy wypalenie zawodowe) grozi im szybką degradacją ekonomiczną ze względu na wysokie koszty stałe: konieczność spłaty kredytów, wysokie czesne w szkołach, do których uczęszczają dzieci, oraz przyzwyczajenie do codziennego życia na wysokim poziomie.

W podobnej sytuacji znajdują się właściciele gabinetów stomatologicznych, niewielkich sieci aptek, hurtowni czy sklepów. W ich przypadku kłopoty sprawiać może konkurencja ze strony dużych spółek międzynarodowych. Grupa pracujących bogatych dźwiga też największe obciążenia fiskalne, często wpada w najwyższy, 32-procentowy próg podatkowy i płaci wysokie składki ubezpieczeniowe. Jednocześnie jest wykluczona z większości transferów socjalnych.

Na przeciwnym biegunie są ci, którzy mają mało albo prawie nic. Według danych World Inequality Database 50% Polaków ma ujemny udział w majątku narodowym, oscylujący wokół 0,7%. Oznacza to, że suma ich długów przewyższa wartość posiadanych aktywów.

Dlaczego tak się dzieje? Głównym powodem zadłużenia są kredyty hipoteczne, zaciągane przez młodsze pokolenia na zakup mieszkań, których ceny w ostatniej dekadzie wzrosły nad Wisłą o ponad 100%. Młodzi Polacy, chcąc zaspokoić podstawową potrzebę – posiadania

eprasa.pl 7d57c361f1

dachu nad głową – muszą zaciągać zobowiązania przekraczające ich możliwości finansowe. W konsekwencji, choć dysponują majątkiem (czyli mieszkaniem), są jednocześnie obciążeni długiem przewyższającym jego wartość.

Czy grozi nam oligarchizacja?

Na razie Polsce udało się uniknąć oligarchizacji, choć za rządów PiS premier Mateusz Morawiecki podjął nieudaną próbę stworzenia grupy własnych oligarchów. Bo czym innym były gigantyczne, liczone w setkach milionów złotych, transfery gotówki z Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych do spółek Pawła Sz. i Dominika B.? Możemy być pewni, że jeśli w przyszłości PiS wróci do władzy, po raz kolejny będzie chciało zainwestować publiczne pieniądze w „zaplecze finansowe partii".

Jak Polska wypada na tle innych krajów? Pod względem koncentracji bogactwa w rękach górnego 1% jesteśmy na poziomie porównywalnym z rozwiniętymi demokracjami zachodnimi, takimi jak Holandia, Wielka Brytania czy Włochy, gdzie 1% najbogatszych kontroluje 26-30% majątku. Dla porównania w Rosji najbogatsze 10% osób posiada aż 83% majątku narodowego, w USA – 76%, a w Chinach – 60%. Kraje o najbardziej równomiernym podziale bogactwa to Belgia (47% dla 10% najbogatszych), Japonia (48%) i Słowacja (38%).

Wyższą klasę średnią tworzą w Polsce głównie pracujący bogaci: kadra zarządzająca w dużych firmach, wzięci prawnicy, lekarze, inżynierowie z branży IT, architekci itp.

Problem w tym, że koncentracja 30% majątku narodowego w rękach 1% Polaków nie była wynikiem naturalnych procesów rynkowych i nie trwała przez ostatnie dwa stulecia, jak działo się to w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Stanach Zjednoczonych.

Jest to konsekwencja podjętych w latach 90. decyzji politycznych, które faworyzowały szybkie bogacenie się wąskiej grupy kosztem większości społeczeństwa.

Chaotyczna i często korupcyjna prywatyzacja, sprzedaż strategicznych aktywów zagranicznym koncernom po zaniżonych cenach, brak mechanizmów redystrybucji bogactwa – wszystko to doprowadziło do pojawienia się przedsiębiorców, którzy powodzenie w interesach zawdzięczali dobrym układom z władzą. Żniwo tej polityki było tragiczne.

W latach 90. bardzo szybko rosło bezrobocie. Likwidacja państwowych gospodarstw rolnych pozbawiła pracy ponad 400 tys. ludzi. Na początku XXI w. stopa bezrobocia w Polsce przekroczyła 20%. Szacunkowe dane wskazują, że w latach 1990-2025 w poszukiwaniu pracy z kraju wyjechało 4-5 mln osób

eprasa.pl 7d57c361f1

w wieku produkcyjnym. Z czego 1,2-1,5 mln osiedliło się na stałe w państwach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych.

Ekstremalne nierówności

W 2023 r. w Polsce nastąpił dramatyczny wzrost skrajnego ubóstwa, którego doświadczyło ok. 2,5 mln osób (6,6% gospodarstw domowych). Był to najgorszy wynik od 2015 r. Wzrost ten spowodowała wysoka inflacja, która wyniosła 11,4%. W tym czasie do ponad 500 tys. zwiększyła się liczba dzieci doświadczających skrajnego ubóstwa. W 2024 r. dzięki waloryzacji świadczenia 500+, które zmieniło się w 800+, liczba ta zmalała, do 364 tys., wciąż jednak pozostaje niepokojąco wysoka.

Rok 2023 okazał się też trudny dla seniorów, z których 430 tys. zostało dotkniętych skrajnym ubóstwem. Ponad 400 tys. osób pobierało głodową emeryturę – niższą niż najniższa emerytura przewidziana prawem, wynosząca wówczas 1588,44 zł brutto. Podwyżka płacy minimalnej w 2024 r., 800+ oraz spadek inflacji sprawiły, że liczba osób dotkniętych skrajnym ubóstwem spadła w 2025 r. z 2,5 mln do 1,9 mln.

Dzisiejsze społeczeństwo jest głęboko podzielone, mobilność społeczna jest niska, a szanse życiowe w dużej mierze determinuje pochodzenie. Prawdopodobieństwo zrobienia kariery jest o wiele wyższe w przypadku dzieci bogatych rodziców. Dzieci z ubogich rodzin mają skromne możliwości. Polska zajmuje 30. miejsce na świecie pod względem szans awansu społecznego – wskazuje ranking Social Mobility Index Światowego Forum Ekonomicznego z 2020 r. – za krajami nordyckimi i większością innych krajów europejskich. Dane z raportu OECD „A Broken Social Elevator? How to Promote Social Mobility" z 2018 r. pokazują jednocześnie, że tylko jedna trzecia Polaków osiągnęła awans społeczny. Ogólna mobilność społeczna była w naszym kraju niższa niż w większości państw OECD, z wyjątkiem czterech: Irlandii, Hiszpanii, Portugalii i Włoch.

Ul. Olimpijska, Katowice, 2025 r.

Mamy pogłębiające się różnice regionalne między dynamicznymi metropoliami a wyludniającą się prowincją. Mamy kryzys zaufania społecznego i rosnącą polaryzację polityczną, która w dużej mierze odzwierciedla podziały ekonomiczne. Rodzą się pytania: czy taki stan rzeczy jest akceptowalny? Czy można się godzić z tym, że połowa Polaków ma ujemny majątek netto, podczas gdy garstka miliarderów kontroluje fortuny porównywalne z budżetami całych województw?

Historia pokazuje, że ekstremalne nierówności majątkowe są destrukcyjne dla społeczeństw. Prowadzą do napięć społecznych, osłabiają demokrację, hamują wzrost gospodarczy (bo ograniczają popyt i mobilność społeczną) i podważają legitymację całego systemu społeczno-ekonomicznego. Zmiana tego stanu rzeczy wymaga politycznej odwagi i gotowości do konfrontacji z potężnymi interesami ekonomicznymi.

Wymaga reformy systemu podatkowego w kierunku większej progresywności, skutecznej walki z rajami podatkowymi i unikaniem opodatkowania, poważnych inwestycji w edukację publiczną i system ochrony zdrowia, wzmocnienia pozycji pracowników wobec pracodawców oraz – a może przede wszystkim – uczciwej debaty o tym, jak powstały wielkie polskie fortuny i czy ich obecna skala jest społecznie uzasadniona.

Historia pokazuje, że ekstremalne nierówności majątkowe są destrukcyjne dla społeczeństw. Prowadzą do napięć społecznych, osłabiają demokrację, hamują wzrost gospodarczy.

Bez takich działań Polska nie uniknie oligarchizacji. Stanie się państwem, w którym garstka najbogatszych będzie żyła w oderwaniu od reszty społeczeństwa, a miliony ludzi zostaną skazane na wegetację, bez realnych szans na poprawę swojej sytuacji. Czy taka była wizja Polski, o którą walczono w 1989 r.? I czy dzisiaj jest to kraj, w którym warto żyć?

Marek Czarkowski

FOT. SHUTTERSTOCK, ANNA LEWAŃSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7d57c361f1

Przychodzi CBA do Rydzyka

Na co kościelny oligarcha z Torunia przepuścił miliony państwowych złotych

Andrzej Sikorski

W środę 26 listopada br. na polecenie Prokuratury Krajowej funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego weszli do siedziby Fundacji Lux Veritatis Tadeusza Rydzyka. Agenci zarekwirowali i zabezpieczyli dokumenty w związku ze śledztwem dotyczącym wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Chodzi o siedem umów na 21,5 mln zł, zawartych w latach 2017--2023 między fundacją a funduszem.

Fundacja Tadeusza Rydzyka dzięki Zbigniewowi Ziobrze i Funduszowi Sprawiedliwości miała dostęp do dużych pieniędzy. Nz. obchody 31. rocznicy powstania Radia Maryja. Toruń, 3 grudnia 2022 r.

Dyskusje ideologiczno--światopoglądowe

Przedsiębiorczy redemptorysta np. za ponad 7 mln zł utworzył Centrum Ochrony Praw Chrześcijan, bo pod rządami PiS w tradycjonalistycznej i ultrakatolickiej Polsce, gdzie 90% obywateli identyfikuje się z religią rzymskokatolicką, katolicy byli rzekomo prześladowani. Kościelni aktywiści z COPC za prześladowanie uznali umieszczenie tęczowej flagi na figurze Chrystusa przed kościołem św. Krzyża w Warszawie, wizerunek Matki Boskiej z tęczową aureolą, marsze równości organizowane przez środowiska LGBT, edukację seksualną, plakat z wizerunkiem św. Faustyny promujący spektakl w Teatrze Łaźnia Nowa w Krakowie, protesty przed kościołami w ramach Strajku Kobiet, a nawet zabójstwo księdza z Paradyża, choć zbrodnia ta nie miała podłoża religijnego. Zabójcą okazał się kościelny, przez lata oszukiwany i wyzyskiwany przez proboszcza.

Wszystko wskazuje na to, że utworzenie COPC i dotacje z Funduszu Sprawiedliwości były skokiem na kasę. Miliony złotych nie trafiły do poszkodowanych przestępstwem chrystianofobii, bo przecież takich osób nie było, lecz zasiliły imperium kościelnego oligarchy. Jak wynika z raportu Najwyżej Izby Kontroli, prawie 3,3 mln zł poszło na sfinansowanie cyklu audycji „Rozmowy niedokończone". Zdaniem NIK „poruszane w toku ww. audycji problemy i zagadnienia wykraczały poza tematykę przeciwdziałania przestępczości i dotyczyły szeroko pojętych kwestii światopoglądowych", poza tym „audycja »Rozmowy niedokończone« stanowi jeden ze stałych punktów programu TV Trwam, a w trakcie realizacji umowy stacja emitowała inne, zbliżone tematycznie audycje, które nie były finansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości".

Według NIK oznacza to, że realizując zadania zlecone przez Zbigniewa Ziobrę, Lux Veritatis „nie musiała tworzyć nowych, unikatowych produktów", „uzyskana dotacja bezpośrednio wspierała więc działalność statutową Fundacji Lux Veritatis".

Prawie 400 tys. zł Rydzyk przeznaczył na kampanie społeczne: „Czym dla Ciebie jest wiara?", „Każdy ma prawo wierzyć", „Każdy ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii" oraz „Każdy ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii. Reaguj". Były to 30-sekundowe spoty emitowane w TV Trwam.

Za niecałe pół miliona złotych stworzona została strona internetowa COPC, gdzie zamieszczono cztery „ekspercko-poradnikowe publikacje dotyczące zagadnień prawnych nt. ochrony prawno-karnej chrześcijan w Polsce oraz statusu prawnego rodziców i dzieci w procesie wychowania". Koszt tych publikacji to skromne 100 tys. zł.

Ponad 1,2 mln zł wydano na utworzenie Biura Sieci Pomocy Prawnej i Poradnictwa Obywatelskiego z siedzibą… w jednym pokoju wynajętym w budynku rektoratu Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Koszt wynajęcia i wyposażenia biura – ok. 90 tys. zł. Czyli pieniądze znowu trafiły do Rydzyka.

eprasa.pl 7d57c361f1

A teraz najlepsze! Jak ustalili kontrolerzy NIK, biuro odwiedzała jedna osoba na dwa tygodnie, a pięciu prawników z wynajętej kancelarii, którzy mieli udzielać porad, pozorowało pracę, choć w sumie zainkasowali 180 tys. zł. Podobnie było z psychologiem, który „podejmował z interesantami dyskusję na tematy ideologiczno-światopoglądowe" albo odsyłał petentów z kwitkiem, twierdząc, że ich sprawy nie kwalifikują się do prowadzenia przez biuro. Ponad 1,4 mln zł przeznaczono na tzw. koszty administracyjne, czyli m.in. wynagrodzenia księgowej, kadrowej projektu, specjalisty ds. organizacji, najem powierzchni biurowej, materiały biurowe, usługi telefoniczne i opłaty za internet.

250 zdjęć Jana Pawła II

Inna podejrzana umowa zawarta pomiędzy Lux Veritatis i Funduszem Sprawiedliwości dotyczyła zorganizowania i przeprowadzenia kampanii informacyjnej w sprawie obrony dobrego imienia Polski i odkłamywania historii, co znowu nie miało nic wspólnego z przeciwdziałaniem przestępczości i pomocą poszkodowanym w wyniku przestępstwa. Koszt to ponad 5,7 mln zł. I w tym przypadku państwowe pieniądze zasiliły imperium medialne toruńskiego redemptorysty. Prawie 2 mln zł poszły znowu na audycję „Rozmowy niedokończone" w TV Trwam. A poruszano w nich tematy historyczne i takie zagadnienia jak Wołyń, Narodowe Siły Zbrojne, obozy zagłady czy dezinformacja rosyjska w polityce historycznej Kremla wobec Polski.

Na tzw. felietony filmowe wydatkowano ponad 1,8 mln zł. Wyprodukowane i wyemitowane treści nosiły tytuły: „Bitwa pod Wizną", „Cichociemni", „Czy akta SB to wiarygodne źródło prawdy?", „Nigdy niepublikowane 250 zdjęć św. Jana Pawła II", „Żegota" i „Getto Warszawskie". „Treść poszczególnych audycji dotyczyła niepowiązanych ze sobą merytorycznie wydarzeń z historii najnowszej Polski wraz z komentarzami zaproszonych gości i wykraczała ona poza tematykę przeciwdziałania przestępczości. Uzyskana dotacja bezpośrednio wspierała więc działalność statutową Fundacji Lux Veritatis, a jej związek z celami Funduszu Sprawiedliwości był co najmniej ograniczony", stwierdziła NIK.

Rydzyk doił pieniądze na potęgę. Ponad 117 tys. zł przepuszczono na „działania informacyjne w social mediach", a ponad 270 tys. zł na cztery publikacje dotyczące historii Polski: „Prawda a Historia", „Prawda a Historia. Polska i jej wschodni sąsiedzi", „Żegota" oraz „Relacje polsko-rosyjskie na przełomie XX i XXI w.". 300 tys. zł pochłonęły trzy konferencje historyczne: „Prawda a Historia. Polska wobec wschodnich sąsiadów", „Żegota – 80. rocznica powstania Rady Pomocy Żydom" i „Relacje polsko-rosyjskie na przełomie XX i XXI w.".

Informując o przeszukaniach w fundacji Rydzyka, rzecznik Prokuratury Krajowej powiedział, że prokuratorzy mają dowody wystarczające do tego, by przynajmniej dwóm osobom postawić zarzuty związane z ustawianiem konkursów na rzecz Lux Veritatis. Chodzi o Zbigniewa Ziobrę i Marcina Romanowskiego.

Muzeum nadużyć

Prokurator Przemysław Nowak nie powiedział nic o ewentualnych zarzutach wobec Rydzyka lub jego współpracowników z zarządu fundacji – Lidii Kochanowicz-Mańk i Jana Króla, choć wydaje się nieprawdopodobne, żeby te osoby nie były wtajemniczone w proceder przestępczy. Ale w innej sprawie toruński redemptorysta dostał wezwanie w charakterze świadka na 8 grudnia do Prokuratury Regionalnej w Rzeszowie. Akurat tego dnia obchodzone są hucznie urodziny Radia Maryja, więc duchowny poprosił o wyznaczenie niekolizyjnego terminu, do czego śledczy się przychylili. Jak poinformowała prokurator Dorota Sokołowska-Mach, „z uwagi na dobro śledztwa i wykonywane czynności dowodowe kolejne informacje na ten temat zostaną udzielone po wykonaniu zaplanowanych czynności".

Czyli data przesłuchania Rydzyka została utajniona, co może budzić zdumienie. Tym bardziej że śledztwo, w którym ma on zeznawać, dotyczy jednego z największych przekrętów za rządów PiS, czyli „przekroczenia uprawnień" przez ministra kultury Piotra Glińskiego i przyznania ponad 218 mln zł dotacji na budowę Muzeum Pamięć i Tożsamość im. św. Jana Pawła II.

Sztandarowa inwestycja Rydzyka, położona między kampusem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej a sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II przy Porcie Drzewnym w Toruniu, ma przedstawiać chwalebne dzieje Polski od chrześcijańskich początków jej państwowości po współczesność. Budynek powstał na państwowych działkach, które prezydent Torunia przekazał w użytkowanie wieczyste redemptorystom za symboliczną złotówkę w stosunku do ich wartości.

Umowę w sprawie budowy, współprowadzenia i finansowania muzeum minister Gliński zawarł w 2018 r. z Lux Veritatis na rympał. Rydzyk i spółka nie tylko nie mieli żadnego doświadczenia w działalności

Kup roczną
e-prenumeratę
PRZEGLĄDU
w cenie 190 zł za cały rok
Nowy numer już w każdą sobotę

Zamów do 21 grudnia
e-book
„Jak to się stało? Ameryka po wyborach"
otrzymasz GRATIS
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd

FOT PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl 7d57c361f1

Zbigniew Ziobro był częstym gościem u o. Tadeusza. Toruń, 5 grudnia 2020 r.

muzealnej, ale nawet potrzebnych eksponatów. Ministerstwo Kultury nie zleciło ekspertyz ani analiz wskazujących na potrzebę utworzenia placówki. Gliński pytany przez kontrolerów NIK, dlaczego zdecydował się na takie przedsięwzięcie, stwierdził z rozbrajającą szczerością, że decyzję podjął na podstawie „osobistego przeświadczenia i zaufania do środowiska toruńskiego", które wystąpiło z inicjatywą stworzenia muzeum.

Przeznaczając państwowe pieniądze na prywatną zachciankę Rydzyka, Gliński nie dysponował projektem budowlanym. Przebiegły biznesmen w sutannie wykorzystał to i do planowanego muzeum dobudował dwie sale widowiskowe (w tym jedną na 800 miejsc) oraz 15 luksusowych apartamentów na trzech kondygnacjach, o łącznej powierzchni ok. 750 m kw. Cały kompleks bardziej niż muzeum przypomina centrum kongresowo-wystawiennicze będące częścią innych zbożnych dzieł sfraternizowanego z PiS redemptorysty.

Utopione pieniądze

Choć minister Gliński dał Rydzykowi ponad 200 mln zł, nie interesował się, co tak naprawdę zakonnik buduje, a wedle ustaleń NIK „siedziba muzeum mogła zostać wybudowana w rozmiarze większym, niż zakładano w umowie, obejmując także inne działki, niż wynikało to z załączanych dokumentów". Mało tego! Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego „nie zweryfikowało także wartości historycznej, merytorycznej i materialnej zbiorów, z których fundacja zamierzała utworzyć wystawę stałą". Zgodnie z umową Lux Veritatis miała zapewnić „unikalne zbiory muzealne". Wśród nich znalazły się amatorskie nagrania audio i wideo, opowieści o tym, jak Polacy ratowali Żydów, które kościelny rzeczoznawca wycenił na ponad 66 mln zł (sic!).

Inne „cenne" eksponaty to relikwie I stopnia (szczątki ciał) św. Maksymiliana Kolbego, bł. Karoliny Kózkówny i 11 męczennic z Nowogródka oraz relikwie II stopnia, czyli przedmioty używane przez ks. Jerzego Popiełuszkę czy siostrę Marię Teresę od Dzieciątka Jezus. Tymczasem, jak wynika z ustaleń NIK, Lux Veritatis „nie tylko nie zgromadziła odpowiedniego zbioru eksponatów, ale nie miała nawet pomysłu na to, jakie muzealia zebrać, w jaki sposób to zrobić i jak je pokazać". Co prawda, zgodnie z umową podpisaną pomiędzy Lux Veritais a ministerstwem za zorganizowanie i sfinansowanie wystawy odpowiadała kościelna fundacja, ale to minister Gliński wysupłał i przekazał Rydzykowi dodatkowe 60 mln zł. Jeszcze po przegranych wyborach w 2023 r. Gliński pompował pieniądze w muzeum. Podpisał aneks, do którego wprowadzono zapis zobowiązujący kolejnego ministra do przekazywania Lux Veritatis corocznie przez cztery lata nie mniej niż 15 mln zł na bieżącą działalność, czyli np. opłacenie wynagrodzeń pracowników. Choć Muzeum Pamięć i Tożsamość zostało hucznie otwarte jesienią 2023 r., działa tylko w teorii, bo nadal nie ma wystawy stałej.

Niezależnie od prokuratorskiego śledztwa Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego próbuje na drodze sądowej odzyskać od Lux Veritatis utopione pieniądze. „Wnosimy o unieważnienie umów zawartych pomiędzy ministrem kultury a fundacją oraz zasądzenie kwoty 210 mln zł z odsetkami na rzecz skarbu państwa", oświadczył wiceminister Maciej Wróbel.

Według różnych wyliczeń w ciągu ośmiu lat rządów PiS Tadeusz Rydzyk dostał od państwa od 400 do nawet 500 mln zł. Oprócz ponad 200 mln zł na muzeum było to ponad 73 mln zł na geotermię, ponad 31 mln zł na TV Trwam, prawie 30 mln zł na Wyższą Szkołę Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu (przemianowaną na Akademię Kultury Społecznej i Medialnej), wspomniane ponad 7 mln na COPC, ponad 6 mln zł na Kaplicę Pamięci w sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji czy „drobne" 3 mln zł na przeprowadzenie szkoleń medialnych dla 850 sędziów i prokuratorów, w tym prezesów sądów i szefów prokuratur oraz rzeczników prasowych. Ta ostatnia sprawa jest wyjątkowo śmierdząca, bo strażnicy prawa i praworządności kształcili się u Rydzyka w wyniku ustawionego przez Zbigniewa Ziobrę konkursu, który został tak zorganizowany, że inni oferenci nie mieli szans na wygranie go.

Według wyliczeń w ciągu ośmiu lat rządów PiS Tadeusz Rydzyk dostał od państwa od 400 do 500 mln zł.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 7d57c361f1

KULISY STANU WOJENNEGO

GRA JARUZELSKIEGO

Przed kim kilkuset uzbrojonych komandosów broniło Okęcia

Robert Walenciak

13 grudnia 1981 r. o godz. 6 na lotnisku Okęcie wylądowali żołnierze z 16. Batalionu Powietrznodesantowego 6. Dywizji. Batalion przejął lotnisko, zajął najważniejsze obiekty, żołnierze zablokowali pasy startowe, ustawiając na nich ciężarówki.

Nie byli na Okęciu sami, wspomagali ich żołnierze 1. Batalionu Szturmowego z Dziwnowa. Gotowi do działań. Kilkuset najlepiej wyszkolonych w polskim wojsku komandosów broniło lotniska. Parę godzin wcześniej, o północy, 10. Batalion Powietrznodesantowy 6. DPD w sile 220 ludzi zajął budynki Telewizji Polskiej przy Woronicza w Warszawie oraz obsadził stację przekaźnikową na Pałacu Kultury i Nauki. To nie był przypadek. To było zaplanowane.

Lotnisko w stolicy, stacja telewizyjna i łączność to punkty strategiczne, można rzec – najważniejsze, więc muszą być szczególnie chronione. I były. Oczywiście nie przed Solidarnością. Trudno przecież sobie wyobrazić, po co Solidarność miałaby zdobywać lotnisko. Nie mówiąc już o tym, jak to zdobywanie i ewentualna walka z komandosami mogłyby wyglądać. Odłóżmy te pomysły na bok. Nie o związkowców chodziło 13 grudnia, ale o siły znacznie lepiej wyszkolone, uzbrojone i bezwzględne.

W tym czasie w polskim wojsku, w Sztabie Generalnym, doskonale zdawano sobie sprawę z wiszącej nad nami groźby interwencji wojsk Układu Warszawskiego. Wiedziano, że wojska te są przygotowane do wejścia, wiedziano też, z niemal stuprocentową pewnością, jak ta interwencja miałaby przebiegać. Dlatego plany stanu wojennego zakładały działania, które Rosjan i ich sojuszników miały zniechęcić do interwencji.

•

Skąd wiedziano? Dla Wojciecha Jaruzelskiego i jego współpracowników metody działania Armii Radzieckiej, jej możliwości, były jak otwarta księga.

Po pierwsze, wiadomo było, że Rosjanie przed inwazją przeprowadzają ćwiczenia bojowe. Tak było w 1968 r. podczas interwencji w Czechosłowacji. Wojska najpierw ćwiczyły w czerwcu w ramach operacji „Szumawa". Dopiero później, w sierpniu, miała miejsce operacja „Dunaj", niemal tożsama z ćwiczeniami wojskowymi.

Plan interwencji w Polsce dowództwo MON poznało już w grudniu 1980 r., kiedy to w Moskwie, podczas odprawy Układu Warszawskiego, marsz. Nikołaj Ogarkow zakomunikował, że na terenie Polski przeprowadzane będą ćwiczenia wojsk radzieckich, czechosłowackich i NRD. W sumie na terenie naszego kraju „ćwiczyć" miało kilkaset tysięcy obcych żołnierzy. Polscy żołnierze mieli w tym czasie pozostawać w koszarach. Polakom wysłano do wiadomości drogi przemieszczania się „ćwiczących" jednostek. Przywiozła je z Moskwy polska delegacja z gen. Tadeuszem Hupałowskim na czele. Do inwazji wówczas nie doszło, częściowo w wyniku interwencji USA. A także za cenę obietnicy, że Polacy z Solidarnością poradzą sobie sami.

Po drugie, polscy dowódcy znali schemat interwencji. Wiedzieli, jak działają Rosjanie: że interwencja zakłada, z jednej strony, wejście wojsk lądowych, rozlokowanie jednostek wokół wielkich miast, a z drugiej – uderzenia punktowe. Opanowanie stołecznego lotniska przez komandosów, przerzucenie nań sił inwazyjnych, również z transportem ciężkiego sprzętu. I atak na węzły łączności oraz dowodzenia, na administracyjne i polityczne centrum państwa. Wiedzieli też, że Rosjanie przywożą w teczce swoją ekipę.

Żołnierze dywizji radzieckich mieli opanować rozpoznane obiekty oraz internować gen. Jaruzelskiego, a także innych członków rządu i kierownictwa PZPR.

Tak było w 1968 r. w Czechosłowacji, kiedy I sekretarz KC KPCz Aleksander Dubczek został aresztowany i przewieziony do Moskwy. Wtedy inwazję wojsk Układu Warszawskiego poprzedziło lądowanie rosyjskich komandosów na lotnisku w Pradze. Lotnisko szybko zostało opanowane, w drugim etapie lądowały na nim wojskowe transportowce z ciężkim sprzętem.

eprasa.pl 7d57c361f1

Tak było w grudniu 1979 r. w Afganistanie, gdy najpierw wojska powietrznodesantowe opanowały lotniska w Kabulu i Bagram, a później, w ramach operacji „Sztorm-333", oddział specnazu zaatakował pałac prezydencki Tadż-bek, zabijając prezydenta Hafizullaha Amina i wprowadzając w jego miejsce Babraka Karmala.

Tak miało też być w lutym 2022 r. na Ukrainie. Rosyjski plan zakładał zajęcie przez specnaz podkijowskiego lotniska Hostomel, przerzucenie tam 8 tys. żołnierzy i zajęcie Kijowa. I oczywiście pochwycenie prezydenta Zełenskiego, co było zadaniem czeczeńskiej grupy uderzeniowej. Plan się nie powiódł – Ukraińcy byli o nim poinformowani, wiedzieli, które lotnisko będzie atakowane, i przygotowali pułapkę. Część śmigłowców, którymi lecieli komandosi, została strącona. Ci, którzy wylądowali, zostali przykryci ogniem i po parogodzinnej walce wyparci z lotniska. Operacja skończyła się rosyjską klęską.

Ten sam plan – opanowanie lotniska przez siły powietrznodesantowe, następnie desant i uderzenie w główne punkty Warszawy – był przygotowany w 1981 r. Miały go zrealizować 7. Gwardyjska Dywizja Powietrznodesantowa Armii Radzieckiej oraz 106. Dywizja Powietrznodesantowa. Ich linią rozgraniczenia była ulica Marszałkowska. Dowódcy obu dywizji oraz dowódcy wchodzących w ich skład pułków i batalionów powietrznodesantowych wylądowali na radzieckim lotnisku w Polsce i w cywilnych ubraniach przeprowadzili rozpoznanie obiektów, w których mieściły się: KC PZPR, Sejm, NBP, MON i MSW. Rozpoznawano też lotnisko Okęcie. Żołnierze obu dywizji mieli opanować wyznaczone obiekty, a także internować gen. Jaruzelskiego oraz innych członków rządu i kierownictwa PZPR.

Ówczesny dowódca 7. DPD Władisław Aczałow przyznał później, jak bardzo był zaskoczony tym, że według planów miał się desantować na lotnisku Bemowo, a gdy tam pojechał, zobaczył osiedle mieszkaniowe.

•

I Jaruzelski, i oficerowie w Sztabie Generalnym wiedzieli więc, jak interwencja jest planowana. Wiedzieli, że wokół Polski skoncentrowane są dywizje wojsk Układu Warszawskiego, gotowe do działań. Że dowódcą interwencji ma być marsz. Wiktor Kulikow, głównodowodzący wojsk Układu Warszawskiego, który 7 grudnia przyleciał do Warszawy. Kulikow rezydował w Rembertowie, gdzie mieściły się radziecka jednostka łączności i stanowisko dowodzenia Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej. I że wszystko zacznie się od uderzenia na Okęcie.

Jaruzelski był realistą. Miał co prawda obietnice Breżniewa i Susłowa, że wojska radzieckie nie wejdą do Polski, że Moskwa zgadza się na „rozwiązanie problemu" polskimi siłami. Zarazem miał świadomość, że obietnica nieinterweniowania jest warunkowa. Że Moskwa ma przygotowane wojska i alternatywną ekipę rządzącą, w każdej zatem chwili może zdecydować, że trzeba działania Jaruzelskiego „wspomóc".

Wojska inwazyjne zgromadzone wokół Polski utrzymano w gotowości do czerwca 1982 r.

Mówił o tym zresztą Michaił Susłow 11 listopada 1981 r. na posiedzeniu KC KPZR, gdy przedstawiał tajny referat dotyczący Polski – że Moskwa ma plan B na wypadek, gdyby uznano, że Jaruzelski sobie nie radzi. W ten sposób Susłow przygotowywał KPZR na wariant interwencji. Żeby partia nie była zaskoczona. Komitet Centralny to ciało kilkusetosobowe, siłą rzeczy informacja o tym, jakie są plany Kremla, musiała też dotrzeć do Warszawy.

Jak Jaruzelski mógł przekreślić ten scenariusz? Po pierwsze, stale zapewniając Rosjan, że sobie poradzi, i szybko opanowując sytuację w kraju. Mówił o tym wielokrotnie: wobec Rosjan nie można okazać żadnej słabości, bo tylko zachęca się ich do działania.

I w ten sposób postępował. Dlatego tak ważne były pierwsze meldunki po 13 grudnia. Nie tylko z powodu strajkujących zakładów pracy, ale i ze względu na „sojuszników" – czy trzymają się od polskich spraw z dala. I tak było, choć pamiętajmy, że wojska inwazyjne zgromadzone wokół Polski utrzymano w gotowości do czerwca 1982 r. Wiemy o tym z dokumentów znalezionych w archiwach Sztabu Generalnego armii czeskiej w Pradze. Były to plany operacji „Karkonosze" – interwencji w Polsce. W pierwszym rzucie do Polski miało wkroczyć 15 dywizji ZSRR, trzy czechosłowackie i dwie NRD. Z dokumentów wiemy, że czechosłowackie dywizje były do operacji przygotowane, miały rozdaną broń, przyszykowany był szpital polowy itd.

Poza tym Jaruzelski musiał pokazać Rosjanom, że interwencja nie będzie bezbolesna. Że może im sprawić masę kłopotów, np. przyjdzie im walczyć z polskim wojskiem. Czy to realny scenariusz? Stosunek sił był miażdżący: 15 naszych dywizji wobec 59 radzieckich, sześciu wschodnioniemieckich i dziesięciu czechosłowackich. Do tego, jak oceniano, Polacy dysponowali zapasami na siedem dni walki. Ale to wystarczało, by zmusić Rosjan do ostrożności.

•

Jaruzelski grał tu va banque. Jeżeli w 1968 r. wojska czechosłowackie pozostawały w garnizonach, to polskie na czas stanu wojennego z garnizonów wyszły i udały się w miejsca ześrodkowań. Nieprzypadkowo te, w których według planów z grudnia 1980 r. miały być rozmieszczone wojska radzieckie, czechosłowackie i NRD. A przecież łatwiej i taniej trzymać zimą żołnierzy w koszarach.

Polskie oddziały, zaznaczmy, wyszły w pełnym uzbrojeniu. Gotowe do walki. Jakiej? Z kim? Jeżeli w pełnej gotowości bojowej wyszły też wojska rakietowe, trudno przypuszczać, że po to, by walczyć z Solidarnością.

Dodajmy, że już wcześniej obowiązywała zasada, że jedna trzecia wojsk lądowych rotacyjnie przebywa na ćwiczeniach. Gdy część wracała do garnizonów, ćwiczyli następni. Jaruzelskiego nie można było zaskoczyć.

eprasa.pl 7d57c361f1

Po wprowadzeniu stanu wojennego obiekty radia i telewizji, w tym przy Woronicza 17, zostały obsadzone przez wojsko. Warszawa, 13 grudnia 1981 r.

Z kolei wojska obrony powietrznej kraju i wojska lotnicze zabezpieczały ze swoich baz przestrzeń powietrzną. O tym, że była to gra w otwarte karty, tak by Rosjanie mieli świadomość, co ich w Polsce może czekać, świadczą wspomnienia polskich dowódców.

Gen. Zenon Poznański w lipcu 1980 r. objął stanowisko szefa sztabu – zastępcy dowódcy 8. Dywizji Zmechanizowanej w Koszalinie. Opowiadał, jak jesienią 1981 r. jednostkę wizytowali przedstawiciele Układu Warszawskiego, czyli oficerowie radzieccy. Najbardziej interesowało ich, w jakiej gotowości bojowej są oddziały i jakie mają zapasy amunicji. Po czym polecili zdanie jej do magazynów. Polscy dowódcy odmówili, zasłaniając się brakiem rozkazów od bezpośrednich przełożonych. Bo nie zamierzali się rozbrajać.

Gen. Roman Harmoza w lipcu 1980 r. został dowódcą 2. Brandenburskiej Dywizji Lotnictwa Szturmowo-Rozpoznawczego w Pile. Też pamięta wizyty radzieckich generałów. „Rosjanie byli bardzo aktywni i chcieli koniecznie do nas przyjeżdżać – wspomina. – Starali się jak najlepiej wiedzieć, co robimy. Kiedy macie odprawę? Tak pytali, a my zawsze mówiliśmy: nie wiemy, nie mamy polecenia".

Stan wojenny oznaczał dla dywizji gotowość bojową. Dla kadry – zakaz wyjazdów i stałe dyżury.

Gen. Ryszard Dębski również służył w dywizji pilskiej, w 45. pułku lotnictwa myśliwsko-bombowego w Babimoście. W jego pułku najpierw ogłoszono pełną gotowość bojową. Jeszcze nikt wtedy nie wiedział, że jest stan wojenny. „O tym dowiedzieliśmy się rano, gdy gen. Jaruzelski wystąpił w telewizji – mówi. I wyjaśnia: – Pełna gotowość bojowa polegała na tym, że podwieszaliśmy wszystkie środki bojowe, jakie były, na samolotach. Czyli rakiety i bomby. I rzut naziemnego zabezpieczenia wychodził w rejon ześrodkowania". Pułk był więc gotowy do walki. A samo lotnisko? „W takich małych miejscowościach, garnizonach, było spokojnie – opowiada gen. Dębski. – W Babimoście mieszkało ok. 6 tys. ludzi, my mieliśmy osiedle przy lesie… Był spokój".

•

Warte uwagi są jeszcze inne fragmenty wspomnień. Po 13 grudnia 1981 r., w następnych latach, wielu polskich oficerów ćwiczyło z Rosjanami na poligonach, studiowało w Moskwie i utrzymywało kontakty. W opowieściach tych ludzi powtarza się jeden wątek: wdzięczności rosyjskich oficerów, że nie musieli do Polski wchodzić. Że to byłoby okropne, bo Polacy to nie Czesi. Jaruzelski wygrał bój psychologiczny.

•

Inaczej sytuacja wyglądała w Warszawie. Okęcie było tu kluczowe, tylko ono mogło przyjmować samoloty transportowe. A powierzenie jego obrony czerwonym beretom, czyli 6. Dywizji Powietrznodesantowej oraz batalionowi szturmowemu z Dziwnowa, miało uzasadnienie. To były dwie odmienne jednostki, różniące się zadaniami i szkoleniem. Dziwnów był przeznaczony do płytkich działań za linią nieprzyjaciela i szybkich działań dywersyjnych. W 1968 r. brał udział w operacji „Dunaj", jego zadaniem było opanowanie lotniska w Hradcu Králové. Akcja zakończyła się bez ofiar w ludziach, żołnierze czechosłowaccy nie stawiali oporu. W następnym etapie żołnierze z Dziwnowa kierowani byli do opanowania lokalnych stacji radiowych.

To z Dziwnowa wypączkowały później Formoza i GROM, mamy więc wyobrażenie, na jakie zadania komandosi byli przygotowani.

Jeśli zaś chodzi o 6. Pomorską Dywizję Powietrznodesantową – jej żołnierze nad ranem przeprowadzili desant na Okęciu. Były to siły 16. batalionu. W pełnym uzbrojeniu. Kilkuset komandosów najlepiej przeszkolonych w polskim wojsku odpowiadało za zamknięcie najważniejszego w Polsce lotniska. Tym samym zamykając drogę do Polski.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. PAP

eprasa.pl 7d57c361f1

Jerzy Ziętek
Bohater pracującej Polski

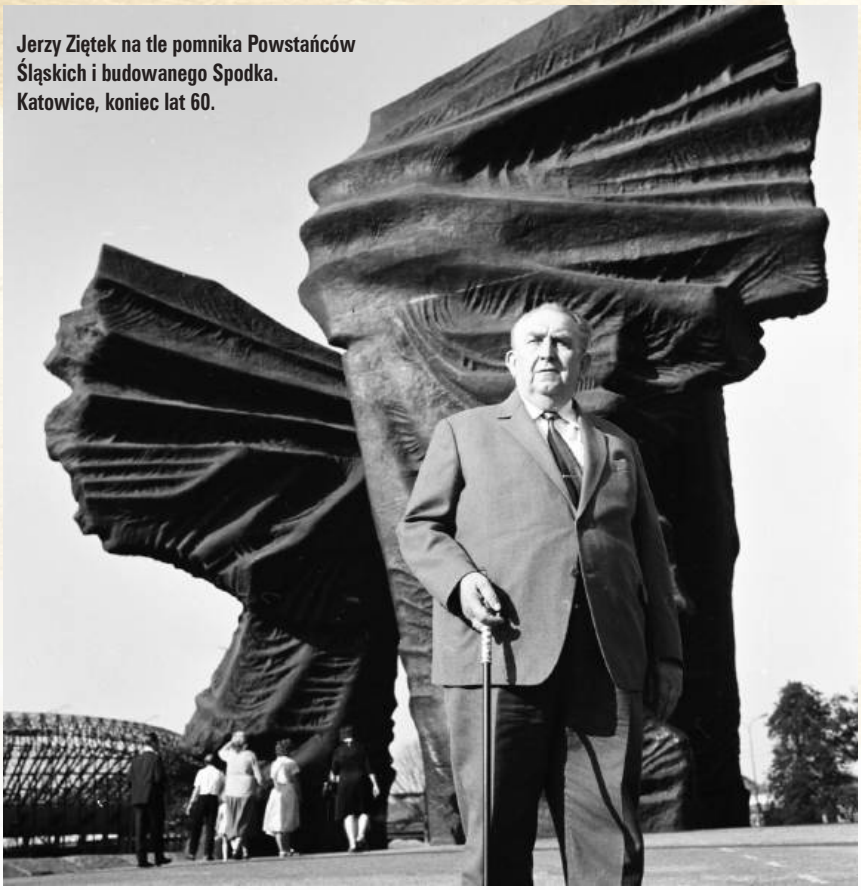

Jerzy Ziętek na tle pomnika Powstańców Śląskich i budowanego Spodka. Katowice, koniec lat 60.

Robert Walenciak

Gdy śląski oddział Stowarzyszenia Pokolenia organizował otwartą konferencję popularnonaukową poświęconą Jerzemu Ziętkowi, zatytułował ją „Generał Jerzy Ziętek – o pamięć i godność". Słusznie, bo w tych dwóch słowach mieści się wszystko, co najważniejsze.

Naród bez pamięci jest kaleki. Historia jest nam potrzebna nie tylko po to, byśmy znali swoje korzenie. Pomaga nam budować naszą tożsamość, nasz system wartości. Możemy nowym pokoleniom wskazywać wzory do naśladowania. Pokaż mi swoich bohaterów, a powiem ci, kim jesteś.

Naród bez pamięci jest kaleki. Historia jest nam potrzebna nie tylko po to, byśmy znali swoje korzenie. Pomaga budować naszą tożsamość, nasz system wartości.

Jerzy Ziętek, urodzony w roku 1901, od najmłodszych lat zaangażowany był w walki o polskość Śląska. Uczestnik powstań śląskich. Później, w II RP – burmistrz Radzionkowa i poseł na Sejm z ramienia BBWR. We wrześniu 1939 r. ewakuowany do Lwowa. Tam spotkał go los zesłańca. Do Polski wrócił z 1. Armią Wojska Polskiego w stopniu podpułkownika. Był wicewojewodą śląskim. W czasach stalinowskich odsunięty, oskarżany o sprzyjanie ludziom z okresu II RP. A po roku 1956 powrócił na stanowiska i tak rozpoczęła się jego legenda. Legenda znakomitego gospodarza, oddanego swojej ziemi, niezwykle popularnego. Do dziś opowiada się na Śląsku, jak Ziętek od godz. 6 rano wizytował budowy, gromiąc niedociągnięcia, zawsze otwarty na spotkania i rozmowy. To za czasów Jerzego Ziętka i Edwarda Gierka Śląsk cieszył się zasłużoną sławą najbardziej rozwiniętej i najlepiej funkcjonującej części Polski.

I oto patologia III RP – ten podręcznikowy wzór jest w niełasce, spychany w niepamięć, opluwany przez IPN jako wróg narodu. A to dlatego, że pełnił ważne funkcje w aparacie państwowym, był nawet członkiem Rady Państwa. Oto chora pamięć IPN – powstaniec śląski, zesłaniec, człowiek, któremu Śląsk zawdzięcza dziesiątki wspaniałych inwestycji, począwszy od parku Śląskiego po Spodek, jest spychany do grona „złych Polaków".

Naród, jeśli nie chce popaść w szaleństwo, musi umieć oddzielać ziarna od plew, musi mieć świadomość, że historia może nas stawiać w różnych sytuacjach, z których trzeba umieć znaleźć jak najlepsze wyjście. Ziętek znajdował. Jego dorobek jest niepodważalny. Zasługuje na pomniki, bo pomniki należą się tym, którzy pracowali dla Polski i których praca przyniosła tak wiele korzyści. Tym, z których nasze dzieci powinny brać wzór.

To jest oczywiste, choć nie dla rządców dusz w III RP. Dlatego katowicka konferencja, która odbyła się 29 listopada br., była tak istotna – by podtrzymać pamięć o wielkim Polaku i bronić godności tych, którzy w Polsce Ludowej dla Polski pracowali. ■

FOT. PIOTR BARACZ/EAST NEWS

eprasa.pl 7d57c361f1

POLSKA LUDOWA. HISTORIA PRAWDZIWA

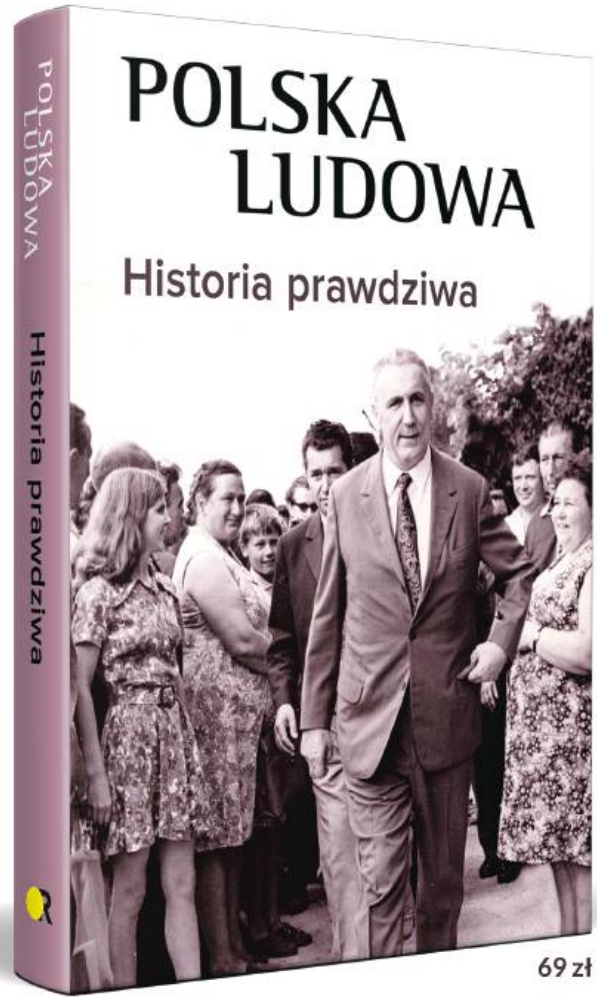

69 zł

Nie gloryfikuje i nie zakłamuje

Pierwsza próba sprawiedliwej oceny

Polska Ludowa zaczyna być porównywana z III RP. Często na jej korzyść. Czy zasadnie? Na to i inne pytania odpowiadają profesorowie: Joanna Hańderek, Dariusz Łukasiewicz i Andrzej Karpiński oraz publicyści: Jarosław Dobrzański, Paweł Dybicz, Bohdan Piętka, Paweł Siergiejczyk, Robert Walenciak i Wiesław Żółtkowski. Całość wieńczą fragmenty *Dzienników* prof. Andrzeja Walickiego.

Przegląd

Książkę można kupić, wpłacając podaną kwotę na konto fundacji „Przeglądu":
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821, Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
lub przez sklep internetowy **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.**

eprasa.pl 7d57c361f1

TVP Info: zmiana szefa i co dalej?

W TVP minęły dwa lata, a wyników nie ma

Mikołaj Dąbrowski

Z robieniem telewizji informacyjnej jest jak z robieniem drużyny piłkarskiej. Po pierwsze, trzeba mieć dobrych zawodników. Po drugie, trzeba mieć dobrego trenera i plan na mecz. I prezesa, który nie przeszkadza.

Jeśli chodzi o TVP Info, nic z tych rzeczy nie działa. Bo stacja ma malutką grupę dziennikarzy, których stać na spektakularną akcję, efektowny drybling i piękny strzał, takich, których konkurencja chciałaby podkupić. Z gwiazdami w Info jest krucho. Czyli już na starcie wygląda to słabo. A jeśli chodzi o trenera i plan na mecz, mamy trzecią ligę. Więc…

Zacznijmy od wyników. W tym przypadku są to wyniki oglądalności. Publikują je m.in. Wirtualne Media. Otóż wedle danych międzynarodowej firmy badawczej Nielsen w październiku w grupie 4+, w kategorii stacji informacyjnych liderują TV Republika (5,58% udziału w rynku), na drugim miejscu jest TVN 24 (4,58%), a potem, daleko za tą dwójką, mamy TVP Info (1,53%), wPolsce24 (1,44%), Polsat News (1,22%) i Wydarzenia 24 (1,08%).

W grupie komercyjnej widzów (16-59 lat) pozycja TVP Info jest jeszcze słabsza. Przeliczmy zresztą te udziały, które mało komu coś mówią, na tysiące oglądających. Otóż dzienna widownia TVP Info to ok. 80-90 tys. osób (w grupie 4+). A w grupie komercyjnej, najważniejszej dla reklamodawców – 17-19 tys. A przecież Info jest powszechnie dostępne, ulokowane na najlepszym multipleksie, zasięgiem pokrywa cały kraj. I niewiele to daje. Taka jest skala obojętności.

Dyrektor generalny TVP Tomasz Sygut i Paweł Moskalewicz, którego na stanowisku szefa TVP Info zastąpił Jan Józefowski.

Dodajmy jeszcze jedno – tego słabego miejsca TVP Info nie można już tłumaczyć zmianą szefów, trudnościami ani tym, że trzeba było wszystko budować od nowa. Bo jesteśmy dwa lata od zmiany władz TVP i przez te dwa lata coś powinno już zostać zbudowane. A wyników nie ma.

Miejmy też świadomość, że te wyniki powinny być. TVP jest potężną firmą. Rocznie do wydania ma ponad 3 mld zł. Owszem, woła, że to za mało, że ma potężne koszty stałe, więc musi ciąć i oszczędzać. I tak robi. Widać to doskonale – kanały tematyczne usychają, TVP Wilno i TVP Polonia to już de facto przeszłość, a TVP 1 notuje niespotykany regres. Na pewno swoją rolę w tym upadku odgrywa brak pieniędzy. Tylko że akurat jeśli chodzi o TVP Info, nie widać ani nie słychać, by tam pieniędzy brakowało.

Skupmy się teraz na trenerze. Niejako wychodząc naprzeciw rozmaitym krytykom obecnego programu, także niedawnemu materiałowi zamieszczonemu w „Przeglądzie", kierownictwo TVP postanowiło dokonać zmiany na stanowisku szefa TVP Info. Pawła Moskalewicza zastąpił od 1 grudnia Jan Józefowski, dotychczasowy szef oddziału w Poznaniu.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 7d57c361f1

Z tej okazji jeden z reporterów TVP Info mówił w Wirtualnych Mediach: „Poprzedni szef TVP Info (czyli Moskalewicz) zniknął jakiś czas temu. Szczerze mówiąc, nikt tego nawet nie zauważył, bo był mało aktywny. Za wszystkie najważniejsze decyzje odpowiada i tak Grzesiek Sajór. Władze TVP chcą podnieść oglądalność TVP Info, a Moskalewicz przez dwa lata nie był w stanie tego zrobić".

Zastanówmy się nad tymi słowami. Przez dwa lata szefem TVP Info był Paweł Moskalewicz. I okazuje się, że nie miał wyników. Dlaczego więc przez te dwa lata pozwalano mu kierować programem? Nikt tej porażki nie widział? Ale, ale… Z wypowiedzi cytowanego dziennikarza wynika, że Moskalewiczowi nie powinno się nic zarzucać, ponieważ i tak był mało aktywny, a za wszystkie najważniejsze decyzje odpowiadał Grzegorz Sajór. Kto więc jest winien słabego wyniku – Moskalewicz, którego nie było, czy Sajór, który de facto tym kierował? Może to jego trzeba wymienić?

Dorzućmy jeszcze jedną postać. Parę tygodni temu w Sejmie dyrektor generalny TVP Tomasz Sygut mówił, że Info to jego oczko w głowie i na nim się skupia. Hm… Jak na dwa lata skupiania się efekty są skromne.

Może więc rola Moskalewicza polega na tym, że dał się zrzucić z sań? Odłóżmy jednak odpowiedź na to pytanie na bok, zadajmy inne: czy nowy szef TVP Info Jan Józefowski potrząśnie tym miłym towarzystwem dyrektorów? Jak się znajdzie w tej grupie?

On sam tryska energią. Zorganizował zebranie załogi i opowiada o swoich planach w mediach. Woła, że czas wyjść do ludzi, że TVP Info czeka teraz „mnóstwo nowej energii". I wylicza: kreatywność wszystkich form na antenie, dynamika, własne tematy śledcze, horyzontalne serie dokumentalne w social mediach kontynuowane na antenie, maksymalna bliskość mieszkańców regionów. Zapowiedział też, że stacja ma szukać swojego widza w mniejszych miejscowościach, ma być więcej relacji z terenu. I że Info nie będzie drugim TVN 24.

Pytania nasuwają się same. Czy te zapowiedzi są realne? I czy doprowadzą do tego, że Info przebije barierę 2% oglądalności?

I tu wracamy do sprawy trenera oraz taktyki na mecz. Problem Info polega na tym, że zbudowało się jako program usługowy dla polityków. Że jest to kronika konferencji prasowych, które zamulają ramówkę i odpychają od ekranu nawet największych fanów życia politycznego. Teoretycznie nowy szef mógłby – w imię rozruszania anteny – te konferencje wyrzucić do kosza. Tylko zastanówmy się, co wówczas zrobią politycy rządzącej koalicji. Dyrektor generalny im zawdzięcza swoją pozycję – i tę pracę, i poprzednią, w autobusach. Czy stać go będzie na konfliktowanie się z nimi? Na mówienie „nie"? Gdy więc pojawi się problem konferencji prasowych, kto ten spór wygra: Marcin Kierwiński czy Jan Józefowski? Odpowiedź jest prosta: wygra wersja wspólna, to znaczy, żeby były konferencje, ale z „mnóstwem nowej energii", pokazane kreatywnie i tak, żeby dotarły do widza w małych miejscowościach.

Drugi problem Info polega na tym, że jest to stacja monotonna w swoim politycznym kolorze. Wciąż opowiada jedną historię – że koalicja rządząca jest świetna, a PiS złe. Służy temu dobór tematów i pytań, służą miny dziennikarzy prowadzących rozmowy, wreszcie dobór rozmówców.

To wszystko jest nudne i przewidywalne, więc trzeba by to zmienić – ale czy nowy szef tego dokona? Skoro mówi, że nie zamierza konkurować z TVN 24, tylko będzie chciał powalczyć o widza z mniejszych miejscowości, to czy ma świadomość, że ten widz jest bardziej konserwatywny niż widz z dużych miast? Że trochę inaczej postrzega świat? Że innych oczekuje treści i pewnie innej formy? Takiego widza tatuaże Karoliny Opolskiej raczej rozpraszają i rażą.

Łączy się z tym inna rzecz, mianowicie coś, co jest crème de la crème dziennikarstwa i telewizji, czyli sprawa gwiazd. O! One przecież przyciągają widzów, to dla nich widzowie wybierają taką, a nie inną stację. Tymczasem w TVP Info gwiazd nie widać. Dlaczego tam ich nie ma?

TVP Info nie może ich mieć, bo ich nie buduje. Gwiazdą informacji czy publicystyki można zostać, wychodząc z tłumu innych, prowadząc ciekawie program, zadając dobre pytania, które przyciągają uwagę. Robiąc program, który się pamięta i do którego chcą przychodzić najważniejsi goście, ci topowi. Ale to są warunki nie do spełnienia w stacji z założenia usługowej, gdzie walczy się nie o uwagę i sympatię widza, lecz o sympatię paru ważnych ludzi. O to, żeby było słusznie. W takich warunkach nawet najbardziej charyzmatyczna dziennikarska postać zostanie ściągnięta w dół.

Bo co można zrobić, gdy temat programu będzie z tych słusznych i przewałkowanych przez wszystkie inne stacje, a goście wyznaczeni przez biuro prasowe partii politycznych? Trzeci szereg nudziarzy albo awanturników.

Tak wygląda sytuacja na boisku. Cel jest jasny i wcale nie księżycowy – Info musi osiągnąć 2% widowni. Z ciekawością więc będziemy się przyglądać, jak sobie radzi nowy trener Jan Józefowski. Bo mecz ma każdego dnia. Jak będą się przebijać jego pomysły taktyczne, nowi zawodnicy i jak odporny będzie na zmarszczone brwi prezesa klubu oraz garstki ważnych kibiców. ■

Kto jest winien słabego wyniku: Moskalewicz, którego nie było, czy Sajór, który de facto tym kierował?

Problem Info polega na tym, że zbudowało się jako program usługowy dla polityków.

eprasa.pl 7d57c361f1

Spokojnie! Kościół stać na wasze pensje!

Odpowiedź na polemikę przedstawicieli Stowarzyszenia Katechetów Świeckich

Kornel Wawrzyniak

Zaciekawiło mnie to, że w polemice z tekstem „35 lat religii w szkole i coraz szybsza laicyzacja" autorzy odnoszą się jedynie do tych tez, które są dla nich wygodne. Nie ma słowa o tym, jak nierówne jakościowo potrafią być lekcje religii. A przecież rozmawiałem o tej kwestii z praktykiem, który religii uczył. Polemiści mają też problem z przedstawianymi danymi o postępującej laicyzacji. Jest próba ich odwrócenia, swoich liczb jednak nie przytaczają. To duży błąd, bo czytelnicy „Przeglądu" nie dają się nabierać na kuglarskie sztuczki. Liczby nie kłamią – zlaicyzowana przyszłość jest nieuchronna.

Nie traktujmy zatem nauczycieli religii jak górników. Nadszedł czas na przekwalifikowanie się. Według danych ZNP brakuje ok. 20 tys. nauczycieli, więc nie ma strachu. Autorzy twierdzą, że podlegają tym samym standardom dydaktycznym co inni nauczyciele – ciekawe jest sformułowanie, że są jacyś inni nauczyciele i nauczyciele religii. Zmiana może być o tyle trudna, że np. ucząc języka polskiego czy matematyki, trzeba będzie się trzymać programu nauczania ustalanego przez MEN.

Takie podejście rozwiązuje jednak problem finansowy, chyba najważniejszy, skoro otwiera nadesłaną polemikę. Autorzy twierdzą, że nauczyciele religii są jedynymi ludźmi, „którzy codziennie słuchają młodzieży, rozmawiają z nią o wartościach, cierpieniu i nadziei, gdy inni już nie mają na to czasu". Jeśli więc zostaną w szkole jako nauczyciele innych przedmiotów, nadal będą mieli tę możliwość. Najlepiej zgłosić się po wychowawstwo jakiejś klasy. To dopiero okazja, by się zetknąć z problemami konkretnej trzódki.

Zresztą szkoda, że tak zatroskani o dzieci ludzie nie wspierali wprowadzenia edukacji zdrowotnej, której program skupia się na wielu problemach młodych osób we współczesnym świecie. Ale podejdźmy do sprawy jeszcze inaczej. Dlaczego nie przedmiot wiedza o religii? Wtedy będzie mowa o wszystkich religiach świata, o imperatywie kategorycznym Kanta i rozterkach moralnych młodzieży. Dlaczego zatem świeccy katecheci nie rozmawiają dziś z MEN o takim przedmiocie? Jest ich tylu, co sami podkreślają, że mogą lobbować za taką opcją. Być może dzieje się tak dlatego, że chodzi jednak o indoktrynację i wychowywanie w tej konkretnej wierze.

Autorzy piszą: „Bezstronność (nie »neutralność«) światopoglądowa państwa nie oznacza eliminacji religii z przestrzeni publicznej, lecz równy szacunek dla przekonań wierzących i niewierzących". Mam wątpliwości co do równego szacunku. Przypominają mi się słowa jednego z kontrmanifestantów podczas pierwszego marszu równości w Płocku. Zagajony przez telewizję powiedział: „Niech oni robią sobie, co chcą. Byle u siebie w domu". To typowe rozumienie pojęcia tolerancja. Filozof Michael Walzer wskazuje, że etymologicznie tolerować wzięło się od łacińskiego tolerare – znosić, wytrzymywać, cierpieć. W pierwotnym znaczeniu chodziło o cierpliwą wytrwałość w obliczu czegoś, co jest sprzeczne z naszymi poglądami, ale czego nie można zmienić.

Przypomnę tylko, bo praktycy, którzy uczą w szkołach, pisząc polemikę, nie mieli odwagi przyznać, że w większości przypadków uczniowie byli do tej pory zapisywani na religię z automatu. Jak ktoś nie chce na nią chodzić, musi się wypisać. A przecież umówieni jesteśmy jako społeczeństwo na coś dokładnie odwrotnego, czyli zapisy dla chętnych. Gdzie tu miejsce na wolność sumienia i religii zawartą w art. 53 konstytucji? Od 25 lat obserwuję systemowe piętnowanie dzieci niechodzących na religię. Chociażby poprzez zaliczanie oceny z religii do średniej czy umieszczanie etyki po wszystkich innych lekcjach. Autorzy polemiki nie odnoszą się do praktyki, a ta pokazuje doskonale, jakie jest to „bezstronne" traktowanie dzieci. Do tej pory siedziały w świetlicy, bibliotece lub na korytarzu podczas religii, która odbywała się w środku dnia.

Wracając do finansów, przypomnę słowa prymasa Józefa Glempa, który deklarował: „Kościół nie chce ani złotówki z budżetu państwa za nauczanie religii w szkołach publicznych. My do szkół nie idziemy po pieniądze, my tam idziemy z misją". Dodatkowo według prof. Pawła Boreckiego z Zakładu Prawa Wyznaniowego UW konkordat nie przesądza, kto ma finansować lekcje religii w szkołach. Tymczasem według ustaleń Wirtualnej Polski z czerwca br. polskie diecezje dysponują majątkiem wartym co najmniej 495 mln zł. Na liście są kompleksy wypoczynkowe, centra konferencyjne, a nawet restauracje. Może warto się zwrócić po pensum do prymasa Polaka? Nie, nie musicie panowie dziękować. ■

eprasa.pl 7d57c361f1

Ministerstwo Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej

ŚRODA

24

GRUDNIA

WIGILIA

DZIEŃ WOLNY OD PRACY

eprasa.pl 7d57c361f1

Z nieba do piekła, czyli kariera Dicka Cheneya

Piotr Kimla

Czytelnicy „Przeglądu” wiedzą, że wiceprezydent nie ma silnej pozycji w systemie ustrojowym Stanów Zjednoczonych. Nie ma jej tak długo, jak żyje i cieszy się zdrowiem urzędujący prezydent. Wypada jeszcze dodać, że wiceprezydent jest przewodniczącym Senatu i dysponuje głosem rozstrzygającym w wypadku równego rozłożenia głosów w określonej sprawie, że stanowisko wiceprezydenta jest dogodną platformą do ubiegania się o prezydenturę, gdy urzędujący prezydent odbędzie dwie kadencje lub po pierwszej zrezygnuje z kandydowania, i że wiceprezydent ogłasza wyniki wyborów prezydenckich na poziomie federalnym.

Ta ostatnia funkcja, mało znacząca, wydawałoby się, sprowadzająca się do przeliczenia głosów elektorskich i oficjalnego przedstawienia ich opinii publicznej, okazała się kluczowa pod koniec pierwszej kadencji Donalda Trumpa. Poprawne wywiązanie się z niej przez wiceprezydenta Mike’a Pence’a, mimo silnej presji wywieranej przez samego Trumpa, przesądziło o oddaniu przez Trumpowską administrację władzy po przegranych wyborach prezydenckich w 2020 r. Dla samego Pence’a oznaczało to oczywiście koniec kariery w obozie MAGA.

Kariera Dicka Cheneya – zmarłego na początku listopada wiceprezydenta USA w latach 2001-2009 – zaprzecza powyższej teorii. W trakcie pierwszej wiceprezydentury skupił w swoim ręku potężną władzę, szczególnie w zakresie obronności oraz w sferze polityki zagranicznej. Odegrał zasadniczą rolę w amerykańskiej inwazji na Irak i w zainicjowaniu globalnej wojny z terroryzmem. Stał się bez wątpienia najpotężniejszym wiceprezydentem w dziejach Ameryki, choć nie wyszło to na dobre ani jej, ani reszcie świata.

Od lewej: sekretarz obrony Donald Rumsfeld, prezydent George W. Bush i wiceprezydent Dick Cheney. Pentagon, 15 grudnia 2006 r.

Cheney: „Nie negocjujemy ze złem, my je eliminujemy”.

W jaki sposób tego dokonał? Zaważyło na tym doświadczenie, jakie zdobył w młodości, gdy został zrekrutowany przez Donalda Rumsfelda, który był szefem personelu Białego Domu za prezydentury Richarda Nixona, a po jego ustąpieniu i objęciu urzędu przez Geralda Forda został sekretarzem obrony. Właśnie wtedy Cheney stworzył krąg zaufanych współpracowników i zdobył wiedzę o tym, gdzie leży prawdziwa władza w obrębie rządu federalnego. Dlatego w swoim biurze wiceprezydenta zbudował radę równoległą do Rady Bezpieczeństwa Narodowego i przekonał prezydenta Busha juniora do mianowania Rumsfelda sekretarzem obrony. Działając wspólnie, zmarginalizowali oficjalną Radę Bezpieczeństwa Narodowego, na której czele stanęła dobrze wykształcona, ale politycznie niewyrobiona Condoleezza Rice. Wymanewrowali także sekretarza stanu gen. Colina Powella, który wyobraził sobie, że zgodnie z nominalną funkcją będzie prowadził politykę zagraniczną.

Generalnie, jak ukazuje to Barton Gellman w książce „Angler: The Cheney Vice Presidency”, Cheney wykorzystał okres przekazywania władzy po wygraniu przez Busha juniora

eprasa.pl 7d57c361f1

wyborów do obsadzenia swoimi ludźmi stanowisk, na których sprawuje się rzeczywistą władzę. W ten sposób zyskał pole do wykorzystania „unilateralnego momentu" w historii Stanów Zjednoczonych (dominacji Ameryki po końcu zimnej wojny), by zadbać, aby żaden rywal nie tylko w regionie, ale i na świecie nie śmiał rzucić rękawicy USA.

Wepchnął tym samym amerykańską politykę w imperialne koleiny, wpływając na charakter prezydentury i na zmiany, które zaszły w Partii Republikańskiej, a których skutki widoczne są dziś jak na dłoni. Obserwowanie z bliska losu „imperialnej prezydentury" Nixona nie skłoniło go bowiem do gloryfikacji władzy legislacyjnej, co mogłoby się wydawać oczywistością. Przeciwnie, wyciągnięte wnioski utwierdzały go w przekonaniu o konieczności wzmocnienia wykonawczej władzy prezydenta. Zarazem wrogo usposabiały do negocjacji pokojowych i środków dyplomatycznych, a kazały stawiać na rozwiązania siłowe. Za klasyczny przykład mogą służyć amerykańskie rozmowy na temat broni jądrowej z Koreą Północną, które zainicjował jeszcze prezydent Bill Clinton. Ich kontynuacji pragnął Powell. Wówczas to Cheney wypowiedział publicznie słynne słowa: „Nie negocjujemy ze złem, my je eliminujemy".

11 września 2001 r. amerykańskiej dominacji potężny cios zadała Al-Kaida. Rumsfeld i Cheney zaczęli twierdzić, że przywódca organizacji Osama bin Laden ma powiązania z reżimem Saddama Husajna w Iraku. Rumsfeld ogłosił nawet 27 września 2002 r., że ma „kuloodporne" dowody, iż Husajn jest ściśle związany z bin Ladenem (zob. „New York Times", 28 września 2002). Żadnych takich dowodów nie posiadał, co przyznał dwa lata później. „O ile pamiętam, nie widziałem żadnego mocnego, wyraźnego dowodu łączącego ich obu", oświadczył (zob. „New York Times", 5 października 2004).

Inwazję na Irak przypieczętowało twierdzenie o posiadaniu przez Husajna broni masowego rażenia. Pod koniec sierpnia 2002 r. na spotkaniu z weteranami wojennymi Cheney deklarował, że „nie ma wątpliwości, iż Saddam Husajn ma obecnie broń masowego rażenia. Nie ma wątpliwości, że gromadzi ją, by jej użyć przeciw naszym przyjaciołom, przeciw naszym sojusznikom i przeciw nam".

Prezydent Gerald Ford (w środku) z szefem sztabu Donaldem Rumsfeldem (z lewej) i zastępcą szefa sztabu Dickiem Cheneyem. Gabinet Owalny, 28 kwietnia 1975 r.

Fatalny obrót spraw w Iraku dał mu asumpt do zdymisjonowania Rumsfelda i zastąpienia go byłym dyrektorem CIA Robertem Gatesem. Również Cheney był coraz mocniej izolowany. Prezydent zaczął odzyskiwać władzę utraconą na rzecz duetu.

Dick Cheney był najpotężniejszym wiceprezydentem w dziejach Ameryki, choć nie wyszło to na dobre ani jej, ani reszcie świata.

Rumsfeld posunął się jeszcze dalej, oświadczając, że Stany Zjednoczone mają pewność, że Irak posiada broń masowego rażenia: „Wiemy, gdzie ona się znajduje".

Wszystko to okazało się nieprawdą. Uczyniło jednak z Iraku krwawą łaźnię. Amerykańska inwazja doprowadziła do Hobbesowskiej bellum omnium contra omnes – wojny wszystkich ze wszystkimi, którą reżim Husajna, choć przy użyciu brutalnych środków, potrafił powstrzymywać. Dopóki trwał. Interwencja Amerykanów kosztowała życie setki tysięcy ludzi.

Stopniowo prezydent Bush junior zaczął rozumieć, do jakiego stopnia duet Rumsfeld-Cheney negatywnie wpływał na jego prezydenturę. Cheneyowi zaś odzyskać pozycji już nigdy się nie udało. Człowiek, w którego ręku skupiały się kiedyś prawie wszystkie nici władzy, umarł w niemal całkowitym zapomnieniu. Próbował o sobie przypomnieć w zeszłorocznych wyborach prezydenckich poprzez udzielenie wsparcia Kamali Harris, prawdopodobnie jednak bardziej jej zaszkodził, niż pomógł. W każdym razie Harris zdobyła ledwie 5% głosów wyborców Partii Republikańskiej. To mniej niż Joe Biden cztery lata wcześniej.

Prof. dr hab. Piotr Kimla pracuje w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

FOT. AP/ EAST NEWS, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 7d57c361f1

Bajka o dobrych Chińczykach

Państwo Środka ma coraz większe problemy z ukrywaniem imperialnych ambicji

Mateusz Mazzini

„Ta brudna głowa, która wychyla się i wtrąca w nie swoje sprawy, musi zostać odcięta". Choć w ostatnich miesiącach z ust polityków niemal wszystkich krajów i opcji padały słowa jeszcze kilka lat temu trudne do wyobrażenia lub poważnego potraktowania, takie zdanie wciąż wzbudza kontrowersje. Zwłaszcza jeśli wypowiada je ktoś, kto przynajmniej nominalnie jest dyplomatą. A taką osobą jest Xue Jian, konsul generalny Chińskiej Republiki Ludowej w japońskiej Osace. W zacytowanym wpisie na platformie X odniósł się do nowej szefowej rządu w Tokio, Sanae Takaichi.

Pierwsza w historii kobieta na tym stanowisku, polityczka ambitna, konserwatywna, ale też zdecydowana i dobrze odnajdująca się w dzisiejszych tendencjach do wyrazistych diagnoz i deklaracji, swobodnie płynie na fali ogromnej popularności. Według badań opinii publicznej z początku grudnia, cytowanych przez portal Nikkei Asia, pozytywną opinię na temat jej rządów ma 76% respondentów. Biorąc pod uwagę fakt, że jej poprzednik Shigeru Ishiba opuszczał urząd, kiedy społeczna satysfakcja była na poziomie poniżej 30%, jej wynik jest spektakularny – aczkolwiek jej rządy trwają zaledwie półtora miesiąca.

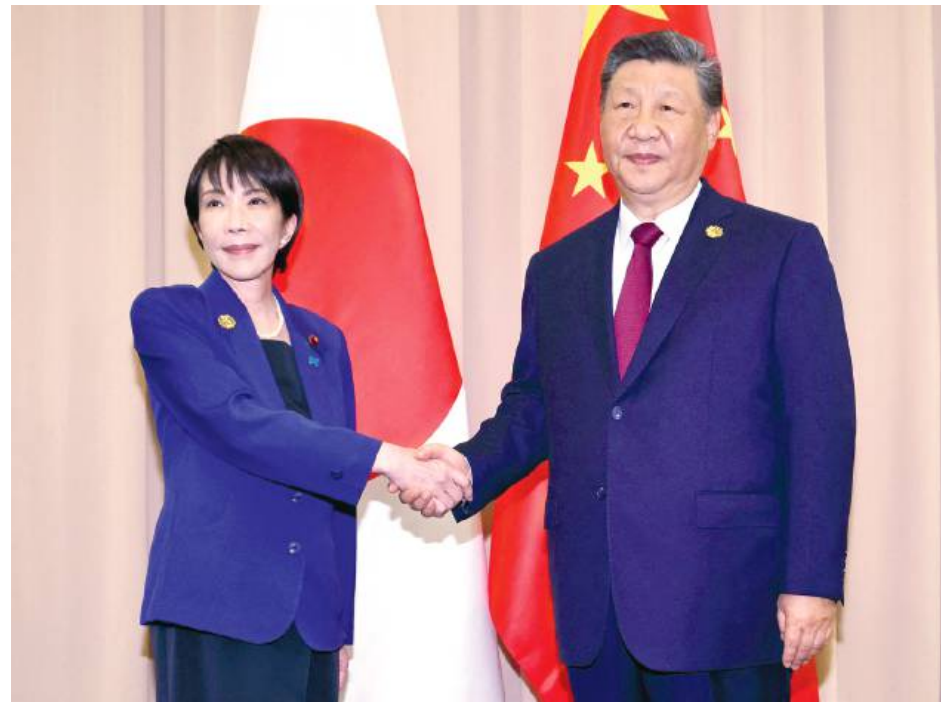

Premier Japonii Sanae Takaichi z prezydentem Chin Xi Jinpingiem na Forum Współpracy Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) w Gyeongju, 31 października 2025 r.

Obrona? Tylko teoretyczna

Sanae Takaichi ma sprecyzowane poglądy na wiele rzeczy, w tym na kwestię, którą w niedawnym przemówieniu do japońskiego parlamentu nazwała „egzystencjalną", czyli bezpieczeństwo Tajwanu. Stwierdziła wówczas, że ewentualna inwazja Chin na wyspę mogłaby stanowić zagrożenie dla japońskiej państwowości, co z kolei uzasadniałoby uruchomienie „prawa do samoobrony". To termin wprowadzony przez japońską legislaturę w 2015 r. jako swego rodzaju furtka militarna.

Japonia, zdemilitaryzowana siłą przez aliantów po II wojnie światowej, teoretycznie nie ma sił zbrojnych – przynajmniej nie w tradycyjnym, zachodnim znaczeniu tego pojęcia. Tamtejsze jednostki, o znacząco ograniczonych zdolnościach zaczepnych, nazywane są właśnie samoobronnymi i na co dzień wykonują zadania, które trudno nazwać militarnymi. Pomagają w akcjach ratunkowych po katastrofach naturalnych, wspomagają ochronę wydarzeń publicznych i pilnują sytuacji na japońskich wybrzeżach.

Zgodnie z obowiązującą od powojnia doktryną Japonia może więc się bronić, i to całkiem skutecznie – ale raczej krótko, operacje ofensywne w bieżącym układzie nie są zaś możliwe.

Debata o remilitaryzacji Japonii przez lata pozostawała w dużej mierze teoretyczna, bo takie też były zagrożenia. Nawet nieustanna eskalacja działań nuklearnych ze strony Korei Północnej, przejawiająca się w regularnych testach rakiet, spadających do morza w połowie drogi między półwyspem a japońskimi wyspami, nie wywoływała paniki klasy politycznej w Kraju Kwitnącej Wiśni. Czasy jednak się zmieniły, także dla decydentów w Tokio. To nie Korea Północna, ale Chiny w największym stopniu destabilizują porządek pokojowy w Azji. A Tajwan leży raptem 100 km od japońskiego brzegu.

eprasa.pl 7d57c361f1

Kryzys dyplomatyczny wywołany wpisem konsula w mediach społecznościowych (później zresztą usuniętym) to nie tylko opowieść o budzących się z letargu Japończykach czy awanturniczych chińskich urzędnikach. To jeden z najważniejszych elementów globalnego geopolitycznego przetasowania, w ramach którego stare zasady – te pisane i te etyczne – przestają obowiązywać. Sojusze stają się transakcyjne i tymczasowe, sztywne granice bloków ideologicznych ustępują miejsca wielowektorowej dyplomacji, w której każdy wykazuje gotowość do rozmowy z każdym. No, prawie z każdym.

Sanae Takaichi stwierdziła, że inwazja Chin mogłaby stanowić zagrożenie dla japońskiej państwowości, co uzasadniałoby uruchomienie „prawa do samoobrony".

Od wczesnych lat 50. XX w. Japonia, choć położona daleko na wschodzie, uznawana była za integralny element obozu zachodniego. Zachód, jak w eseju na temat jego kroczącego upadku napisał w magazynie „Foreign Affairs" Stewart Patrick, był „systemem samym w sobie". Nie pojęciem geograficznym, ale właśnie systemem, opartym na dominacji trzech zasadniczych koncepcji. Na płaszczyźnie politycznej Zachód definiowała liberalna demokracja jako ustrój, w gospodarce – wolny rynek, a w relacjach państwa z obywatelem – centralna rola praw człowieka, rozpatrywanych z punktu widzenia jednostki. Japonia całą tę triadę przyjęła, nawet jeśli niektóre jej elementy (zwłaszcza obywatelski indywidualizm) były całkowicie sprzeczne z jej własnym dziedzictwem kulturowym.

Po dramacie wojennym kraj wszedł na ścieżkę wzrostu, rozwoju technologicznego, innowacji i ekspansji handlowej. Dominował, bo był dobrym i uczciwym partnerem, ale też dlatego, że kwestia bezpieczeństwa nie była w ogóle zmienną w japońskim równaniu politycznym. Do dzisiaj na terenie Japonii stacjonuje ok. 55 tys. amerykańskich żołnierzy i personelu wsparcia w 15 bazach i jednostkach wojskowych, a bywało ich jeszcze więcej. Amerykanie dawali Japończykom parasol nuklearny, szkolili siły obrony cywilnej, chronili przed zagrożeniami, nawet tymi wyimaginowanymi. Japonia mogła rosnąć, bo za plecami czuwał starszy brat, zawsze przyjaźnie nastawiony.

Papierowy sojusz

Oficjalnie ten sojusz nie został oczywiście zerwany, ale tylko najbardziej naiwni obserwatorzy wierzą, że w czasach drugiej administracji Trumpa świat pozostaje taki jak za Clintona, Busha czy Obamy. Nikt nie mówi np. o wycofaniu się amerykańskich jednostek z Japonii, nawet w przeciekach dotyczących wciąż nieopublikowanej Narodowej Strategii Bezpieczeństwa nie pojawia się taki wątek. Jednak Stany Zjednoczone wycofują się z zaangażowania zewnętrznego, a co gorsza z punktu widzenia Tokio, nikt tak naprawdę nie wie, jaka jest polityka Trumpa wobec Chin. 55 tys. żołnierzy to może dużo, ale nic nie znaczą, jeśli nikt nie wyda im rozkazu, by bronili japońskich terytoriów.

To nie Korea Północna, ale Chiny najbardziej destabilizują pokojowy porządek w Azji.

Trump jest nieprzewidywalny. Były amerykański dyplomata wysokiego szczebla, związany z administracją Obamy, wypowiadając się anonimowo na potrzeby tego tekstu, przyznał nawet, że w Waszyngtonie panuje panika po ostatnim spotkaniu Trumpa z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem. W administracji, a przynajmniej w jej technokratycznej części, zdominowanej przez zwolenników przerzucenia amerykańskich zasobów w zdecydowanie większym stopniu na teatr pacyficzny, dominuje przekonanie, że Chiny trzeba powstrzymywać. Niekoniecznie za pomocą bezpośredniej konfrontacji, ale przynajmniej w ramach „strategicznej niejednoznaczności", czyli niewykluczania pomocy Tajwańczykom. Nie ma jednak żadnej pewności, że tak samo na Pekin spogląda Trump.

„Ludzie tacy jak Elbridge Colby (szef planowania polityki w Pentagonie) rwą sobie włosy z głowy, bo nie mają pojęcia, czy Trump nie sprzeda ich polityki wobec Chin za kilka miliardów dolarów zysków z eksportu produktów sojowych", mówi wspomniany dyplomata.

W tym samym tonie podczas niedawnej konferencji „Time To Decide Europe", zorganizowanej przez Fundację ERSTE w Wiedniu, wypowiadał się Iwan Krastew, jeden z najważniejszych politologów i intelektualistów współczesnej Europy. Wydaje się więc, że coraz większa liczba decydentów, naukowców czy komentatorów zaczyna zdawać sobie sprawę z faktu, że z Trumpem w tej kadencji wszystko jest możliwe.

Myśleć w tych kategoriach zaczyna też szefowa rządu w Tokio, czego dowodem była wspomniana wypowiedź w parlamencie. I jeśli rzeczywiście rozważa reorganizację struktur militarnych w Japonii bez uwzględniania w nich roli Amerykanów – idzie w dobrym kierunku. Trump najpierw kwestię Tajwanu przemilczał w niedawnej rozmowie telefonicznej z Xi Jinpingiem, a potem, jak informuje Agencja Reutera, powiedział Sanae Takaichi, żeby ta „obniżyła ton głosu", kiedy wypowiada się na temat Chin. Trudno o bardziej wymowną deklarację poglądów amerykańskiego prezydenta, który znów pokazuje, że nie zamierza nikogo bronić, przynajmniej nie za darmo.

Ewentualne zwinięcie amerykańskiego parasola ochronnego nad Japonią będzie miało konsekwencje

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7d57c361f1

zarówno regionalne, jak i globalne. Po pierwsze, jak wiele miesięcy temu zauważył Robert Pszczel, były dyrektor Biura Informacji NATO w Moskwie, Tokio czy Seul są w znacznie gorszej sytuacji niż chociażby państwa europejskie, bo natura sojuszy bezpieczeństwa w Azji jest bilateralna, a nie wielostronna. Wszystko opiera się tam na relacjach ze Stanami, kraje demokratyczne w Azji nie mają wobec siebie wzajemnych zobowiązań obronnych.

Ambiwalencja Waszyngtonu ewidentnie zaś ośmiela Chińczyków, którzy zaczynają uprawiać po raz kolejny *wolf warrior diplomacy* – dyplomację wojowniczego wilka. Ta znacznie bardziej konfrontacyjna forma dyplomacji, rozpoczęta w pierwszych latach rządów Xi Jinpinga, później nieco zeszła na dalszy plan, a jej miejsce zajęła koncyliacyjna polityka ekspansji handlowej. Teraz jednak Chiny retorycznie gryzą, bo nie mają powodu, żeby tego nie robić.

Chiny – upadły mit

Tym samym, jak zauważa James Kynge, były korespondent „Financial Timesa" w Chinach, a dzisiaj badacz w think tanku Chatham House, zaczyna upadać mit o Chinach jako „racjonalnym supermocarstwie". Przez kilka pierwszych miesięcy po powrocie Donalda Trumpa do władzy wiele osób, również na Zachodzie, ulegało niebezpiecznej fantazji o potencjalnym zbawiennym wpływie Pekinu na rozchwiany przez ruch MAGA porządek międzynarodowy.

Nagle, w oczach niektórych, chińscy komuniści zaczęli się jawić jako przewidywalni, merkantylni, wręcz pozbawieni złej woli politycy, którzy wprawdzie uzależniają świat od swojej nadprodukcji przemysłowej, ale przynajmniej nie będą fizycznie agresywni. W rezultacie, zwłaszcza w niektórych kręgach zachodniej lewicy – w Wielkiej Brytanii, w Hiszpanii, we Włoszech – zaczęto nawoływać do zwiększenia wymiany handlowej z Chinami, intensywniejszej dyplomacji bilateralnej, a nawet – jak w przypadku brytyjskiej kanclerz skarbu Rachel Reeves – ustawienia Pekinu w roli motoru wzrostu gospodarczego całego kraju.

Nikomu chyba nie trzeba już tłumaczyć, że ten wizerunek Chin nie ma nic wspólnego z prawdą. Oczywiście jak w każdym reżimie niedemokratycznym i tam części establishmentu wolno powiedzieć więcej niż tym, którzy znajdują się w jego głównym nurcie – i być może konsul w Osace należy do tej grupy. Nie zmienia to jednak faktu, że publiczne wypisywanie gróźb pod adresem premier kraju, w którym jest się akredytowanym, nie ma wiele wspólnego z dyplomacją – jest raczej zapowiedzią tego, że jeśli będzie trzeba, Chiny nie cofną się ani na milimetr.

Zwłaszcza że – co pokazało fiasko polityki celnej Trumpa – mamy dziś do czynienia z zupełnie innymi Chinami niż za pierwszej jego kadencji. Dzisiejsze Chiny to Chiny znacznie bardziej asertywne, niemające żadnego problemu z mierzeniem się z cłami nakładanymi przez Amerykanów. Bez żadnego problemu odbiją to sobie na innych rynkach, nie mówiąc o tym, że w kluczowych technologiach przyszłości, takich jak informatyka kwantowa, sztuczna inteligencja, energia odnawialna, jeśli nie dominują nad Zachodem jakościowo, robią to już w kwestii skali.

Pekin ma obecnie największą na świecie liczbę doktorantów na kierunkach inżynierskich, ponad 200 specjalizacji uniwersyteckich poświęconych metalom ziem rzadkich, produkuje 80% wszystkich globalnie sprzedawanych paneli słonecznych i jest na najlepszej drodze do energetycznej autarkii, przy jednoczesnym uzależnieniu od siebie Europy, Afryki i sporej części krajów latynoskich. Chiny Xi Jinpinga są świadome własnej siły i chętnie dokonują jej projekcji na zewnątrz.

Ich dominacja, także militarna, w regionie Azji i Pacyfiku nie jest jednak przesądzona. Chiny mogą mieć liczną, nowoczesną i ambitną armię, ale jest to armia bez doświadczenia na polu walki. Chińczycy produkują masę sprzętu wojskowego, ale nie wiedzą, czy on działa w warunkach bojowych. Dlatego wykorzystują w tym celu konflikty, które w takim ujęciu są wojnami zastępczymi – jak majowe starcie Pakistanu z Indiami czy nawet konflikt w Ukrainie. Wszędzie tam, po stronie pakistańskiej i rosyjskiej, używane są chińskie technologie.

Japonia, już chyba coraz bardziej świadoma chińskich tendencji ofensywnych, powinna wszędzie tam być – po to, by nie musieć analizować szczątków chińskich dronów, kiedy już spadną na jej terytorium.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 7d57c361f1

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Ostateczne rozwiązanie kwestii ukraińskiej?

Jak na plan przejęcia całej Ukrainy, na trzeszczący front, na ukraiński skandal korupcyjny żądania Władimira Putina wyrażone niedawno na konferencji prasowej w Biszkeku wyglądają powściągliwie. Wszak chodzi tylko o odebranie Ukrainie Krymu, Donbasu i Ługańszczyzny! No ale jest to ok. 20% ukraińskiego terytorium, zatem niemal dokładnie taka część państwa, jaką w roku 1945 musiały przekazać Polsce pokonane w wojnie Niemcy. A o żadnych ustępstwach nawet mowy dziś nie ma.

Bo mniejsza już, że w rosyjskich żądaniach istnieją też inne punkty, których Putin teraz nie wymienił, ale których nigdy nie odwołał. Najistotniejsza jest odmowa rokowań z Ukrainą, bo jej władze są „nielegalne". Putina nie obchodzi, że ukraińska konstytucja zabrania organizowania wyborów w stanie wojny. Natomiast z dumą powiada, że w Rosji podczas wojny takie wybory odbyły się normalnie. Porównywać Rosję z bombardowaną przez nią Ukrainą to szczyt cynizmu. A Rosja pouczająca Europę o zasadach demokracji – to dowcip stulecia.

Gdyby jednak jakaś siła zmusiła rosyjskiego dyktatora do uznania realiów, to i tak ma on w przyszłości zawsze ten sam argument: negocjacje z władzami nielegalnymi były nieważne. A gdyby Ukraina się ugięła i przeprowadziła wybory… Lecz przecież nie wiemy, czy miałyby się one odbyć po zawieszeniu broni, czy jeszcze w trakcie działań wojennych. No i na jakim właściwie terytorium. A gdyby organizowano je w warunkach pokojowych, na Ukrainie okrojonej od wschodu i południa, to bez trudu można sobie wyobrazić ujawniającą się wtedy rosyjską piątą kolumnę oraz artyleryjski ogień rosyjskiej propagandy, atakujący śmiertelnie zmęczone ukraińskie społeczeństwo. Czy z takiej „demokratycznej" zawieruchy wyłoni się gabinet zorientowany na Rosję?

Przed laty, widząc Rosję prężącą muskuły, wzywałem do głębszego jej uwzględnienia we wszelkich politycznych rachubach. Byłem przekonany, że młodziutka państwowość ukraińska musi na razie lawirować między Rosją a Zachodem, musi kupować bezcenny czas. Nagłe zerwanie więzów byłoby zerwaniem z tym, co – mimo różnych krótszych lub dłuższych, a zawsze tragicznych epizodów – trwało jednak na tych ziemiach ostatnie 370 lat. Tymczasem najważniejsze jest zawsze państwo i jego terytorialna integralność. Ostatnim gwarantem tych wartości był dla mnie (znienawidzony w swym kraju i mający fatalną prasę w Polsce) prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz.

Moja postawa nie płynęła z jakiejś szczególnej miłości do Rosji. Płynęła raczej z miłości do Ukrainy, z troski o jej byt. Lecz przede wszystkim była wyrazem lęku przed Rosją. Gdy jednak Polacy i Ukraińcy uważający się za jedynych patriotów wyzywali mnie od „pachołków Putina", pewnie się zdziwili, gdy natychmiast po 24 lutego 2022 r. oddałem swe pióro sprawie wolnej Ukrainy. Choć oddałem je w stopniu dalece mniejszym, niżbym pragnął. A przecież poglądów nie zmieniłem. Zmieniła się sytuacja.

Czy zatem dziś należałoby znowu wzywać do porozumienia: do jakiejś ukraińskiej targowicy, która ocaliłaby tyle, ile możliwe? Ale właśnie wspomnienie targowicy pokazuje, że byłaby to droga do rozbioru i aneksji. Putin gotów jest walczyć „do ostatniego Ukraińca", chce ostatecznego rozwiązania kwestii ukraińskiej. Co oczywiście oznacza brutalną rusyfikację – nie darmo się deklamowało, że „Ukraińcy i Rosjanie to właściwie jeden naród". Ukraina ma więc stać się Rosją – i nietrudno sobie wyobrazić rzesze przybyłych z Rosji nauczycieli i urzędników, realizujących z entuzjazmem wcielanie zbuntowanej prowincji do Macierzy. W dodatku dających upust wielkoruskiemu patriotyzmowi oraz dyszących zemstą za śmierć tysięcy rodaków.

Rosja wkroczyła w odwieczne koleiny swego imperializmu.

Rosjanie od wieków mają do Ukraińców stosunek pełen niechęci i pogardy. W XIX w. były to dla nich „chochły", dziś są to „naziści". Z kolei w stuleciach XV i XVI nie było dla Moskwy większych wrogów niż inne, ponoć „bratnie", państwa ruskie. A w wieku XVIII nie było większego wroga niż Ukraina hetmana Iwana Mazepy. Dziś miejsce Mazepy zajął prezydent Wołodymyr Zełenski. Czy jego także będzie przez stulecia wyklinała Cerkiew Patriarchatu Moskiewskiego?

Rosja wkroczyła w odwieczne koleiny swego imperializmu, a Ukraina stoi w obliczu zniszczenia państwowości i zagłady narodu. Jeżeli coś byłoby w stanie odwrócić ten scenariusz – to tylko solidarność euroamerykańska. A tej nie ma. Nie ma więc także alternatywy dla ukraińskiej walki – choćby miała przypominać greckie Termopile.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7d57c361f1

mObywatel – cyfrowa rewolucja w Twoim telefonie

Jeszcze kilka lat temu wyjście z domu bez portfela wydawało się czymś nie do pomyślenia. W codziennym zestawie obowiązkowo lądowały: portfel, dokumenty i telefon. Dziś ten zestaw w większości polskich domów wygląda inaczej – wystarczy telefon z aplikacją mObywatel.

Prawie 11 milionów użytkowników korzysta z niej na co dzień, bo mObywatel stał się nie tylko cyfrowym portfelem, ale przede wszystkim wygodnym, szybkim i bezpiecznym centrum zarządzania sprawami urzędowymi. Ostatnie dwa lata były dla mObywatela czasem wyjątkowo intensywnego rozwoju. Aplikacja została zaprojektowana tak, aby prowadzić użytkownika za rękę w sytuacjach stresujących, wymagających nieco więcej formalności albo takich, które najczęściej odkładamy na później.

Dzięki aplikacji miliony osób potwierdzają swoją tożsamość, załatwiają sprawy urzędowe i korzystają z dokumentów w wersji elektronicznej – bez potrzeby noszenia ich w portfelu. Zaczynając od mDowodu, mPrawa jazdy, aż po wiele innych użytecznych dokumentów i usług, które pomagają w codziennym życiu, pełnym wyzwań i zaskakujących sytuacji.

mObywatel dba o wszystkich obywateli, aby w jednym miejscu mieli jak najwięcej dokumentów, bez potrzeby szukania ich w nagłych sytuacjach. Tylko w ciągu ostatnich 24 miesięcy wdrożyliśmy aż 17 nowych, m.in.:

- Prawo wykonywania zawodu lekarza
- Legitymację doradcy podatkowego
- Legitymację osoby niepełnosprawnej
- Legitymację ratownika i pracownika TOPR

Dziś prawie 11 milionów osób nosi mObywatela w kieszeni. 11 milionów historii, w których aplikacja pojawia się wtedy, gdy jest potrzeba – czasem w biegu, czasem w stresie, czasem w ważnym momencie życia. mObywatel to dobrze wykonany cyfrowy portfel, który rozwija się razem z potrzebami obywateli.

mObywatel to brama do cyfrowego państwa – narzędzie, które zmienia sposób korzystania z usług publicznych, odpowiadając na realne potrzeby obywateli. W ostatnich dwóch latach aplikacja wzbogaciła się o 17 dokumentów, 28 usług i 8 funkcjonalności, które upraszczają codzienność.
Bo... mObywatel ma łatwiej!

W listopadzie do mObywatela dołączył kolejny dokument – legitymacja nauczyciela. Dla ponad 700 tys. nauczycieli w Polsce to bezpieczny, szybki i bezpłatny dokument potwierdzający status zawodowy.

Ostatnie 24 miesiące to najbardziej dynamiczny okres w rozwoju aplikacji, o czym świadczą liczby. Dodaliśmy 28 nowych usług oraz 8 nowych funkcjonalności, które ułatwią codzienne korzystanie z aplikacji. To więcej niż jedna nowość w miesiącu.

W lipcu 2025 r. aplikacja przeszła odświeżenie skupione na użyteczności. Nowa odsłona aplikacji to szybszy dostęp do najważniejszych funkcji i prostsza nawigacja – tak, by korzystanie z mObywatela było jeszcze łatwiejsze na co dzień.

Jedną z kluczowych usług dla bezpieczeństwa jest Zastrzeż PESEL – rozwiązanie, z którego skorzystało już ponad 7,3 miliona osób. W świecie, w którym wyłudzenia i oszustwa finansowe stały się powszechnym zagrożeniem, możliwość natychmiastowego zablokowania numeru PESEL to realna tarcza ochronna. Jedno kliknięcie daje pewność, że nikt nie weźmie na Twoje dane kredytu lub nie podpisze umowy bez Twojej wiedzy.

Coraz większą popularnością cieszy się też usługa mStłuczka – jedno z najbardziej praktycznych narzędzi w sytuacjach, gdy stres i adrenalina często utrudniają działanie. Aplikacja pozwala w kilka minut spisać oświadczenie o zdarzeniu drogowym i zgłosić szkodę. Wybierasz datę i miejsce (lub korzystasz z GPS), opisujesz sytuację, dodajesz zdjęcia

eprasa.pl 7d57c361f1

uszkodzeń i wskazujesz sprawcę. Zamiast wypełniać 70 punktów formularza papierowego, wypełniamy mniej więcej 10 punktów formularza cyfrowego. Ponieważ wszystkie nasze dane automatycznie się uzupełniają z rejestrów państwowych. Na końcu generujesz gotowy dokument, który możesz od razu wysłać do swojego ubezpieczyciela. Bez nerwów, bez nieczytelnych formularzy, bez konieczności drukowania czegokolwiek.

mObywatel rozwija się również z myślą o najmłodszych. mObywatel Junior to nowy rozdział cyfrowej edukacji. Uczniowie i rodzice mogą dodać do aplikacji legitymacje szkolne swoje lub swoich dzieci. To nie tylko wygoda – to nauka odpowiedzialnego korzystania z technologii już od najmłodszych lat.

Z mObywatelem możesz załatwiać sprawy bez konieczności noszenia portfela, bez stresu związanego z poszukiwaniem potrzebnych dokumentów i bez czekania w kolejkach. Jedno kliknięcie w telefonie może zastąpić wizytę w urzędzie, rozmowę z konsultantem czy wypełnianie formularzy, które zwykle przerażały objętością.

I co najważniejsze – mObywatel nie zatrzymuje się ani na chwilę. Rozwija się, bo zmieniają się oczekiwania obywateli, odpowiadając na ich realne potrzeby. Bo z mObywatelem jest łatwiej!

Pobierz aplikację mObywatel

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

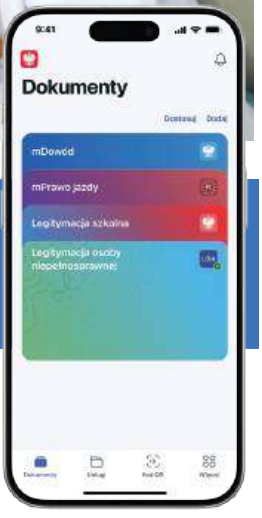

Materiał informacyjny współfinansowany z funduszy Unii Europejskiej.

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

Ministerstwo Cyfryzacji

eprasa.pl 7d57c361f1

Zabita, bo była kobietą

We Włoszech kobietobójstwo stało się odrębnym przestępstwem zagrożonym karą dożywocia

Protesty po zabójstwie 22-letniej Giulii Cecchettin. Mediolan, 22 listopada 2023 r.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

25 listopada, w Międzynarodowym Dniu Eliminacji Przemocy wobec Kobiet, parlament dokonał historycznego aktu: Izba Deputowanych jednogłośnie zatwierdziła art. 577 bis Kodeksu karnego. Przepis ten uznaje, że zabójstwo kobiety motywowane dyskryminacją, z nienawiści, z potrzeby kontroli czy chęci dominacji albo w celu „ukarania" kobiety za odmowę, zakończenie relacji czy próbę odzyskania wolności nie jest już zwykłym zabójstwem, lecz zbrodnią o jednoznacznie zdefiniowanym charakterze.

W ten sposób państwo przyznaje, że część aktów przemocy to nie przypadkowe tragedie, lecz brutalny wyraz uprzedzeń i nierówności, wymagają więc stanowczej odpowiedzi prawnej i społecznej. Jeszcze dekadę temu termin femminicidio funkcjonował głównie w środowiskach akademickich i w języku organizacji walczących o prawa kobiet. Dziś stał się nie tylko pojęciem medialnym, lecz także kategorią prawną, zmieniającą sposób postrzegania przemocy ze względu na płeć.

Dotychczas sprawca zabijający kobietę dlatego, że jest ona kobietą, odpowiadał wyłącznie za zabójstwo – motywacja płciowa pozostawała w tle. Nowe przepisy zmieniają ten paradygmat: oprócz faktu odebrania życia podkreślają społeczne i genderowe źródła zbrodni. Definicja zaczerpnięta z Enciclopedia Treccani, włoskiej encyklopedii powszechnej, brzmi: „zabójstwo kobiety ze względu na to, że jest kobietą". To sformułowanie znalazło odzwierciedlenie w tekście ustawy.

„Oczywiście próba znalezienia odpowiedzi na rzeź, której jesteśmy świadkami – na życie odbierane poprzez tortury, pobicia czy stalking – to krok naprzód, który może dawać nadzieję. Ale tej drogi nie da się pokonać, opierając się wyłącznie na często nieskutecznej represji. Trzeba ją przejść wspólnie, z udziałem organizacji i stowarzyszeń, by

eprasa.pl 7d57c361f1

naprawdę zrozumieć problem, od środka – napisała na blogu Roberta Bruzzone, psycholożka sądowa i kryminolożka, jako komentarz do decyzji parlamentu. – Kobiety potrzebują moralnej zmiany: stałej edukacji, zaczynającej się już w dzieciństwie, od szkoły, od budowania sieci wsparcia i solidarności, od świadomości zakorzenionej w zbiorowej mentalności, że zbrodnia przeciw kobiecie nie jest przestępstwem »drugiej kategorii« i nie można jej bagatelizować słowami: sama tego chciała".

Ustanowienie przestępstwa kobietobójstwa to symboliczne potwierdzenie tego, o czym organizacje kobiece mówią od lat. Nadanie mu rangi prawnej podkreśla wagę problemu i zobowiązuje państwo do prowadzenia spójnej polityki ochrony. W tle pozostaje jednak pytanie, które coraz częściej wybrzmiewa we włoskim społeczeństwie: dlaczego – mimo rosnącej świadomości i zaostrzania prawa – kobiety nadal giną z rąk tych, którzy powinni je chronić? Czyli byłych lub obecnych mężów, partnerów i narzeczonych.

Dramatyczna plaga

Po dwóch głośnych kobietobójstwach – śmierci Giulii Cecchettin i Giulii Tramontano – które na długie miesiące wstrząsnęły Włochami i wywołały falę protestów, wydawało się, że wreszcie coś się zmieni.

22-letnia Giulia Cecchettin zniknęła w nocy 11 listopada 2023 r., po wyjściu do centrum handlowego z byłym chłopakiem. Jej ciało owinięte w foliowe worki odnaleziono tydzień później, na dnie jaru. Filippo Turetta przyznał się do zbrodni. Motywem była zemsta za zerwanie. W grudniu 2024 r. sąd skazał go na dożywocie, a w październiku 2025 r., po wycofaniu apelacji, wyrok stał się prawomocny.

Nie mniej wstrząsająca była historia 29-letniej Giulii Tramontano, będącej w siódmym miesiącu ciąży. 27 maja 2023 r. w jej mieszkaniu pod Mediolanem partner Alessandro Impagnatiello zadał kobiecie 37 ciosów nożem, a następnie próbował spalić ciało. Przez trzy dni przenosił je, usiłując zatuszować zbrodnię. W listopadzie 2024 r. został skazany na dożywocie za zabójstwo, zbezczeszczenie zwłok oraz spowodowanie śmierci nienarodzonego dziecka. W czerwcu 2025 r. wyrok potwierdzono w apelacji.

Tymczasem opinia publiczna żyje kolejnymi przypadkami kobietobójstw, nagłaśnianymi w mediach z tragiczną regularnością. W tym roku włoskie serwisy informacyjne wielokrotnie donosiły o kobietach zamordowanych przez partnerów, byłych mężów lub mężczyzn, z którymi łączyła je przelotna relacja. Schemat jest wstrząsająco powtarzalny: wcześniejsze sygnały przemocy, zgłoszenia na policję, czasem zakazy zbliżania się, a potem eskalacja, której instytucje nie zdołały zatrzymać. W wielu przypadkach ofiary szukały pomocy, ale system okazał się zbyt powolny, przeciążony i ostrożny. Każda kolejna historia rozpala debatę, która jednak po kilku dniach wygasa, podczas gdy statystyki puchną.

W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 2025 r. we Włoszech zabito 85 kobiet. W marcu br. cały kraj śledził sprawę 22-letniej Ilarii Suli, studentki z Rzymu, której ciało znaleziono w walizce wyrzuconej w przepaść. Zabił ją były chłopak, 23-letni Mark Samson, zadając liczne ciosy nożem. Zrobił to w swoim pokoju, a w pozbyciu się zwłok pomagała mu matka. Kilka tygodni później w Kampanii odnaleziono martwą 14-letnią Martinę Carbonaro. 19-letni były partner przyznał, że „zabił ją, bo nie chciała do niego wrócić". Wcześniej razem z jej rodziną przez dwa dni brał udział w poszukiwaniach dziewczyny. Oba morderstwa trafiły na pierwsze strony gazet i wzburzyły opinię publiczną.

W pierwszych miesiącach roku zginęły też Eliza Stefania Feru, Maria Porumbescu, Eleonora Guidi, Cinzia D'Aries i Samia Bent Rejab Kedim – zamordowane przez obecnych lub byłych partnerów. Wśród kolejnych ofiar znalazły się Teresa Stabile, Lucia Chiapparino oraz Chamila Wijesuriya z Mediolanu, ta ostatnia zabita przez recydywistę wcześniej skazanego za inną zbrodnię na kobiecie.

Do szeroko komentowanych przypadków należy również zabójstwo 29-letniej Pameli Genini, zadźganej nożem na tarasie własnego mieszkania – na oczach sąsiadów wzywających pomoc. Zginęła z rąk zaborczego partnera, z którym chciała zakończyć związek.

We Włoszech ponad 80% zabijanych kobiet ponosi śmierć z rąk obecnych lub byłych partnerów. Dla porównania – z rąk partnerek lub byłych partnerek ginie ok. 6% mężczyzn. Ten dramatyczny kontrast stanowi jedno z najważniejszych uzasadnień wprowadzenia do Kodeksu karnego art. 577 bis, definiującego kobietobójstwo jako odrębny, szczególnie kwalifikowany typ zbrodni.

Anatomia zjawiska

Analizy włoskich instytucji i ośrodków badawczych pokazują, że za zabójstwami kobiet najczęściej stoją utrwalone mechanizmy władzy, kontroli i poczucia posiadania, wynikające z zakorzenionych w kulturze nierówności płci. Przemoc ta rzadko jest wybuchem chwilowego szału. Najczęściej stanowi finał długotrwałego procesu, w którym partner stopniowo próbuje podporządkować sobie kobietę, ograniczyć jej autonomię i kontrolować każdą sferę życia.

Według podziału terytorialnego najwięcej przypadków kobietobójstw odnotowano na północy (41 – 48,2% całkowitej liczby), potem na południu (25 – 29,4%) i w środkowej części kraju (19 – 22,4%).

Najczęstsze motywy obejmują chorobliwą zazdrość, przekonanie o „prawie" do kobiety oraz niezdolność zaakceptowania rozstania. Psycholodzy podkreślają, że wielu sprawców wyniosło z domu doświadczenia przemocy, zaniedbania czy traumy, które – nieleczone – mogą się przerodzić w zaburzone wzorce relacji i wywoływać skrajne zachowania. Niepokoi także obniżający się wiek ofiar i zabójców, co wskazuje na powielanie toksycznych modeli związków już wśród nastolatków i młodych dorosłych.

Kobietobójstwo pozostaje zjawiskiem strukturalnym, zakorzenionym w kulturze, która przez lata tolerowała przemoc domową jako „sprawę rodzinną". Choć debata publiczna

FOT.PIERO CRUCIATTI/ AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7d57c361f1

coraz częściej porusza kwestię stereotypów płci – przedstawiających kobietę jako słabszą i zależną, a mężczyznę jako dominującego – to właśnie te normy społeczne podtrzymują klimat bezkarności i utrudniają kobietom uzyskanie realnej ochrony.

Istotną rolę odgrywają również czynniki społeczno-ekonomiczne. Brak stabilności finansowej i niski poziom wykształcenia zwiększają ryzyko pozostawania w przemocowej relacji, a nadużywanie alkoholu i narkotyków przyśpiesza eskalację agresji. Wzrost liczby zgłoszeń stalkingu, nękania i przemocy psychicznej wskazuje, że skala problemu jest znacznie większa, niż pokazują same statystyki zabójstw. Na tle innych państw Unii Europejskiej Włochy plasują się w górnej części zestawień, szczególnie pod względem zabójstw dokonanych w rodzinie. To wyraźny sygnał, że problem ma wymiar systemowy, a przeciwdziałanie mu wymaga kompleksowych, a nie doraźnych działań.

Milczenie to przyzwolenie

Wprawdzie 25 listopada wprowadzono przestępstwo kobietobójstwa do Kodeksu karnego, ale włoska centroprawica wycofała się z przegłosowania drugiej ważnej ustawy – o definicji zgody seksualnej. A określenie, czym jest ta zgoda, to kluczowy element ochrony przed przemocą, od którego zależą zarówno kwalifikacje prawne czynów, jak i świadomość społeczna. Część posłów prawicy próbowała wprowadzić zapisy sugerujące, że milczenie lub brak sprzeciwu mogą być interpretowane jako zgoda. Propozycja ta wywołała oburzenie organizacji kobiecych i ostre reakcje opozycji. Ta ostatnia oskarżyła rząd o próbę cofnięcia Włoch do czasów, gdy prawa kobiet nie miały realnego znaczenia. Debata na ten temat w parlamencie ujawniła głęboki rozziew między modernizującą się częścią społeczeństwa a strukturami politycznymi, które wciąż operują logiką patriarchalną. Spór o zgodę seksualną nie był jedynie techniczną dyskusją legislacyjną, lecz stał się areną walki o to, jak włoskie państwo rozumie autonomię i podmiotowość kobiet. W końcu ustawy nie przegłosowano, choć prawica zapewnia, że tak się stanie.

25 listopada miał być we Włoszech piękną kartą, ponadpartyjnym gestem „dla kobiet i przeciwko przemocy ze strony mężczyzn". Tymczasem nastąpił spektakularny odwrót od porozumienia zawartego 12 listopada między liderkami dwóch głównych partii: Giorgią Meloni (Bracia Włosi) i Elly Schlein (Partia Demokratyczna). Dotyczyło ono projektu ustawy wprowadzającej do Kodeksu karnego zasadę, że brak „wolnej i aktualnej" zgody jest podstawą do orzeczenia przestępstwa gwałtu.

Podobny spór dzieli włoską scenę polityczną w kwestii edukacji seksualnej w szkołach. 16 października Komisja Kultury Izby Deputowanych przegłosowała poprawkę do ustawy o świadomej zgodzie w środowisku szkolnym, przygotowaną przez Ligę Północną. Nowe przepisy zakazują „zewnętrznym podmiotom" i „zideologizowanym aktywistom" prowadzenia zajęć z edukacji seksualnej także w szkołach średnich niższego stopnia. W szkołach podstawowych takie ograniczenia już obowiązywały – temat można poruszać jedynie z perspektywy biologiczno-reprodukcyjnej. W szkołach średnich wyższego stopnia rodzice mają być dodatkowo informowani o programach i podręcznikach. Matteo Salvini, lider Ligi Północnej, podkreśla, że to rodzina ma prawo decydować o tym, czego dzieci będą uczone, zwłaszcza że w wielu rodzinach katolickich taki zakres edukacji nie jest akceptowany. Włochy pozostają jednym z nielicznych krajów Europy, w których edukacja seksualna nie jest obowiązkowa. UNESCO przypomina, że prawo do takiej edukacji jest prawem do zdrowia i filarem równości płci – jednym z kluczowych celów Agendy 2030.

Decyzje rządu wywołały falę sprzeciwu. Opozycja mówi o „powrocie do średniowiecza", a osiem regionalnych izb psychologów publicznie wyraziło sprzeciw. Jak podkreśliła Maria Antonietta Gulino, przewodnicząca Krajowej Rady Psychologów, zakaz może się stać „niebezpieczną barierą w rozwoju seksualnym, emocjonalnym i relacyjnym dzieci oraz młodzieży".

Bóg, rodzina, ojczyzna

Co sprawia, że kobietobójstwo jest plagą Włoch mimo wysiłków legislacyjnych? Niestety, najgłębsze źródła tkwią w kulturze. Włoskie społeczeństwo – choć nowoczesne i dynamiczne – wciąż funkcjonuje w cieniu mocno zakorzenionego patriarchatu. Tradycyjny model rodziny, z silną pozycją mężczyzny i oczekiwaniem kobiecej uległości, w wielu środowiskach jest nadal żywy. Kobieta niezależna, pracująca i stanowiąca o sobie bywa postrzegana jako zagrożenie dla tradycyjnego porządku. Język mediów, mówiących o „zbrodni z miłości" czy „tragedii zazdrości", dodatkowo zaciera odpowiedzialność sprawcy i romantyzuje przemoc. Z kolei instytucje publiczne często reagują zbyt późno: brakuje szkoleń, schronisk, szybkich procedur, a prokuratura i policja bywają przeciążone i niedofinansowane.

W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 2025 r. we Włoszech zabito 85 kobiet.

Femminicidio stało się testem dla włoskiej demokracji. Nie chodzi tu wyłącznie o przepisy i procedury, lecz także o fundamentalne pytanie: czy państwo potrafi ochronić połowę swojej populacji przed systemową przemocą? Walka z kobietobójstwem wymaga czegoś więcej niż zaostrzania kar. Potrzebna jest głęboka zmiana kulturowa: edukacja od najmłodszych lat, wzmocnienie autonomii kobiet, zmiana języka i narracji, a przede wszystkim skuteczna ochrona ofiar. Dopóki kobiety giną dlatego, że są kobietami, włoskie społeczeństwo nie może mówić ani o równości, ani o postępie cywilizacyjnym.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 7d57c361f1

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Migawki z życia narodu wybranego

Miewaliśmy premierów i prezydentów. Nawet królów los nam posyłał. Ale to nie koniec – na kartach naszej historii pozostawiła ślady także dyktatura, i to najprawdziwsza. 5 grudnia minęła 195. rocznica ustanowienia dyktatury Józefa Chłopickiego. To właśnie jego spiskowcy, bohaterowie nocy listopadowej, postanowili uczynić stróżem naszego przeznaczenia. Rzecz całą, z podaniem interesujących szczegółów, opisuje Maurycy Mochnacki w „Powstaniu narodu polskiego w roku 1830 i 1831".

Autor „Powstania…" nazwał Chłopickiego złośliwie „wielkim pacjentem rewolucji", a to dlatego, że w dniach przesilenia zapadł on „w wielką niemoc", kazał sobie krew puszczać, przez dni kilka desperował i hamletyzował. Ostatecznie jednak, mimo że „wymawiał się najuporczywiej", ustąpił i zażądał władzy całkowitej. „Potrzeba mi dyktatury do utrzymania karności", oświadczył.

Azaliż, jak to w uroczym kraju naszym bywa, wszystko miało własny koloryt i swój kształt osobliwy. Otóż dyktator – stawiając na głowie tradycję sięgającą czasów rzymskich – zaprowadza, jak pisze Mochnacki, „bezrząd". Realizując swój czyn dziejowy, wyzwala moc bałaganu. Przeznaczeniem pierwszych dni powstania staje się chaos.

Po co dyktatorowi Sejm i rząd? – zastanawiał się Mochnacki. Grudzień roku 1830 stawia nam przed oczami groteskowe desenie. Na pierwszy plan wysunęło się urzędowanie, cudownemu rozmnożeniu uległy wszelkie stanowiska rządowe. „Kto w Boga wierzył – zauważa Mochnacki – chciał urzędować". Na scenę tłumnie wkroczyli – ten aspekt musi nas wzruszyć najbardziej – kombatanci: „Ten siedział lat parę w więzieniu – a więc zrobić go ministrem! Ów pod przeszłym rządem otrzymał niezasłużoną dymisję z rządu, z Sejmu lub rady obywatelskiej – a więc zrobić go przynajmniej zastępcą ministra". Ślepa uliczka fałszywych cnót stanęła otworem.

Mochnackiemu winni jesteśmy głębokie westchnienie, okazując wdzięczność za kilka słów mających moc objawienia. W styczniu 1831 r., podejmując kwestię „terroryzmu nierozumu i obskurantyzmu politycznego", wygłosił przepowiednię: „Polska nie zginie brakiem obywatelstwa i cnoty, nie zginie brakiem męstwa i środków materialnych, ale zginie terroryzmem nierozumu".

Za sprawą niebios i ludzi Polska na razie stoi na nogach, ale jest o co się martwić. Jak mamy oceniać słynny wrześniowy występ wiceministra spraw zagranicznych na forum ONZ? Ta emfaza, to zaangażowanie, to staranie, by zło zdemaskować i unicestwić na oczach świata całego. I ostatecznie co? Nonsens i kompromitacja, całkowite rozminięcie się z rzeczywistością, przegrane głosowanie. Krucjata przeciw Rosji nie powiodła się – niestety, fakty przestały się zgadzać i sił zabrakło.

Gdzie nasza sława, gdzie się podziały na obłokach podane trąby złote? Nasza dyplomacja przypomina starzejącego się, zdesperowanego Kopciuszka daremnie wypatrującego karety mającej zawieźć go na bal. Nikt nas nie słucha, nikt o nic nie pyta. Gdzie jest Grupa Wyszehradzka? Polscy politycy wyobrażali sobie kiedyś, że w jej ramach zrealizuje się nasze powołanie do regionalnego przywództwa. Dziś wiemy, że było to urojenie. Na pocieszenie został sen złoty dotyczący Międzymorza. Znowu brniemy w fikcję.

Hejnałem polskiej dyplomacji stało się pianie koguta i tupanie nogami. Ale przecież tym nikt się nie przejmuje. Co wynika z naszego pchania się do pierwszego szeregu? Nic. Do Genewy, gdzie rozmawiano o planie pokojowym Donalda Trumpa, nikt nas nie zaprosił. Buńczuczne hasła i czupurne miny stymulują groteskę, ale nie są podstawą rzeczywistej siły.

Polska na razie stoi na nogach, ale jest o co się martwić.

W XVIII w. król Prus Fryderyk II obdarzył Polaków mianem Irokezów. Dziś usłyszeliśmy niepokojący zgrzyt historii – Fabian Keubel z partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) zamieścił w sieci serię antypolskich wpisów. Stwierdził, że Polacy są „Afroamerykanami Europy" i stanowią dla Niemiec „znacznie większe zagrożenie niż jakiekolwiek inne państwo". Powie ktoś, że to tylko sieć. Ale przecież właśnie ona jest dziś drzewem wiadomości, to tu zrywamy owoce, które stają się naszym pokarmem. Może zamiast pohukiwać i machać drewnianą szabelką, zadalibyśmy sobie proste pytanie: dlaczego nas tak nie lubią, skąd niechęć i lekceważenie? Na szczeblach najwyższych nasza polityka zagraniczna sprowadza się do strzałów w powietrze. Jaka z tego korzyść? Efekciarskie frazesy są w istocie hymnem kogucika, który marzy o występach w operze. Dokąd prowadzi histeria udająca groźne pomruki wulkanu? Co wynika z gadania?

Na końcu jeszcze raz Mochnacki, jego uwaga dotycząca rzeczy, które stawiamy na podium: „Jesteśmy dziwowidzami, chwalcami, panegirystami bądź mniemanego talentu, bądź urojonej jakiejś przewagi". Wbijający w podłogę, agresywny makijaż jest częścią kostiumu klauna. Na czym nam właściwie zależy? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7d57c361f1

O likwidacji „Po Prostu” z dystansem

Młodzi idealiści zderzyli się z rzeczywistością, ale nie było to zbyt bolesne

Wiktor Brożek

Odwilż październikowa 1956 r. stanowi jedną z najważniejszych, niestety często zapominanych obecnie dat w najnowszej historii Polski. Nie ulega jednak wątpliwości, że była to cezura nad wyraz przełomowa, jakkolwiek różni krytykanci nie chcieliby na nią patrzeć. Polacy swoimi siłami zakończyli smutny okres stalinizmu, którego ostatnim akordem były wydarzenia poznańskie. Uniknięto interwencji sowieckiej, która mogła się zakończyć krwawą jatką na ulicach Warszawy, tak jak miało to miejsce w tym samym czasie w Budapeszcie. Należy docenić rozwagę ówczesnych pokoleń, którym udało się uzyskać to, co było wówczas do uzyskania w zakresie narodowej wolności.

Gra do jednej bramki

Za koniec odwilży na ogół uznaje się likwidację tygodnika „Po Prostu”. Wskazuje się winnych, wychwala ofiary. Po długim czasie można spojrzeć na owe wydarzenia z większym dystansem i dostrzec wiele niuansów, które w sporach ideologicznych mogą umykać naszej uwadze.

W 1956 r., zwłaszcza po tajnym (do czasu) referacie Nikity Chruszczowa potępiającym stalinizm, dla wszystkich stało się jasne, że dotychczasowy system był nie do utrzymania. Świadomość tego miały także kierownictwo partii i aspirujące części młodej inteligencji. Następował przyśpieszający proces obumierania stalinizmu i budowy na jego gruzach bardziej demokratycznej Polski.

Ciekawy jest fakt, że reformatorskie skrzydło partii i redakcja dotychczas nudnego pisemka Związku Młodzieży Polskiej grały w tym przypadku do jednej bramki, jeżeli spojrzeć na treści, które zaczęły być publikowane na łamach „Po Prostu”, i poglądy Władysława Gomułki, który w społeczeństwie był widziany jako jedyny człowiek mogący uzdrowić sytuację w kraju. Tygodnik Eligiusza Lasoty z siedzibą w Pałacu Kultury i Nauki wprost poparł Gomułkę i pisał o konieczności jego powrotu do władzy.

Gomułka po wyjściu z więzienia był czytelnikiem „Po Prostu” i doceniał jego rolę w demokratyzacji kraju.

Gomułka zaś po wyjściu z więzienia był czytelnikiem „Po Prostu” i doceniał jego rolę w demokratyzacji kraju. Sam, wracając do zdrowia w Ciechocinku, planował reformy, które pozwoliłyby w jak największym stopniu zdemokratyzować kraj i uniezależnić go od ZSRR. Wiedział z własnego doświadczenia, jakie były ograniczenia systemu i do czego mógł się posunąć.

Na własną zgubę

Dość wiecowania, czas wracać do pracy! Sukces został osiągnięty, a jednocześnie uczyniono to praktycznie minimalnym kosztem. Węgrzy nie mieli tyle szczęścia i ponieśli tego tragiczne konsekwencje. Cokolwiek by mówić o gomułkowskiej Polsce, nie da się przyrównać jej do okresu stalinowskiego, nastąpił jakościowy postęp, powszechny terror został zakończony. Nie wszystkim jednak to wystarczało, redakcja „Po Prostu” czuła, że musi (na własną zgubę) przeć dalej.

Mimo że w kraju nastąpiła znaczna poprawa, redakcja nie zmieniła swojej linii i nadal publikowała krytyczne teksty, wręcz zaostrzała retorykę. Krytykowano wiele aspektów życia, nawet takie sprawy jak kary za spóźnianie się do pracy. Poruszano jednocześnie ważne tematy, chociażby dotychczasową ocenę Armii Krajowej. Nie było to jednak dokonywane w celu walki z „komuną”, wręcz przeciwnie. Pismo i jego redakcja chciały być pod tym względem świętsze od papieża i oczekiwały odnowy systemu socjalistycznego, by nadać mu nowy kształt, bardziej przyjazny w ich opinii. Zresztą nie mogło być inaczej, skoro w redakcji ważną pozycję miał znany antykomunista Jerzy Urban.

Podczas gdy Gomułka ewidentnie „pozwalał na więcej”, niektóre teksty z perspektywy władz były niebezpieczne politycznie. Roman Zimand chociażby pisał o nieznikającym w jego opinii stalinowskim charakterze partii, więc dochodził do logicznego wniosku, że w takim razie trzeba partię zlikwidować. Jakkolwiek było to wówczas kompletnie nierealne, Gomułka uważał, że przy wciąż dużej (choć wyraźnie zmniejszonej) zależności od ZSRR takie teksty mogą stanowić dla Moskwy niebezpieczny pretekst. Władze na Kremlu nie rozumiały, jak coś takiego w ogóle zostało puszczone do druku. U nich było to niemożliwe, ale w Polsce – jak najbardziej. Z ich perspektywy ktoś

eprasa.pl 7d57c361f1

Redakcja „Po Prostu", listopad 1956 r.

w partii musiał na to wydać zgodę, czyli jest to stanowisko samej PZPR. Przenosili na polskie warunki swoje mechanizmy funkcjonowania. Było to o tyle niebezpieczne, że polskie władze podejmowały wiele zmian w swoich relacjach z ZSRR, a jednocześnie starały się zapewnić realizowanie swoich interesów.

Wróciła kwestia Polaków, którzy zostali za Bugiem, i teraz Polska się o nich upomniała. Rozpoczęto dużą akcję „repatriacyjną", jak to wówczas nazywano. Między innymi ten problem podejmowało „Po Prostu". Wedle Gomułki z kolei było to wtrącanie się grupki młodzieży w politykę międzynarodową.

Ważniejsza okazała się sprawa niemiecka. Znany jest fakt, że bezpieczeństwo polskich ziem zachodnich i strach przed rewanżyzmem niemieckim odgrywały w przypadku Gomułki ogromną rolę. Nie można mu odmówić w tej materii słuszności. W dalszym ciągu był to temat nieuregulowany i świeży (ledwo 11 lat minęło od końca wojny). Niemcy z RFN w swoich atlasach zaznaczali granice z 1937 r. i co najwyżej uznawali, że Polacy tymi ziemiami tymczasowo administrują. Jeżeli połączy się to z liczną obecnością ludzi z legitymacjami NSDAP w życiu politycznym Bonn i tym, że nowo utworzoną Bundeswehrę budowali generałowie Wehrmachtu, ów niepokój był całkowicie uzasadniony.

Gomułka dobrze wiedział, że Polska nie była w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa, musiał zatem w tej kwestii utrzymywać przynajmniej poprawne relacje z ZSRR i obecną na ścianie zachodniej Armią Radziecką. Co ciekawe, takim samym rozumowaniem będzie później się kierował Tadeusz Mazowiecki. Wracając jednak do Wiesława, obawiał się on, że dalsze poczynania „Po Prostu" mogą pogorszyć relacje z Moskwą, a co za tym idzie – narazić bezpieczeństwo kraju.

Skonfiskowany numer

Należy zwrócić uwagę, że „Po Prostu" ukazywało się jeszcze dość długo, bo przez rok, licząc od października 1956 r. Władze monitorowały pismo, krytykowały je, ale przez dłuższy czas nie podejmowały konkretnych działań. Dopiero po kilku miesiącach skonfiskowano numer. Problemy redakcji pojawiły się, gdy zakwestionowała sposób głosowania, do którego zachęcał Gomułka w wyborach do Sejmu w 1957 r. Wybory te były ewenementem jak na dotychczasowe dzieje Polski Ludowej i stanowiły element procesu demokratyzacji systemu. Do udziału w nich nakłaniał osobiście prymas Stefan Wyszyński, który niedawno opuścił areszt.

Sposób myślenia redakcji „Po Prostu" krytykował we wspomnieniach wybitny pisarz Jerzy Putrament. Pytał: czy jest lepiej? Tak. To czego oni jeszcze oczekują? Jednocześnie czasopismu zaczęła wyrastać konkurencja w postaci wydawanej do dziś „Polityki", której przyszły redaktor naczelny Mieczysław F. Rakowski odegra ogromną rolę w dziejach Polski. Sam tygodnik zdobył niekwestionowaną renomę ze względu na jakość publikacji i dużą niezależność.

W nowo utworzonym Biurze Prasy odbywały się spotkania z redakcją „Po Prostu", ale nie odnosiły żadnego skutku. Finalnie w październiku 1957 r. pismo zostało zamknięte, co wiązało się z protestami części warszawskiej młodzieży, szybko zresztą stłumionymi. A co się stało z dziennikarzami, którzy „podnieśli rękę na władzę ludową"? Wbrew pozorom spadli niczym kot na cztery łapy i wręcz pod pewnymi względami awansowali. Redaktor naczelny Eligiusz Lasota został posłem na Sejm II kadencji (za co był w listach do redakcji krytykowany, że chciał się dorwać do koryta), Roman Zimand zaczął pracę naukową w Polskiej Akademii Nauk, Jan Olszewski (tak, ten sam) dołączył do palestry. Losy pozostałych prominentnych członków redakcji są najbardziej paradoksalne. Walery Namiotkiewicz stał się osobistym sekretarzem Władysława Gomułki, a Hanna Bratkowska została zastępczynią Artura Starewicza, który był kierownikiem wspomnianego wcześniej Biura Prasy.

Co ciekawe, spośród najbardziej znanych członków zespołu redakcyjnego największą ofiarą „komunistycznych represji" został… Jerzy Urban. Miał on przez pewien czas problemy z publikacjami, ale często pisał pod pseudonimem albo ktoś inny podpisywał się za niego. W końcu trafił do redakcji „Polityki", a później został rzecznikiem rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Skomplikowane bywają koleje losu i najnowsza historia Polski.

Jakkolwiek nie można odmówić redakcji tygodnika dobrych intencji, trudno nie uznać, że obrała sobie nierealistyczne cele i miała zbyt wielkie oczekiwania. Młodzi idealiści zderzyli się z rzeczywistością, ale nie było to zderzenie zbyt bolesne. ■

FOT. PAP

eprasa.pl 7d57c361f1

Jak olsztyńska Borussia przekraczała granice

35 lat temu grupa entuzjastów stworzyła Wspólnotę Kulturową Borussia

Marek Książek

W czasie transformacji ustrojowej, gdy uwaga społeczeństwa skupiała się na sprawach materialnych, 18 osób z Olsztyna i okolic postanowiło założyć stowarzyszenie odwołujące się do zróżnicowanego dziedzictwa regionu i „budowania nowej wiedzy, nowej kultury i postaw życiowych" mieszkańców Warmii i Mazur, by zmierzać z tym wielokulturowym bogactwem w stronę zjednoczonej Europy.

– Wcześniej praktycznie mówiło się o tym niewiele albo wcale, bo dominowała polityka budowania jednorodnego społeczeństwa. Bez wspominania, że do końca wojny były tu Prusy Wschodnie – podkreśla Kornelia Kurowska, przewodnicząca Wspólnoty Kulturowej Borussia.

– Owszem, w takich filmach jak „Sami swoi" pojawiały się wątki przesiedlenia Polaków z ziem wschodnich na zachodnie i północne, ale bez naświetlenia, z czego ta migracja wynikała i jakie spowodowała konsekwencje – dodaje Ewa Romanowska, członkini zarządu stowarzyszenia.

Prawdziwa eureka

Obie kobiety kierują dziś Borussią, czyli stowarzyszeniem i utworzoną w 2006 r. fundacją, która kontynuuje i wspiera idee starszej organizacji. Ale zaczęły w niej działać kilka lat po starcie przedsięwzięcia nazwanego wówczas Wspólnotą Kulturową. Jej założycielami byli historyk prof. Robert Traba i poeta Kazimierz Brakoniecki.

Ten pierwszy tak mówił w niedawnym wywiadzie prasowym: „Ja wymyśliłem ideę, a Kazimierz w pierwszym etapie wypełnił ją intelektualną treścią. A potem bywało zmiennie". Tu wyliczył kilkanaście osób, które ich wspierały, w tym Iwonę Liżewską, niedawno zmarłego Wiktora Knercera, pisarkę i poetkę o białoruskich korzeniach Tamarę Bołdak-Janowską, poetkę Alicję Bykowską-Salczyńską oraz historyków Andrzeja Rzempołucha i Norberta Kasparka, a także Warmiaków Marię Anielską-Kołpę i prof. Huberta Orłowskiego. „Uważam, że wówczas powstanie i działanie Borussii były prawdziwą eureką. Nie mieliśmy żadnych wzorców, jedynie własną wiedzę, potrzebę tworzenia, kreatywnego działania. Mieliśmy też intuicję. Byłem przekonany, że mój pomysł musi się udać, skończy się sukcesem, nawet jeżeli okupiony gigantycznym wysiłkiem i niezamierzonymi błędami", akcentował prof. Traba.

Sama nazwa Borussia jest odniesieniem do historii regionu, bo tak w dawnych czasach określano tereny zamieszkiwane przez Prusów. Współcześnie wspólnota też miała wdzięczne podłoże do realizacji głównego przesłania, zamkniętego w haśle „sukcesja kulturowa jako synteza zastanego dziedzictwa i pamięci rodzinnej".

Warmia i Mazury to prawdziwy konglomerat narodowościowy. Dzisiaj mieszkają tu potomkowie kresowiaków z Wileńszczyzny i ze Lwowa, osadników z Kurpiów i Mazowsza, Ukraińcy z akcji „Wisła", trochę Białorusinów, a także niewielu już rodowitych Warmiaków i Mazurów, a nawet dzieci i wnuki tych Niemców, którzy nie zdążyli lub nie chcieli ewakuować się zimą 1945 r. wraz z hitlerowcami cofającymi się przed ofensywą Armii Czerwonej. To istny tygiel narodowościowy. Pewnie też dlatego nie odnotowuje się tu większych incydentów nacjonalistycznych, bo wiele rodzin, miejscowych i napływowych, przeżyło jakąś traumę związaną z pochodzeniem. Chociaż przypadki były, o czym dalej.

Z bagażem dziedzictwa

Oryginalność Borussii polegała więc na pokazaniu wielokulturowego dziedzictwa tych ziem, nazwanych przez poetę Brakonieckiego „Atlantydą Północy". A jednocześnie na budowaniu i nowej polskiej, i regionalnej tożsamości bez ukrywania zastanego dziedzictwa pruskiego, a nawet żydowskiego, aby z tym bagażem wiedzy dążyć do wspólnej Europy. Żyjąc przy tym w zgodzie z sąsiadami, niezależnie od doświadczeń historycznych.

Takie przesłanie spowodowało, że 32 lata temu do stowarzyszenia dołączyła studentka filologii germańskiej UMK w Toruniu Kornelia Kurowska. Najbliższe wakacje spędziła na obozie konserwatorskim, podczas którego porządkowano zaniedbane, wręcz zapomniane cmentarze żołnierzy niemieckich i rosyjskich z I wojny światowej. A ona była tłumaczką między uczestnikami tej operacji, czyli grupami młodzieży polskiej i niemieckiej. Z kolei jej koleżanka Ewa Romanowska, pochodząca z przygranicznych Bartoszyc, studiowała filologię rosyjską. Gdy 25 lat temu Borussia zorganizowała Forum Przyjaznego Sąsiedztwa, zgłosiła się,

eprasa.pl 7d57c361f1

Ewa Romanowska i Kornelia Kurowska przed Domem Mendelsohna.

aby realizować własne ambicje i zainteresowania, np. ewidencjonując zabytki w obwodzie kaliningradzkim (dawny Królewiec/Königsberg był stolicą Prus Wschodnich).

Ważny element działalności stowarzyszenia stanowiło własne wydawnictwo, drukujące czasopismo „Borussia", które ukazywało się 26 lat, odgrywając istotną rolę w przełamywaniu barier niechęci czy nawet wrogości do „obcego", jak to ujął Ryszard Kapuściński. Zwłaszcza do Niemców, którzy kiedyś zasiedlali te ziemie. Stało się to o tyle prostsze, że Robert Traba był najpierw stypendystą „wspólnoty wspierającej pobyty polskich studentów i doktorantów w Niemczech" (Stowarzyszenie Naukowo-Kulturalne w Europie Środkowej i Wschodniej, GFPS), potem pracował w Niemieckim Instytucie Historycznym, a w latach 2006-2018 w Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie.

Żydzi i swastyki

Ale na horyzoncie pojawił się temat żydowskiej przeszłości regionu. Dzisiaj znajomość tego zagadnienia jest już bogatsza, m.in. za sprawą publikacji Joanny Wańkowskiej-Sobiesiak, ale wcześniej wiedza o niemieckich Żydach w przedwojennym Olsztynie i okolicy była bliska zeru. Aż tu Borussia przejęła w dzierżawę zaniedbany, niepozorny obiekt o nazwie Bet Tahara (dom oczyszczenia). Był to dawny dom przedpogrzebowy, zbudowany w 1913 r. według projektu światowej sławy architekta Ericha Mendelsohna, który jeszcze jako student monachijskiej politechniki zaprojektował ten budynek na prośbę żydowskiej gminy z Allenstein (niemiecka nazwa Olsztyna). Renowacja tego obiektu (z różnych funduszy, także europejskich) trwała osiem lat, aby pod nazwą Dom Mendelsohna – Centrum Dialogu Międzykulturowego stał się on w 2013 r. siedzibą Borussii.

Dziś odbywa się tam m.in. Festiwal Mendelsohna, czyli różne wydarzenia kulturalne i edukacyjne, w tym konferencje tematyczne oraz spotkania autorskie, jak niedawno z Weroniką Kostyrko, autorką biografii Róży Luksemburg. Spotkanie prowadziła Joanna Wilengowska, autorka głośnej i nagradzanej książki „Król Warmii i Saturna".

Dotychczasowy dorobek wspólnoty można prześledzić w opasłym tomie antologii Borussii wydanej 10 lat temu własnym sumptem (przy wsparciu Narodowego Centrum Kultury) – „Czas przekraczania granic". Zawiera ona publikacje 45 autorów polskich i zagranicznych, zwłaszcza niemieckich, które niejako sumują 25-lecie organizacji. Nie zestarzały się po 10 latach, nadal dostarczają wiedzy o borussiańskich ideach i ich praktycznej realizacji. Można przyjąć, że działalność stowarzyszenia odegrała swoją rolę: wpływała na świadomość mieszkańców regionu i całej Polski, dotyczącą naszej tożsamości i wielokulturowości. Choć nie zawsze tak było. Kornelia Kurowska i Ewa Romanowska kierujące dziś Borussią opowiadają, jak w czasie remontu Bet Tahary, gdy stało się o tym głośno, ktoś malował swastyki obok odnawianego budynku i antysemickie hasła.

Dziś Dom Mendelsohna nie wzbudza już takich emocji, wrósł w pejzaż miasta, stał się miejscem wielokulturowych spotkań. Nie ma również w Olsztynie ataków na imigrantów, także tych z Ukrainy. W pewnym stopniu dlatego, że duża część Ukrainek i Ukraińców mimo trwającej wojny wróciła do domu. Niemniej jednak zdarzają się ataki ze strony prawicowych działaczy, twierdzących np., że Borussia reprezentuje „niemiecki punkt widzenia, niemiecką narrację historyczną".

Oryginalność Borussii polegała na pokazaniu wielokulturowego dziedzictwa Warmii i Mazur.

Nie wydaje się też, aby Borussia osiągnęła sukces, wspierając Projekt dla Pokoju autorstwa „ojca założyciela" stowarzyszenia, prof. Roberta Traby. Zaproponował on zagospodarowanie placu Xawerego Dunikowskiego, którego centralnym punktem jest pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, dawniej pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej. Wygląda na to, że po wielu konsultacjach i przepychankach, opisywanych także na tych łamach, monument zniknie z pejzażu miasta jako relikt „komunistycznej przeszłości". Tak zapowiada ratusz. Co stanie się po myśli byłego prezesa IPN Karola Nawrockiego, obecnie prezydenta RP. ■

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl 7d57c361f1

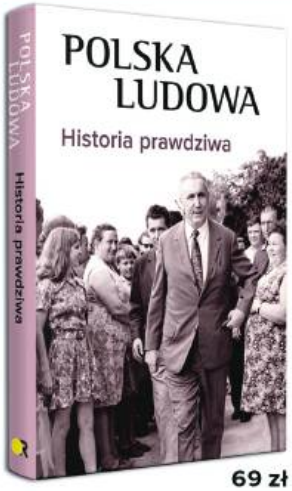

69 zł

PRÓBA SPRAWIEDLIWEJ OCENY

59 zł

TEKSTY KLASYKA WSPÓŁCZESNEGO FELIETONU

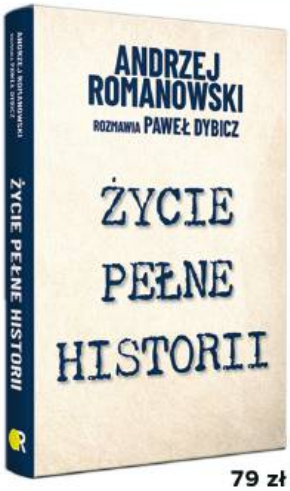

79 zł

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI W PASJONUJĄCEJ ROZMOWIE Z PAWŁEM DYBICZEM

95 zł

OSOBISTA RELACJA Z OSTATNICH DEKAD NASZEJ HISTORII. KSIĄŻKA, KTÓRA POMAGA JE ZROZUMIEĆ

KSIĄŻKA LESZEK KONARSKIEGO, JEDNA Z 15 FINALISTEK GRAND PRESS KSIĄŻKA REPORTERSKA 2020

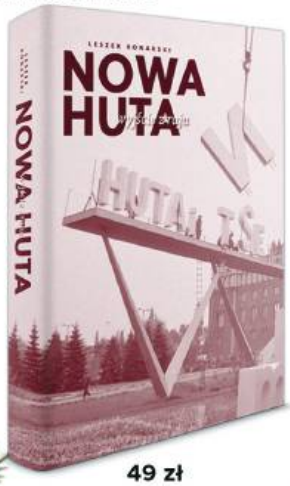

49 zł

Tom I 78 zł

Tom II 79 zł

Pakiet 140 zł

PROF. ANDRZEJ WERBLAN, HISTORYK DZIEJÓW NAJNOWSZYCH

2 + 1 GRATIS

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Zakłamana historia powstania" t. IV W PREZENCIE

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ZDRADZIŁ SOLIDARNOŚCI

55 zł
~~65 zł~~

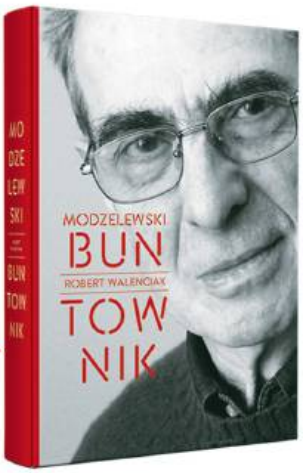

Przegląd

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

eprasa.pl 7d57c361f1

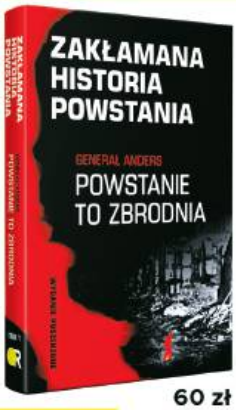

60 zł

70 zł

Pakiet 110 zł

200 TYSIĘCY OFIAR I RUINY MIASTA UPOMINAJĄ SIĘ O PRAWDĘ

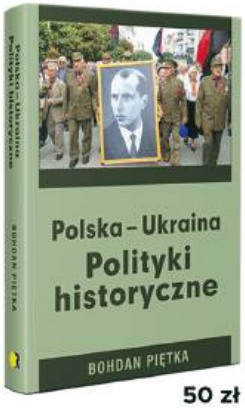

50 zł

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA. POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

58 zł

BŁYSKOTLIWA ANALIZA „AMERYKAŃSKIEJ DUSZY" I POLITYCZNYCH WYBORÓW

Pakiet 190 zł

LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA KAŻDEGO INTELIGENTA

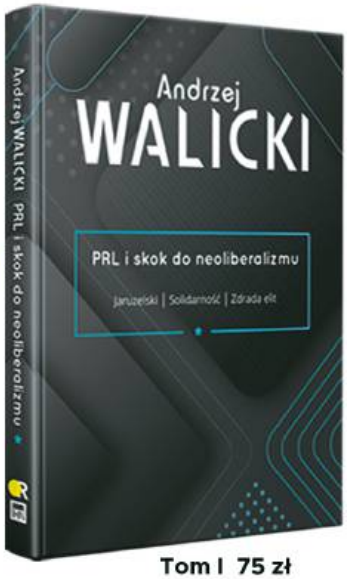

Tom I 75 zł

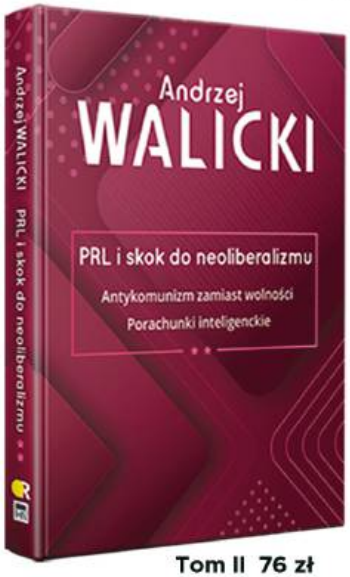

Tom II 76 zł

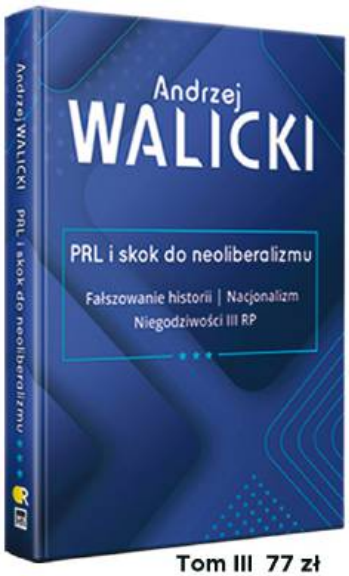

Tom III 77 zł

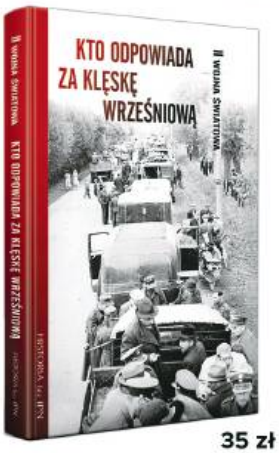

35 zł
~~45 zł~~

DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY

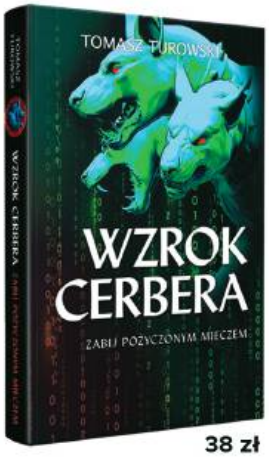

38 zł

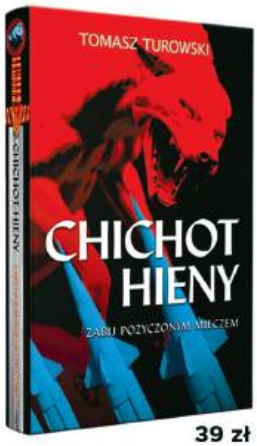

39 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH TOMASZA TUROWSKIEGO

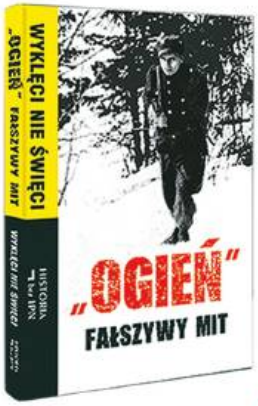

38 zł
~~46 zł~~

„ŻOŁNIERZE WYKLĘCI" SĄ NAJWAŻNIEJSZYM ELEMENTEM OFICJALNEJ POLITYKI HISTORYCZNEJ

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej, Orlen Paczka, do paczkomatu InPost lub dostawy kurierem InPost.

Przegląd

eprasa.pl 7d57c361f1

Pomiędzy zrywem a przegraną

Nie ma w Krakowie drugiej spółdzielni pracy prowadzącej dom kultury

Rozmawia Anna Wyrwik

Dlaczego Ogniwo?

Weronika Śmigielska (wiceprezeska Ogniwa): – Na jednym ze spotkań przed założeniem spółdzielni zastanawialiśmy się nad symbolem, który nawiązywałby z jednej strony do idei łączenia ludzi, a z drugiej do historii ruchu spółdzielczego. Myśleliśmy o motywie kojarzącym się ze stylistyką industrialną i jedna ze spółdzielczyń, Kasia Maleszka, zaproponowała ogniwo.

Skąd w ogóle pomysł, by stworzyć takie miejsce?

WŚ: – Byliśmy bandą zaangażowanych aktywistów i aktywistek, pochodzących z różnych środowisk i zainteresowanych różnymi problemami. Wśród nas były osoby z „Krytyki Politycznej", Inicjatywy „Prawo do miasta" i Krakowskiego Chóru Rewolucyjnego, byli anarchiści i feministki. Łączyła nas potrzeba posiadania miejsca, w którym moglibyśmy robić swoje rzeczy, ale też po prostu się spotkać i wypić piwo.

WERONIKA ŚMIGIELSKA I BARBARA GROBLER
– członkinie krakowskiej Spółdzielni Ogniwo

A dlaczego spółdzielnia?

WŚ: – Chcieliśmy sprawdzić, co się stało z ideą spółdzielczości po transformacji.

Barbara Grobler (prezeska Ogniwa): – Podoba nam się, że spółdzielnia jest formą prowadzenia przedsiębiorstwa opartą na demokracji, w której każda zatrudniona osoba ma tak samo ważny głos.

Od zebrania założycielskiego do pierwszego zorganizowanego przez was wydarzenia minęło półtora roku.

WŚ: – Zebranie założycielskie miało miejsce w listopadzie 2013 r. W styczniu 2014 r. zostaliśmy oficjalnie zarejestrowani. Potem długo szukaliśmy miejsca i w końcu zdecydowaliśmy się na lokal na ulicy Paulińskiej, na krakowskim Kazimierzu. Remont trwał jakieś dziewięć

Spółdzielnia Ogniwo to krakowska społeczna instytucja kultury oraz przedsiębiorstwo społeczne, które od 2015 r. organizuje wydarzenia kulturalne (spotkania autorskie, konferencje, stand-upy, występy drag queens, pokazy filmowe, koncerty i imprezy taneczne). W siedzibie Ogniwa przy ulicy Smolki w krakowskim Podgórzu znajduje się księgarnia i kawiarnia.

FOT. ANNA WYRWIK

eprasa.pl 7d57c361f1

miesięcy. Tam 4 maja 2015 r. zorganizowaliśmy pierwsze wydarzenie – rozmowę o książce „Inna Rzeczpospolita jest możliwa" Jana Sowy. Legenda mówi, że przyszło pół Krakowa, ale myślę, że było ze 200 osób.

Przez 10 lat zorganizowaliście i gościliście tysiące wydarzeń. Które najbardziej zapadły wam w pamięć?

BG: – Myślę, że dla każdej osoby inne wydarzenie mogło być ważne i mogło się stać startem do działalności społecznej. Dla mnie były to spotkania organizacyjne przed Czarnym Protestem kobiet w 2016 r. Dyskutowałyśmy na nich o tym, w jaki w ogóle sposób mówić o proteście i jakie hasła skandować, by zmobilizować jak najwięcej ludzi.

WŚ: – Trudno mi wskazać jedno takie wydarzenie, ale cieszę się, że to takie trudne. Pamiętam spotkanie z Wojciechem Orlińskim o „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych" Howarda Zinna, spotkanie z Martínem Caparrósem, które było jednym z największych wydarzeń w naszej historii, czy spotkanie wokół książki „To zmienia wszystko. Kapitalizm kontra klimat" Naomi Klein. One pokazują, że rozmawiamy zarówno o przeszłości, jak i o teraźniejszości i przyszłości. Myśląc o tym, zdaję sobie sprawę, że z czasem stworzyliśmy zamysł programowy. Zresztą w Ogniwie nie tylko organizujemy wydarzenia kulturalne, ale też prowadzimy działalność społeczną. Nie rozdzielamy tych sfer, bo one się u nas przenikają. Ze świeższych wspomnień to bardzo dobrze bawiłam się na Dniach Aktywizmu, które pozwalają zaprezentować się i nawzajem poznać różnym młodym grupom działającym w Krakowie.

Po pięciu latach działalności na Kazimierzu przenieśliście się na ulicę Smolki w Podgórzu. Gdzie jest lepiej?

WŚ: – Przestrzeń na Paulińskiej była większa, więc mogliśmy organizować kilka wydarzeń równocześnie, dzięki czemu różni ludzie wpadali na siebie, spotykali się i poznawali. W obecnej przestrzeni też się to dzieje, ale w mniejszym stopniu, bo przez to, że jest mniejsza, zmusza nas do selekcji wydarzeń. Cieszę się jednak, że jesteśmy w Starym Podgórzu, bo to świetna dzielnica.

Co można dziś robić w Ogniwie?

BG: – Można przyjść do naszej księgarni, kawiarni, a także na jedno z wielu cyklicznych wydarzeń, które organizujemy. W Ogniwie działa Klub Czytelniczy, w ramach którego spotykamy się w każdy ostatni wtorek miesiąca i omawiamy przeczytane teksty. Ostatnio była to książka „Wyklęty lud ziemi" Frantza Fanona. Rozwijamy Podgórskie Centrum Poezji, czyli spotkania z poetami i czytania poezji. Naszym kierownikiem ds. poezji jest poeta i spółdzielca Miłosz Biedrzycki. Prowadzimy też cykl Nowości w Ogniwie, w ramach którego spotykamy się z twórcami i twórczyniami nowo wydanej literatury non-fiction.

WŚ: – W ramach tego cyklu gościliśmy wielu świetnych autorów. W ostatnim czasie byli: Marek Józefiak z książką „Polska Rzeczpospolita Leśna, czyli jak Lasy Państwowe stały się państwem w państwie", Sylwia Czubkowska z książką „Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem", Joanna Ostrowska z książką „Ślady. Historia pewnego archiwum" i Dalia Mikulska z książką „Kiedyś wszyscy byliśmy tu ludźmi. Reportaże z Palestyny".

BG: – Od listopada w każdy pierwszy piątek miesiąca gościmy Latawicę, czyli lesbijski bar latający, który daje przestrzeń na flirty, plotki, czułości i rewolucję. Ostatnio był pokaz filmu „Lesbian Avengers Eat Fire, Too", ale ogólnie chodzi o to, że lokal jest zawładnięty przez osoby lesbijskie. W Krakowie niestety brakuje takich przestrzeni.

WŚ: – W tym roku organizujemy też 10 na 10, czyli spotkania autorskie na 10-lecie Spółdzielni Ogniwo. Długo powstawaliśmy, więc nasze 10. urodziny też długo trwają. Na tych spotkaniach goszczą u nas pisarki i pisarze, którzy w ciągu 10 lat nas odwiedzili, a rozmawiamy z nimi o tym, czy i jak ich książki wpłynęły na nich samych, na czytelników, a może na Polskę i świat.

Czy łatwo robić takie miejsce w konserwatywnej Polsce?

WŚ: – Myślę, że niełatwo, czego dowodem jest fakt, że nie ma w Krakowie drugiej spółdzielni pracy prowadzącej dom kultury. W ciągu 10 lat organizowaliśmy też wydarzenia, przed którymi myśleliśmy o solidnej obstawie. Na szczęście mieliśmy tylko jedną nieprzyjemną sytuację – w 2016 r. podczas spotkania dotyczącego aborcji osoba wlała kwas masłowy do lokalu. Zapach unosił się przez dwa miesiące, a na tablicy w lokalu napisaliśmy: „Tak, wiemy, że śmierdzi".

BG: – Może niełatwo robić takie miejsce w Polsce, ale w naszym społeczeństwie jest wiele osób, które takiego miejsca potrzebują. I im dzięki niemu jest łatwiej.

Te 10 lat spółdzielni to duża zmiana w myśleniu i mało zmian w rzeczywistości prawnej.

A co ze wsparciem systemowym?

WŚ: – W Polsce pozyskiwanie środków na wydarzenia kulturalne bywa uzależnione od tego, kto jest u władzy. W trakcie rządów PiS nawet nie próbowaliśmy starać się o środki z Ministerstwa Kultury. Jednak najbardziej przeszkadza nam brak wsparcia systemowego. Granty na program, który musimy dodatkowo wymyślić na potrzeby projektu, nie są wsparciem systemowym. Mogłyby nim być środki przewidziane na wsparcie ekonomii społecznej. W 2024 r. uzyskaliśmy status przedsiębiorstwa społecznego, z nadzieją m.in. na uzyskanie wsparcia z Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Niestety, środki przewidziane na ten cel są niewystarczające. Chętnych jest bardzo dużo. W konkursie „Warto być Przedsiębiorstwem Społecznym" na lata 2023-2025 w tym roku wpłynęło aż 967 wniosków, a do dofinansowania zostało zakwalifikowanych 366. Nam się nie udało. Mam nadzieję, że w przyszłości środków przeznaczonych na działalność przedsiębiorstw

eprasa.pl 7d57c361f1

społecznych będzie więcej, choć ani dla PiS, ani dla PO nigdy nie były one przedmiotem zainteresowania.

Jak z perspektywy Ogniwa postrzegacie ostatnie 10 lat?

BG: – W wielu sprawach startowaliśmy z miejsca, w którym trzeba było dopiero wykuwać nowy język dla postulatów. Przykładem są wspomniane protesty przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Pojechałam wtedy do mniejszego miasta z listą haseł i miejscowe dziewczyny były wdzięczne, że mamy już ten język, ponieważ im go brakowało. Pod tym względem jesteśmy w Polsce dużo dalej. Dla mnie te 10 lat to duża zmiana w myśleniu i mało zmian w rzeczywistości prawnej. Było też wiele zrywów i nadziei, ale po nich pojawiał się brak wiary w naszą sprawczość. Chyba wciąż jesteśmy w miejscu pomiędzy nadzieją i zrywem a poczuciem przegranej i przerażeniem.

WŚ: – Jestem przekonana, że jako Ogniwo wnieśliśmy coś do rzeczywistości. Dowodem na to są młode osoby, które wspominają spotkania w Ogniwie jako inicjujące. To dzięki nim postanowiły zbadać jakiś temat, zmienić pogląd czy w końcu zaangażować się w działanie. To ważne, że młodym ludziom, dwudziestoparolatkom, czyli w takim wieku, w jakim my byliśmy, zakładając Ogniwo, bardzo się chce i mają wiele nowych inicjatyw. Wiele wnoszą. Raz jedna dziewczyna, zapytana, czemu chce wstąpić do Ogniwa, powiedziała, że nie ma w Krakowie miejsca, w którym osoby o lewicowych poglądach mogłyby robić swoje rzeczy, a czasami po prostu posiedzieć i poczuć się jak u siebie.

W dobie internetu i telefonów trzymanych w dłoniach prawie 24 godziny na dobę wciąż liczy się to fizyczne miejsce?

WŚ: – Tak. Myślę, że prócz tego, że mamy program i idee, ważne jest miejsce. Przez pewien czas w świecie panowała narracja, że teraz to internet będzie przestrzenią dialogu i skrzykiwania się do działania. Dziś obserwujemy degenerację internetowego dialogu na platformach, które są własnością wielkich posiadaczy tego świata i są przez nich sterowane. W świecie algorytmów, wspomagania dopaminy itd. dialog staje się niemożliwy. W Ogniwie możemy od tego odpocząć, skonfrontować się z drugim człowiekiem i przeprowadzić z nim dyskusję na żywo.

BG: – Pamiętam z Ogniwa dyskusje na tematy, o których, jak sądziłam po doświadczeniach na forach internetowych, dyskutować się nie da. Przykładem jest choćby temat pracy seksualnej, o której dyskusja w internecie wyglądała strasznie, a w naszym Klubie Czytelniczym byliśmy w stanie rozmawiać z szacunkiem. Fizyczne miejsce jest też ważne dlatego, że tu rodzą się działania, które potem przechodzą na ulice.

W siedzibie Ogniwa 10 lat temu osoby ze Stowarzyszenia Queerowy Maj przygotowywały transparenty na Krakowski Marsz Równości. Wtedy uczestników było kilkuset. Od paru lat w marszu idzie regularnie po kilka tysięcy osób.

WŚ: – A wiesz, co jest najciekawsze? Marsz Równości stał się przez te lata mainstreamowym wydarzeniem i – jak mówisz – zbiera tysiące ludzi. Jest już na tyle mainstreamowy, że w stosunku do niego powstała mniejszościowa opozycja w postaci Antykapitalistycznego Marszu Równości. W tym roku w ramach tej inicjatywy 13 września maszerowało ok. 200 osób. I jak kiedyś Marsz Równości znalazł przestrzeń organizacyjną u nas, na Paulińskiej, tak dziś ludzie z Antykapitalistycznego Marszu swoje transparenty szyli u nas, na Smolki. Czyli, po pierwsze, można ze sobą rozmawiać i działać w jednej przestrzeni mimo różnicy zdań, a po drugie tą przestrzenią jest Ogniwo, bo tu inicjatywy mniejszościowe zawsze znajdują dla siebie miejsce.

Polska rzeczywistość zmierza w brunatnym kierunku i większość ekspertów przewiduje zwycięstwo skrajnej prawicy w wyborach parlamentarnych w 2027 r. Boicie się?

BG: – Boję się ponurych wizji przyszłości, choć ciągle mam nadzieję, że zboczymy z tej trajektorii. Jeśli jednak najgorsze scenariusze się ziszczą, z Ogniwem będzie nam łatwiej niż bez niego.

WŚ: – Ja z Ogniwem boję się mniej. Wiem jednak, że jeśli dojdzie do rządów koalicji PiS z Konfederacją, zostaniemy odcięci od środków. Będziemy musieli przejść na społecznościowe zarządzanie i społecznościowe pozyskiwanie środków. Dzisiaj z Patronite finansujemy dwa spotkania miesięcznie, a w takiej sytuacji musielibyśmy finansować wszystko.

Jakie cele i wyzwania stawiacie przed sobą na najbliższą przyszłość?

WŚ: – Wyzwaniem jest to, by Ogniwo cały czas było otwarte na nowych ludzi i nowe tematy, jednocześnie pamiętając o tych, które wciąż nie są załatwione, jak temat dostępności aborcji czy legalizacji związków jednopłciowych. Wyzwaniem jest też, byśmy cały czas pozostawali kolektywem, który chce zmieniać rzeczywistość. Ważne bowiem, by społeczna energia nie poszła w gwizdek i żebyśmy nie dali się ponieść emocji, że nic się nie udało, tylko wciąż się spotykali, tworząc sobie zasłonę przed apatią i beznadzieją. Ważne jest, by działać, i nie zawsze chodzi o działanie, które ma za cel zmianę systemu. Czasem chodzi o działanie lokalne, dzielnicowe, samopomocowe, takie, które pozwala przetrwać nadziei na danym odcinku.

BG: – Bardzo ważne jest, żeby istniały takie miejsca jak Ogniwo, w których również poza momentami mobilizacji możesz spotkać osoby podzielające twój system wartości. W chwili mobilizacji widzisz wokół siebie tłum osób, z którymi dążycie do tego samego i skandujecie to samo. Jednak tego nie da się utrzymywać cały czas, więc istotne, by poza tymi momentami nie tracić się nawzajem z oczu.

Anna Wyrwik

Wyzwaniem jest to, by Ogniwo cały czas było otwarte na nowych ludzi i nowe tematy.

eprasa.pl 7d57c361f1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

To Polska zagraża Polsce

Kiedy siadam do napisania tych kilkuset słów, wiem, że premier Donald Tusk zamierza przedstawić nazajutrz „pilną informację dotyczącą bezpieczeństwa państwa". Przecieki na ten temat rozhulały się już 24 godziny przed rozpoczęciem posiedzenia Sejmu. Zamiast tajne przez poufne mamy polityczną wannę z brudną wodą, dziurawą w wielu miejscach i cieknącą. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć, że będzie o Rosji jako złu wcielonym, które nie ma nic innego do roboty jak podstępnie podniszczać Polskę, a to wlatując jakimiś dronikami, a to wysadzając w powietrze metr bieżący toru kolejowego. I wszystkim zawiaduje bezpośrednio Władimir Putin – bez wątpienia, bo jak inaczej?

Czytam więc przecieki z tajnego/poufnego/utajnionego/zaszyfrowanego/zabezpieczonego przez SOP, gdzie mowa o jakiejś rosyjskiej (a jakiej innej???) kryptoaferze i rosyjskim w niej śladzie. Krypto- to pierwszy człon wyrazów złożonych wskazujący na ich związek z tym, co niewidoczne, albo na posiadanie ukrytych cech lub niejawny charakter czegoś. Ale to także przedrostek anihilujący: krypto-, czyli nic. Kryptoafera jest zatem ukrytą, za chwilę może się okazać, że nieistniejącą albo przeszacowaną aferką, niby-aferką, zeroaferką. Powagi, godności i mocy dodaje zatem aferce wzmianka o śladzie rosyjskim. I już w tym momencie należałoby zamilknąć, żeby nie zasłużyć na honorowe miano ruskiej onucy. Dziś pojęcie „rosyjski ślad" niesie w sobie moc nie tyle stygmatu i wykluczenia, ile wyroku i najchętniej od razu egzekucji. Jak to mówią, nie pogadasz. Ale dlaczego tajne? Posłowie będą trzymać język za zębami? A skąd mieliby wziąć taką tradycję? Nie mają w tym żadnego interesu.

Dolewa więc prezes Rady Ministrów benzynę strachu do ogniska lęków i poczucia zagrożenia. I potem wjedzie na białym koniu konieczności ponoszenia wyrzeczeń przez najuboższych, cięcia wydatków na wszystko, co może (i powinno!) budować poczucie bezpieczeństwa realnego i wymiernego – na ochronę zdrowia, opiekę społeczną, edukację czy mieszkalnictwo.

Rosja i przymiotnik rosyjski stają się zatem wszystko tłumaczącą przyczyną oraz uzasadnieniem podziału na to, na co państwo polskie nie ma zamiaru wydawać pieniędzy, a na co w tym samym momencie, niesione militarystycznym wzmożeniem, będzie wydawało: na kolejne armaty, czołgi, nieuzbrojone samoloty, mokre sny o dronowej potędze. I będzie ograniczało w duchu stanu wyjątkowego (zmierzającego ku permanencji) nasze kolejne prawa obywatelskie i prawa człowieka, które stały się dla rządzącego duopolu PiS-PO wyłącznie kulą u nogi.

Po raz któryś możemy zadać sobie pytanie, czy do degrengolady państwa, które abdykuje z kolejnych obowiązków, naprawdę niezbędna jest aktywność rosyjskich służb. Wspomniałem o dramacie wysadzenia w powietrze metra bieżącego toru gdzieś koło Garwolina. Ale przecież przez ostatnie trzy dekady kolejne polskie rządy zlikwidowały (pismami i decyzjami, bez konieczności wysadzania) setki tysięcy kilometrów połączeń kolejowych. Szacuje się, że w efekcie tych działań (dywersje rządowe?) kilkanaście milionów Polaków zostało dotkniętych radykalnym wykluczeniem komunikacyjnym. To budzi poczucie bezpieczeństwa? A karygodna kondycja systemu opieki zdrowotnej, psychiatrii dziecięcej, masowe zamykanie oddziałów i szpitali położniczych, czemu towarzyszą lamenty o zapaści demograficznej? Polska nie potrzebuje żadnej – że użyję tak popularnego pojęcia ze świata wyczekiwanej konfrontacji wojennej – pełnoskalowej agresji na wschodnią flankę. Brrr… Wszystko, co mogłoby przynieść to mamidłowe straszydło pełnoskalowe, realizują polskie władze, z konsekwencją godną naprawdę innej sprawy. Brak poczucia bezpieczeństwa Polaków i Polek powoduje polityka cięcia kosztów, wyzbywania się odpowiedzialności, krótkoterminowych strategii. Polska, nie pierwszy raz w historii, sznur na swojej szyi zaciska sobie sama.

Na ustach wielu Polaków i Polek za sprawą serialu Netfliksa jest dzisiaj tragedia zatonięcia w 1993 r. promu Jan Heweliusz. W doskonałej reportażowej książce Adama Zadwornego „Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku" pojawia się wątek zaginionego (zniszczonego?) raportu Państwowej Inspekcji Pracy na temat przyczyn zatonięcia Heweliusza. Była to dogłębna krytyka i długa lista zaniedbań, naruszeń prawa, lekceważenia procedur, które doprowadziły w konfrontacji z potężnym, jakby „niebałtyckim" huraganem do tragedii i śmierci kilkudziesięciu osób, w tym wszystkich pasażerów. Ten raport nie posłużył jednak do wyciągnięcia wniosków na przyszłość ani nie został wykorzystany w końcowych ustaleniach Izby Morskiej. „Zaginął", nie został po nim ślad i nie wiadomo, kto do tego doprowadził.

Może musi być tak, że każde państwo ma takiego Titanica, katastrofę Heweliusza czy smoleńską, na jakie zasługuje i jakie sobie wypracowuje? Po co zrozumieć, zbadać, wymagać? Niech Rafał Brzoska z Tuskiem nam tę Polskę całkiem zderegulują. Polskimi literami i słowami. Do niczego tu „bukwy" nie są potrzebne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7d57c361f1

Dzisiaj aktor jest kimś innym

Nie uwolnimy się od „Wesela”. To uniwersalne narzędzie do czytania rzeczywistości

Rozmawia Tomasz Miłkowski

JULIUSZ CHRZĄSTOWSKI
– aktor Narodowego Starego Teatru w Krakowie

Przekładałeś dzisiejsze spotkanie.

– To przez moje obowiązki na uczelni – jestem prodziekanem wydziału aktorskiego w niepublicznej uczelni. Trochę obowiązków biurokratycznych na mnie spada.

Ale z własnego wyboru?

– Zawsze lubiłem uczyć, ceniłem zwłaszcza pracę z młodzieżą, z licealistami. Mam też dorosłych podopiecznych, amatorów, którzy czekają, żeby zrobić z nimi kolejną premierę w mojej rodzinnej Świdnicy. Prowadziłem teatr amatorski z dorosłymi w Skale, koło której mieszkam. Przez siedem lat jeździłem do Nowego Targu i prowadziłem zajęcia z młodzieżą.

Czyli to nie jest przypadek?

– Raczej potrzeba kontaktu z ludźmi, którzy lgną do teatru bez presji, zobowiązań i oczekiwań. Robią to dla zabawy, żeby móc się spotkać, przygotować premierę, przeżyć coś wspólnie. Wykonują różne zawody na co dzień, często niezwiązane z życiem artystycznym. I nagle wciągają się w wir działań twórczych, który ich spaja i rozwija. Prowadziłem także warsztaty recytatorskie, nadal je prowadzę w Świdnicy.

Sam zaczynałeś od konkursu recytatorskiego.

– Z takiego ruchu wyszedłem. Kiedyś jeździłem do Kłodzka, gdzie działał ważny animator kultury, Marian Półtoranos. Zorganizował swego czasu duży festiwal Zderzenia Teatralne. W Kłodzku zobaczyłem „Turlajgroszka” Teatru Wierszalin, Pieśń Kozła w jego szczytowym momencie, Schaeffera w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Z takiego ruchu wyrosłem i może dlatego jeszcze przed pandemią związałem się grupą, która chciała założyć pierwszy magisterski wydział aktorski w niepublicznej uczelni. Istnieją studia dwuletnie przy teatrach albo trzyletnie szkoły aktorskie, takie jak szkoła w Warszawie, która kończy się licencjatem. Ale nikt nie próbował utworzyć pięcioletnich studiów aktorskich w prywatnej szkole, bo to niedochodowe. A nasz wydział, choć nie jest dochodowy, został założony na krakowskim Uniwersytecie Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Katarzyna Deszcz, Tomasz Schimscheiner, Piotr Sieklucki, Artur „Baron” Więcek, Anna Cieślak, Dariusz Starczewski, Krzysztof Orzechowski i ja stwarzamy to od zera.

Ile to już lat trwa?

– Właśnie kończy pięcioletnie studia nasz pierwszy rocznik. Małgorzata Warsicka przygotowała z nimi dyplom, „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku” Doroty Masłowskiej. Mamy poczucie sprawczości, coś razem zbudowaliśmy. Tylko że im więcej studentów, tym więcej krzątaniny z dyplomami. To kradnie czas i energię. Nie spodziewałem się, że to mnie tak dociśnie.

Satysfakcja przyjdzie, jak będą pierwsi absolwenci.

– Wtedy dopiero będzie widać, czy ta ścieżka kształcenia ma sens. Od początku mieliśmy poczucie, że coś trzeba zmienić w szkolnictwie aktorskim. Nie chodzi o to, że w państwowych szkołach źle uczą, tylko nam się wydaje, że trzeba to robić trochę inaczej. Trzeba się otworzyć nie tylko na teatr. Studenci powinni zapoznać się z tym, co to jest stand-up, self-tape, konferansjerka, lektorowanie, czytanie audiobooka, praca przed kamerą, organizacja produkcji. Należy więc studia związać z potrzebami rynku.

W szkołach państwowych zmiany programowe to bardzo trudny proces. A tutaj okazujecie większą elastyczność.

– Właśnie. Poza tym jesteśmy częścią dużego organizmu uczelni, studenci mają styczność z ludźmi studiującymi na kierunkach nieartystycznych. To też jest wartość. Na pokazy naszych studentów przychodzą nie tylko koledzy, którzy zawsze się

eprasa.pl 7d57c361f1

śmieją, ale również, jak to mówimy, cywile, dla których liczy się odbiór czystego komunikatu ze sceny.

Pedagogika do końca cię nie wessała, skoro udało ci się zagrać Gospodarza w dwóch krakowskich „Weselach" Wyspiańskiego: w reżyserii Jana Klaty w twoim Starym Teatrze i w reżyserii Mai Kleczewskiej w Słowackim. Jak to się dzieje, że ten tekst tak w nas siedzi?

– Mam we krwi „Wesela" bardzo wiele. Niedawno w Warszawie, w Teatrze Narodowym, graliśmy „Wesele" Klaty. To było 100. przedstawienie. A „Wesele" Kleczewskiej w Teatrze Słowackiego właśnie miało 50. przedstawienie. Zagrałem też Czepca w „Weselu" w Radiu Kraków.

Czyli „Wesele" masz pod skórą.

– Tak, absolutnie. A jeszcze biorę udział w wydarzeniu teatralnym „Weselisko", czyli parafrazie „Wesela" napisanej przez prof. Bronisława Maja. Gramy je w formie performatywnego czytania w Teatrze KTO u Jerzego Zonia. To jest oczywiście z dużym przymrużeniem oka. W tym „Weselisku" jestem Księdzem.

Spleciony jesteś z „Weselem" na amen. A publiczność?

– Skoro mnie pytasz o recepcję „Wesel" w Starym i w Słowackim, to bilety sprzedają się na pniu i za każdym razem są owacje na stojąco. Siłą rzeczy zastanawiasz się, na czym polega ten fenomen. Przecież mówimy „Weselem", nawet czasem nie wiedząc o tym. To jest gdzieś w powietrzu.

Jan Klata powiedział, że „Wesele" jest dla niego ważniejsze niż „Dziady".

– Jestem w stanie z tym się zgodzić. „Dziady" są oczywiście ważne, ale „Weselem" można opowiedzieć to, co naprawdę jest. „Wesele" Kleczewskiej zaczyna się jak opowieść historyczna, niezwykle atrakcyjna dla oka przez energię rozbuchanej, wielkiej imprezy. I atrakcyjna muzycznie. Jeśli ktoś nie chce wnikać, kim był Stańczyk, jak go można czytać dzisiaj, i nie do końca rozumie drugi akt, ten pochód postaci dramatu, to zadowoli go pierwszy akt. Obyczajowo, rodzajowo, tak dla oka.

To buzuje. Publiczność ogląda spektakl jak zaczarowana.

– To radość, że ludzie się kontaktują z czymś, co niby znają, a ciągle nie znają. „Wesele" Kleczewskiej i „Wesele" Klaty to zupełnie różne przedstawienia.

U Kleczewskiej początek spektaklu wygląda jak kolorowa malowanka, u Klaty – zespół Furia, blackmetalowe demony, budzi lęk. A ty poruszasz się między tymi dwoma światami.

– Kiedy zadzwonił do mnie Krzysztof Głuchowski, dyrektor Słowackiego, i zapytał, czy nie zagrałbym w „Weselu" Mai Kleczewskiej, byłem zaskoczony. Odpowiedziałem, że przecież gram Gospodarza w „Weselu" Klaty. Głuchowski na to, że właśnie chodzi o to, żebym zagrał Gospodarza, mają taki pomysł z Mają, abym stał się symbolicznym pomostem między Plantami a placem Szczepańskim, między Starym Teatrem i Teatrem Słowackiego.

I tak zostałeś teatralnym łącznikiem specjalnym.

– Miałem obawy, czy nie będę wtórny. Ale kiedy na pierwszych próbach Maja Kleczewska i Grzegorz Niziołek wyjaśniali, co chcą tym „Weselem" opowiedzieć, byłem spokojny, że to będą dwa różne przedstawienia. Tym bardziej kiedy się dowiedziałem, że Wernyhorą będzie ukraińska aktorka Anna Syrbu i że związek z tym, co dzieje się na wschodniej granicy, będzie zaakcentowany.

W przedstawieniu Kleczewskiej silnie zaakcentowany jest też związek z tradycją, u Klaty występuje zdublowany Jasiek, młody i wiekowy, który od 100 lat biegnie i ciągle jest w tym samym miejscu.

– Dzień świstaka. Kiedy Andrzej Kozak, aktor przeszło 90-letni, wychodzi na scenę i woła: „Panie, panie…", to za każdym razem coś mnie w środku ściska. Nie uwolnimy się od tego „Wesela". I dobrze, że je mamy. Bo jest czym opowiadać, w czym się rozpoznawać. To takie polskie uniwersalne narzędzie do czytania rzeczywistości.

Ktoś zauważył, że ty jako Gospodarz u Kleczewskiej jesteś nadzieją.

– Tak?

Gospodarz może pomóc zapętlonym weselnikom wydostać się z zaklętego kręgu problemów.

– Ciekawe spostrzeżenie. Maja mi tłumaczyła, że sam znajdę powód, dla którego Gospodarz nie pamięta spotkania z Wernyhorą. Gospodarza trafił rodzaj wyparcia. W momencie, kiedy sobie przypomni, może będzie tak, jak mówisz, że jednak gdzieś zostaje nadzieja, bo on przez moment zyskuje dar nadwidzenia. Tym bardziej że w „Weselu" w Słowackim padają te słowa, których nie ma u Klaty: „Kraków ogniami płonie". Nie można tego efektu osiągnąć w Warszawie. Bo to jest mocny akcent w Krakowie, gdy Kraków płonie.

Teatr nie jest krainą wyizolowaną ze świata. Wręcz odwrotnie, bierze energię z tego, co tu i teraz.

Jak płonie Warszawa, to dla warszawiaków żaden mocny akcent, bo Warszawa naprawdę spłonęła.

– Tak naprawdę ona wiecznie płonie. To są tropy lokalne, że taki finał rezonuje i działa. Na placu Świętego Ducha działa. Bo to jest Kraków, który trwa. Jak opoka.

Muszę wrócić do doktora Stockmanna z „Wroga ludu" Ibsena, także w reżyserii Klaty (2015). To był przełom w pojmowaniu aktorstwa. Okazało się, że dzisiaj aktor jest kimś innym. Może „wyjść z roli" i nawiązać dialog z publicznością, może komentować świat nie tylko w imieniu postaci, ale też w swoim. Miałeś poczucie, że zmieniasz podstawy istnienia aktora na scenie?

– Nie wiem, czy to promieniuje na inne spektakle, ale dla mnie Stockmann to była rola formatująca, kształtująca moje myślenie o teatrze. Tak to tłumaczę studentom, że na tym polega współczesne aktorstwo teatralne. Niedawno graliśmy „Wroga ludu". Jan Klata był na próbie wznowieniowej, przyszedł do mnie po spektaklu za kulisy: „Ileż można, stary? 30 minut gadałeś". A ja tego nie zauważyłem. Powstał jakiś osobny spektakl. Taki właśnie,

eprasa.pl 7d57c361f1

no, performans, tak? Czyli działanie wywołane impulsami chwili, dnia, okoliczności.

Napisałeś nawet doktorat o tym monologu performansie.

– Kiedy przyszło do napisania doktoratu, a moją promotorką była Iwona Kempa, zadeklarowałem, że napiszę o „Wrogu ludu". Promotorka się zgodziła, pod warunkiem że będzie o moim monologu, bo to jest zdarzenie, które tylko ja mogę w pełni opowiedzieć.

Czyli chodziło o autoanalizę?

– Analizę siebie w tym wszystkim. Krytycy mieli z tym monologiem problem, jak to nazwać w ogóle. Jacek Wakar pierwszy użył sformułowania, że to jest monolog performatywny, a ja się tego uchwyciłem. Sam siebie rozłożyłem na czynniki pierwsze, poszukałem notatek z prób, z moich rozmów z reżyserem. Pisałem o premierowej wersji monologu, ale potem mocno się zmieniało, wciąż się zmienia, tak jak się zmienia agenda tematów, która jest w tej improwizacji.

Nauczyłem się technik rozmowy z widzami, riposty, technik retoryki i przemawiania. Że to się powinno mienić na różne sposoby, być w pewnym momencie zabawne, ale za chwilę chwytać widza za gardło. To nie może być doraźne gadanie, tylko publicystyczne.

Juliusz Chrząstowski w spektaklu „Wróg ludu".

Na pewnym spektaklu siedziało 30 przypakowanych mężczyzn. „Chodźcie tutaj na scenę, pogadamy", zawołałem.

Po 15 października 2023 r. wszyscy mnie pytali, o czym będę w tym „Wrogu ludu" mówił. A potem się okazało, że owszem, jest o czym mówić. Że „zwarta większość, która jest największym wrogiem prawdy i wolności", nadal jest tematem. Kluczowy cytat z Ibsena mogę rozwijać we wszystkie strony i będzie aktualny.

Ten rodzaj kontaktu, wyjścia z roli w stronę współdziałania z widownią, obarczony był ryzykiem.

– Zdarzały się trudne sytuacje. Niektórzy demonstracyjnie wychodzili. W Rzeszowie, w którym rozmawiamy, na festiwalu teatralnym była tak gęsta atmosfera. Sporo osób wychodziło i trzaskało drzwiami.

Ale skończyło się nagrodą.

– A ci, co zostali, zgotowali nam owację. Gorące było spotkanie po spektaklu. Ludzie tak się spierali, że my, aktorzy, nie musieliśmy już nic mówić.

Wytwarzało się takie pole napięcia?

– Właśnie. To było wręcz magiczne. Teatr, który jest więcej niż żywy, który wywołuje działania poza teatrem. Ale na pewnym spektaklu okazało się, że na samej górze siedzi 30 przypakowanych mężczyzn, przyprowadzonych przez swojego szefa. Mieli gwizdki i w trakcie mojego monologu zaczęli gwizdać. „Chodźcie tutaj na scenę, pogadamy", zawołałem. Wtedy ten główny gwizdacz w ciężkich butach przeszedł przez całą widownię i stanął na scenie. I z tej sceny zaczął wygłaszać swój spicz: o narodowej kulturze, o lewactwie, które trzeba wyplenić. Ludzie z widowni krzyczeli: „Zejdź ze sceny!". No i się zaczęła pyskówka między widzami a tym mężczyzną. Pierwszy raz poczułem, że nie mam narzędzi ani pomysłu, co z tym zrobić. Czułem pustkę i bezradność. Potem Klata ostro mnie krytykował: „Mogłeś włączyć syrenę alarmową, mogłeś ludzi zachęcić, żeby go wyklaskali, co tak stałeś jak kołek?". Mądry Polak po szkodzie. A ja wtedy czułem, że skończyło się moje aktorstwo, że jako człowiek jestem bezradny w całej tej sytuacji.

Jak to się skończyło?

– Inspicjentka Kasia Gaweł poprosiła przez interkom całą obsadę na scenę. Wszyscy zeszli i stanęli za mną na scenie. Wtedy on się poczuł niepewny. Wówczas wspaniale się odezwał Radek Krzyżowski, jako mój sceniczny brat, i powiedział o przekraczaniu granic, o tym, czym jest fikcja w teatrze, czym jest dzieło. I że ten pan właśnie chyba czegoś nie zrozumiał. Pod wpływem tych słów on podkulił ogon i wrócił do swoich popleczników. Wtedy oni ceremonialnie wyszli.

Ciężka przeprawa.

– Dokończyłem monolog. Cisza do końca spektaklu była przejmująca.

Tym monologiem przełamałeś rutynę, odkrywając szansę poważnej rozmowy z widzem. Jednocześnie widać u ciebie ogromną potrzebę komizmu, choćby w „Murzynach we Florencji" Vedrany Rudan w Teatrze Nowym Proxima. Ludzie śmiali się do rozpuku.

– Łzy także kapały. To było gorzko-śmieszne. Chorwacka pisarka Vedrana Rudan ma podwójny nerw obserwacji: niby jest śmiesznie, ale niekoniecznie. Poprzez dowcip i przerysowanie, nawet ostrą satyrę, można mnóstwo rzeczy opowiedzieć. Ja zdobyłem doświadczenie komediowe, grając przez wiele lat Zagłobę w „Trylogii". A jeszcze przed Zagłobą była rola, do dzisiaj zresztą ją gram,

eprasa.pl 7d57c361f1

Pijakiewicza w „Pijakach" Bohomolca zrobionych na lata 80. przez Barbarę Wysocką. I śmiesznie jest do czasu. A potem już raczej smutno.

Wszystkie te ważne premiery zdarzały się w szczególnych momentach. Przypomnijmy: „Wróg ludu" to wybory w 2015 r., „Wesele" – w zasadzie na drugiej generalnej nie ma już Klaty jako dyrektora Starego Teatru.

– Klata się dowiedział, że nie jest dyrektorem, więc to też sytuacja niesamowita. I to drugie „Wesele" Kleczewskiej – dyrektor Głuchowski nie wiedział, czy będzie odwołany, czy zostanie.

W takich newralgicznych momentach wykwitają ważne dzieła, które się pamięta.

– Żebyś wiedział. Tak jak „Nie-boska komedia. Wszystko powiem Bogu!", która także jest dla mnie ważnym przedstawieniem. Najpierw romantyczny dramat Krasińskiego miał wyreżyserować Oliver Frljić. Skończyło się skandalem, do premiery w Starym Teatrze nie doszło. Projekt trafił do duetu Strzępka-Demirski. Wydawało się, że nic z tego nie będzie, w rezultacie Paweł Demirski napisał jeden z najlepszych swoich tekstów teatralnych.

Więc to też okoliczności sprawiły.

– To potwierdza starą prawdę, że teatr nie jest jakąś krainą wyizolowaną ze świata. Wręcz odwrotnie, teatr bierze energię z tego, co tu i teraz.

Jesteś od lat związany ze Starym Teatrem. Ale bywasz aktorem wędrownym. Teraz grasz w Łodzi Willy'ego Lomana w „Śmierci komiwojażera" w reżyserii Remigiusza Brzyka.

– Zdecydowałem się z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli możesz zagrać w teatrze tytułową rolę i wziąć udział w dramacie z 1946 r., napisanym w starym, klasycznym stylu, który jest niesłychanie aktualny, nie ma co się zastanawiać.

Trzy akty. Rozwój postaci. Zmienność.

– Pełna historia. A rola Willy'ego Lomana to prawdziwe zadanie aktorskie. Tyle relacji rodzinnych, społecznych do wygrania. To trzy i pół godziny aktorskiej, fizycznej roboty, bardzo mocno granej, bo nie można sobie odpuścić, ani na moment. A drugi powód, że to jest Teatr Nowy w Łodzi, gdzie miałem nieprzepracowane traumy. Po tym, jak mnie z tego teatru po prostu straż miejska w 2003 r. wyrzuciła. Wykręcili mi ręce i mnie z tego teatru wynieśli.

Jak to?

– Pamietasz, jak zmarł Kazimierz Dejmek? Wtedy był tam dyrektorem. Moim też. Spotkałem się z nim, legendą, jako młody aktor. Kiedy zmarł, a wtedy zmieniła się akurat władza w Łodzi i prezydentem został Jerzy Kropiwnicki, prawicowcy bez konsultacji z zespołem, jeszcze przed pogrzebem Dejmka, mianowali dyrektorem Grzegorza Królikiewicza, człowieka bez doświadczenia pracy w teatrze. Zespół protestował. Byłem na pierwszej linii frontu. Przez trzy miesiące nie wpuszczaliśmy Królikiewicza do teatru. Dyrektorowała szefowa administracyjna Grażyna Wasilewska. Graliśmy spektakle. Prus zaczął kończyć „Hamleta" Dejmka. Nadszedł Wielki Piątek i oni wiedzieli, że mało ludzi jest w teatrze. Tylko ja, sekretarka i mój kolega. Weszli na siłę do budynku. Biuro Ochrony Kobra, straż miejska, w kominiarkach. I wyprowadzili mnie z teatru.

No tak, musiałeś tu wrócić.

– Kiedy Willy Loman odzywa się w pierwszym zdaniu: „Tak, tak, to ja, wróciłem", to dla mnie znaczy coś więcej. Gdy zobaczyłem, że to jest pierwsze zdanie sztuki, pomyślałem, że to nie może być przypadek.

Tomasz Miłkowski

MARIUSZ SZCZYGIEŁ Z NAGRODĄ IM. KAROLINY BEYLIN

Już po raz czwarty Oddział Warszawski SDRP przyznał Nagrodę im. Karoliny Beylin dla stołecznych dziennikarzy za wybitne osiągnięcia zawodowe. Przed czterema laty pierwszą laureatką została Krystyna Gucewicz. W tym roku podczas uroczystości w Domu Dziennikarza nagrodę odebrał znakomity reporter Mariusz Szczygieł.

Dziękując za ten laur, Szczygieł przyznał, że książka Karoliny Beylin o Warszawie była jedną z pierwszych, jakie zapamiętał z dzieciństwa. Wspomniał też o początkach swojej drogi dziennikarskiej, kiedy jeszcze jako uczeń brał udział w konkursie młodych talentów i napisał reportaż z Bazaru Różyckiego. „Muszę powiedzieć – dodał – że teraz ta nagroda trafia na warszawiaka, bo od 16 lat, od kiedy powstało w Warszawie Wrzenie Świata, miejsce spotkań reporterów, nie czuję się już słoikiem, nie warszawiakiem przyjezdnym, tylko naprawdę kimś, kto jest zakochany w swoim mieście".

Krótkie dzieje nagrody przypomniał jej pomysłodawca, przewodniczący Oddziału Warszawskiego Tomasz Miłkowski, a laureatka drugiej edycji Teresa Drozda wygłosiła błyskotliwą laudację, w której zwróciła uwagę na charakterystyczny dla pisarstwa laureata „efekt Szczygła".

Gratulacje Mariuszowi Szczygłowi złożył prezes SDRP Jerzy Domański, wręczając mu w upominku zbiór publikowanych w tygodniku „Przegląd" felietonów Krzysztofa Teodora Toeplitza „Dlaczego boli myślenie". *(tm)*

Mariusz Szczygieł odebrał Nagrodę im. Karoliny Beylin z rąk Tomasza Miłkowskiego.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, MAGDA HUECKEL, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7d57c361f1

MIĘDZY OKŁADKAMI

Grzegorz Piątek
Świątynia i śmietnik
Architektura dla życia
W.A.B., Warszawa 2025

Tytułowe przeciwstawienie to altany, jak najbardziej rzeczywiste. Pierwsza, stylizowany na starożytność pawilon ogrodowy, znajduje się w Łazienkach i ma funkcję głównie zdobniczą. Druga, na Muranowie, wykorzystywana jest na okrągło. I jak na swoje przeznaczenie całkiem dobrze pomyślana. Stanowi zarazem przykład „architektury cienia" – „pomaga obsłużyć codzienność", ale prestiżu nie przynosi i tak jak toalety publiczne zalicza się do miejsc wstydliwych. Podobnie zestawia autor postacie dwojga architektów: Haliny Skibniewskiej, troszczącej się o użytkowników jej projektów, np. osiedla Sady Żoliborskie, i Juliusza Żurawskiego, słynącego w międzywojniu z luksusowych kamienic, robiących wrażenie, lecz mało wygodnych. Piątek, pisząc ze swadą i humorem, podkreśla, ile rzetelnego, wieloaspektowego namysłu wymaga projektowanie tych nieprestiżowych obiektów: miejskich toalet czy przedszkoli, albo likwidacja barier architektonicznych w zabytkowych budynkach. Oto naprawdę lektura obowiązkowa, dla każdego.

Aleksandra Pańko

Maggie Haberman
Iluzjonista
Jak Donald Trump zmienił Amerykę
tłum. Zofia Anuszkiewicz, Paweł Dembowski, Agnieszka Matkowska
Port, Warszawa 2025

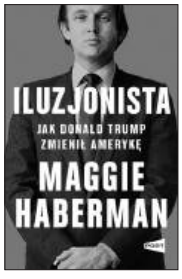

Wnikliwy portret człowieka, który od lat nie przestaje dzielić i fascynować Ameryki. Autorka, doświadczona dziennikarka polityczna, ukazuje Trumpa jako figurę pełną sprzeczności: pewnego siebie i jednocześnie głęboko niepewnego, zdolnego do gestów życzliwości, ale jeszcze częściej kierującego się cynizmem i żądzą odwetu. Haberman kreśli obraz polityka wyrastającego z popkultury, dzięki talentowi do autokreacji i nieustannej manipulacji wykorzystującego celebrycki status, by wstrząsnąć dotychczasowym porządkiem. W końcu wydana po polsku książka pokazuje Trumpa jako mistrza iluzji, człowieka, który kłamstwo traktuje jako narzędzie pracy, a chaos jako środowisko naturalne. Jednocześnie to opowieść o Ameryce, która pozwoliła takiej postaci wspiąć się na sam szczyt.

Rafał Pikuła

KURTYNA W GÓRĘ

Dzieci z Bullerbyn

Astrid Lindgren, „Dzieci z Bullerbyn", tłumaczenie Irena Szuch-Wyszomirska, reżyseria, adaptacja, teksty piosenek Sławomir Narloch, Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, premiera 18 października 2025

Na pewno czytałem tę książkę, zachowałem nawet w domowym księgozbiorze, ale nie zostawiła w mojej pamięci głębokich śladów. Dzięki temu mogłem świeżym okiem, bez obciążeń zanurzać się w świecie Astrid Lindgren, przetworzonym przez Sławomira Narlocha wraz z aktorami Teatru Siemaszkowej.

Na scenie pojawiają się mieszkańcy wioseczki, w której upływa niemal beztroskie dzieciństwo bohaterów. Życie toczy się tu zgodnie z rytmem natury, nie ma wielkich wydarzeń, ale wszystko staje się przygodą: zabawa z psem (brawurowa postać zwierzaka w wykonaniu Mateusza Marczydły), nocleg w stogu siana, wyprawa po zakupy do pobliskiej wioski czy odkrycie, że kogut Albert jest kurą Albertyną (świetna rola charakterystyczna Roberta Chodura). Całość okraszają sympatyczne piosenki, poetycka wyobraźnia i dobre uczucia. Aż dziw bierze, że to możliwe w dzisiejszym świecie, w zalewie historii o przemocy i nieszczęściu. Pewnie potrzebny jest taki bezpieczny, z czułością wykreowany azyl. Reżyser nie sili się na nowoczesność, snuje spokojną opowieść i osiąga porozumienie z młodą widownią, a to przecież jest decydujące.

Tomasz Miłkowski

SERIAL

Landman. Negocjator,
sezon 2, twórca Taylor Sheridan, SkyShowtime

Powraca kolejny hit Taylora Sheridana, twórcy nagradzanego „Yellowstone". W zeszłym roku „Landman" został entuzjastycznie przyjęty zarówno przez krytyków, jak i widzów. Na ekranie raz jeszcze zobaczymy Billy'ego Boba Thorntona, tytułowego „landmana", czyli faceta od zadań specjalnych. Jego bohater, Tommy Norris, zajmuje się pozyskiwaniem ziem pod nowe odwierty. Do tego dba, aby na miejscu wszystko dobrze działało, a pracownicy jego szefa (Jon Hamm) nie napotykali żadnych trudności. Tommy musi sprzątać bałagan po swoich pracownikach, a czeka na niego jeszcze wiele problemów we własnym domu. Drugi sezon oferuje nam to samo co pierwszy, tylko intensywniej i sugestywniej. „Landman" to szalone połączenie „Dynastii" z „Sukcesją" i wszechobecnym amerykańskim szowinizmem, rzutującym na dialogi oraz niektóre decyzje postaci. Sheridan ukazuje w serialu niekonwencjonalne relacje męsko-damskie, w których liczą się władza, siła i seks. Od tej produkcji trudno się oderwać.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. WIKTORIA CIEŚLA, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 7d57c361f1

Oko w oko

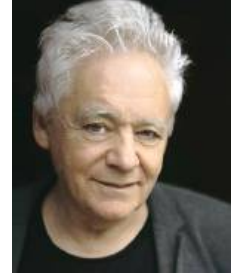

Tomasz Jastrun

Buczenie elity

Najnowsze prognozy wskazują, że do 2060 r. populacja w Polsce skurczy się aż o 6,6 mln osób. Ja tego nie dożyję, za to przysłużę się zjawisku narodu swoim zniknięciem. Jest bardzo mała szansa, że przyrost w Polsce gwałtownie się zwiększy. Po prostu staliśmy się bogatsi i chcemy korzystać z życia. Jest tylko jedno wyjście. Trzeba przyjąć miliony ludzi z innych krajów, czasami odległych, bo tam jest wysoki przyrost naturalny. Ale prawica szczuje na imigrantów i straszy nimi: roznoszą zarazki, gwałcą polskie kobiety i mordują. Nie chcemy imigrantów, więc się skurczymy.

Nasze ciemniaki straszą też Unią. I wielu z nas straciło z oczu fakt, jaki to niezwykły projekt, pierwszy na taką skalę w świecie. W ramach demokracji na równych prawach jednoczą się wolne państwa, które do niedawna toczyły potworne wojny. A Polska, ofiara historii, jest w tej Unii. I ma w niej mocną pozycję. Aby Unia działała, musi być wspólnota uregulowań prawnych w duchu liberalnym. Duch naszych czasów jest liberalny, a to właśnie dla prawicy jest „lewactwo".

Polska, ofiara historii, jest w Unii. I ma w niej mocną pozycję.

Prawica uważa, że to projekt kolonialny: duże, stare państwa, szczególnie Niemcy, chcą zdominować i wykorzystać małe. Jedyna zaleta Unii, że można z niej wyciskać pieniądze, jak już wszystko się wyciśnie, należy brać nogi za pas. Byle się nie pomylić i nie iść ani na wschód, ani na zachód, bo tam tylko wrogowie. Właściwie to nie ma dokąd iść, najlepiej stać w miejscu i gotować polskość w wielkim kotle. Unia Europejska jest dla prawicy ciałem obcym, zagrażającym polskiej podmiotowości. Zabiorą nam duszę, zabiorą tożsamość, stracimy skrzydła ułańskie, Mickiewicza i Kościuszkę, a nawet żurek.

•

Mój synek zainstalował mi w telefonie aplikację BookBeat, mogę w niej wyszukiwać książki i ich słuchać. Niewiele nagrano klasyki, tylko niektóre nowości, ale tego i tak jest bardzo dużo, więc można sobie pohulać. I od razu uzależniłem się od słuchania książek. To znakomita metoda wypełniania twórczo pustego czasu, choćby w czasie jak się jedzie autobusem albo gdy nie można zasnąć i wtedy fruną do głowy książki. Odkryłem, że słuchając, „czytam" dokładniej. Mając problem ze skupieniem, papierowe książki czytam pobieżnie. Ważne, by aktor dobrze czytał, a nie zawsze dobry aktor dobrze czyta, czasami drugorzędni czytają pierwszorzędnie. Kiepski lektor zarzyna książkę.

Zbliżamy się jednak do chwili, gdy książki będzie czytać sztuczna inteligencja. Już czyta. Trochę sztucznie, ale nieźle. Następny krok to pisanie przez AI poezji i prozy. Już pisze, na razie średnio, ale to zaledwie nieśmiałe początki, w końcu jako ściągawkę AI będzie miała całą wielką literaturę światową. Przy okazji zabierze pracę fotografom. Robił mi niedawno portret świetny fotograf, mówi: to już moje ostatnie lata, AI mnie wygryzie. Malarstwo, muzyka już są tworzone przez AI. Nie wybitnie, ale do wybitności kilka kroków. A jesteśmy zaledwie na początku drogi.

•

Wybuczano prezydenta z małżonką na wielkiej gali 200-lecia Teatru Wielkiego-Opery Narodowej. Buczano, bo inteligencja nie potrafi gwizdać. Prawica trzęsie się z oburzenia. Na Facebooku tysiące komentarzy. Ktoś pisze zupełnie poważnie, że prawdziwa elita jest teraz na stadionach, a nie w teatrze. Wyobrażam sobie teatr po brzegi wypełniony kibolami z transparentami: „Jebać elitę". Przeważa w tych komentarzach pogląd, że już nie mamy elit albo mamy skażone tak bardzo, że nie da się ich uleczyć ani na dobre przerobić. Trzeba więc stworzyć nową. Tylko jak? Przecież Jarosław Polskę Zbaw tak usilnie starał się stworzyć nową elitę. I klops. Nie mają właściwie nikogo wybitnego z kręgów artystycznych czy intelektualnych. Lektura tysięcy wpisów potępiających złowrogie buczenie elity jest pouczająca.

•

Tak zwany śledzik u Ewy. Był Aleksander Kwaśniewski z zawsze miłą i serdeczną żoną. Mówiłem mu, że wśród polskich polityków wyróżnia go to, że nie ma wzdęć godnościowych, a to polska przypadłość. Była Krystyna Kaszuba, twórczyni „Twojego Stylu", gdzie przez lata pracowałem i publikowałem nieprzyzwoity felieton, którym podpadłem środowisku literackiemu. Wtedy miałem wrażenie, że Pani Krystyna, jakże kompetentna, obdarzona niezwykłą intuicją, ma jednak trudny charakter, teraz w innej roli jest bardzo miła. Joanna Solska z „Polityki", świetna dziennikarka ekonomiczna, przypomina mi, że byliśmy na jednym roku na polonistyce – oczywiście jej nie pamiętam, bo ja nic nie pamiętam. Idę przez życie bez pamięci, nic dziwnego, że tak często błądzę. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7d57c361f1

PLANETA SYBERIA

Bestseller, który doczekał się VIII wydania, inspiruje dwa pokolenia polskich podróżników

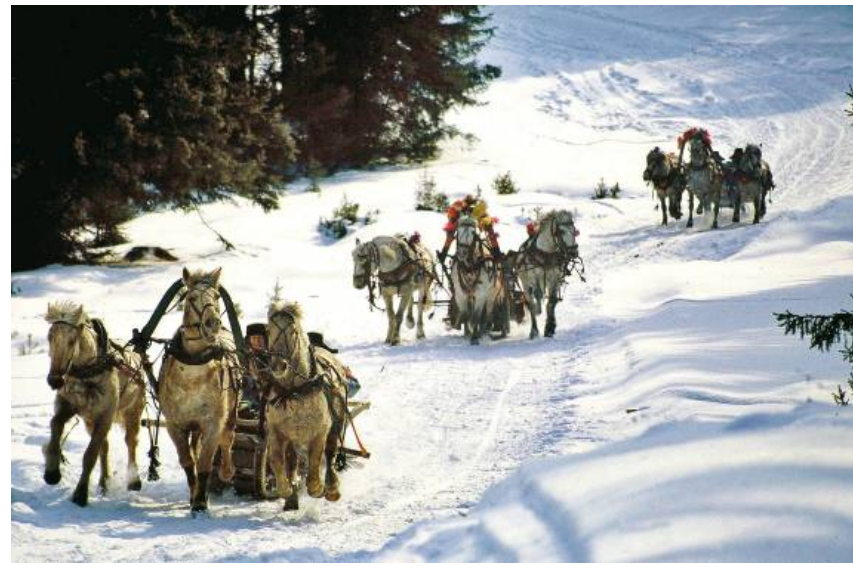

Jacek Pałkiewicz

Syberia od zawsze pobudzała moją wyobraźnię londonowskim duchem przygody. Dziś już bym nie zliczył, ile tysięcy kilometrów przemierzyłem w ciągu niemal tysiąca dni – bo tyle ich się nazbierało przez 30 lat – samolotami, terenowymi łazikami, przedpotopowym kukuruźnikiem lądującym w dowolnym terenie, śmigłowcami, końmi, łodziami motorowymi czy kamazami po zamarzniętych rzekach dalekiej Północy. Docierałem do miejsc, do których nawet rosyjscy dziennikarze mieli utrudniony wstęp.

Na Wyspach Kurylskich podziwiałem lasy subtropikalne, a dalej na północ, na Wyspach Komandorskich, jadłem największe kraby i czerwony kawior w nieprzyzwoitych ilościach, bo nic innego nie było w miejscowej stołówce. Kamczatka uwiodła mnie wiecznie ośnieżonymi stożkami wulkanów, z których buchają pióropusze popiołu. Dantejskie piekło istnieje w unikatowej Dolinie Gejzerów, gdzie tytaniczne siły wyzwalają z wnętrza planety fumarole i błotniste kipiele. W Pietropawłowsku Kamczackim dobiłem się zgody gubernatora na zawieszenie tablicy pamiątkowej Benedykta Dybowskiego, zesłańca politycznego, wybitnego badacza Syberii. W 1994 r. kierowałem za Uralem międzynarodową misją ekologiczną kosmonautów.

Niejednokrotnie byłem nad Bajkałem: bezludzie, dzika przyroda, opuszczone, stare wsie i najbardziej malownicze tereny Syberii. Wyjątkowe wspomnienia mam z tajgi w masywie Sichote-Aliń w Kraju Ussuryjskim. To stąd pochodził Dersu Uzała, fascynujący „człowiek natury" z plemienia Goldów, bohater oscarowego filmu Akiry Kurosawy. Poznałem ostatniego Golda, sobowtóra Dersu, żywego bohatera z porywającej książki. Towarzyszyłem mu nawet na polowaniu. Na Czukotce zaś widziałem spektakularne zjawisko zorzy polarnej.

W moich wędrówkach po Syberii nie mogło zabraknąć Kolei Transsyberyjskiej, najdłuższej na świecie, przekraczającej osiem stref czasowych. Bywałem w Irkucku, archipelagu polskości, który zachował swoisty styl i przede wszystkim wyjątkową architekturę.

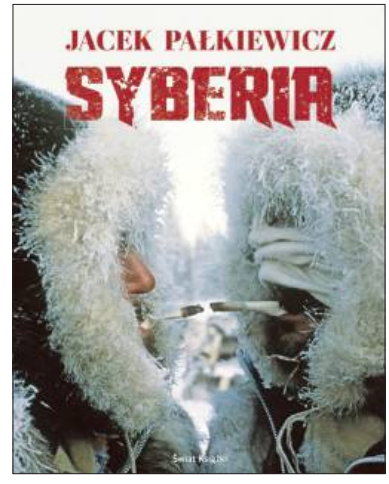

Syberia to także różnorodność przyrody. Od bezgranicznej tajgi po stale pokryte śniegiem pasma górskie, od skąpej w roślinność podmokłej tundry po niziny będące królestwem rzek i jezior. Nęcił mnie niedostępny Ojmiakon, biegun zimna w Jakucji, gdzie swego czasu zanotowano najniższą temperaturę na świecie, w miejscu stale zamieszkanym przez człowieka. W takich też skrajnie surowych i niegościnnych środowiskach uczyłem herosów kosmosu strategii przetrwania.

Na ciężko doświadczonej przez historię ziemi żyją zarówno rdzenni, jak i „przyszywani" współcześni Sybiracy, którzy zachowali pionierskiego ducha. Wśród nich jest rzesza ludzi dumnych z polskich korzeni. Polacy nie tylko przyczynili się do oswojenia rozległych dziewiczych zauralskich terytoriów, ale także mieli zasługi na polu badawczym. Ich imionami nazwano pasma górskie, szczyty, przełęcze, doliny i miasta.

Książka ukazuje pełny obraz tego fenomenu. Jej atutami są atrakcyjna szata graficzna, obrazy z życia wspaniałych ludzi i praktyczne porady pozwalające łatwiej przeżyć zimno.

Jacek Pałkiewicz, *Syberia*, Świat Książki, Warszawa 2023, 600 stron, 400 zdjęć kolorowych

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

eprasa.pl 7d57c361f1

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Życie do końca

Przeczytałem z niejakim opóźnieniem nową powieść Zyty Rudzkiej „Tylko durnie żyją do końca”, w której potwierdza swoją klasę, jawiąc się mistrzynią ciętych ripost, gier słownych, zdań krótkich, a tak esencjonalnych, że każde wyrwane z kontekstu mogłoby funkcjonować osobno jako aforyzm. Podoba mi się w tej książce także bezczelna, przaśna afirmacja życia. Tym razem nie ma tu żadnej wypartej krzywdy, psychomachii rodzinnej, jest za to czysta, błogosławiona egzystencja uchodźczyni z miasta – między nagimi kąpielami w rzece i zalewaniem się pigwówką pędzoną przez jednego z dwóch stałych partnerów. Jedyne, z czym mam w tej powieści kłopot, to tytuł. Na odczytany wprost zgodzić się żadną miarą nie mogę.

Właśnie na wieczne odpoczywanie udała się moja przyrodnia siostra Grażyna. Żyła do końca. Dostała trzy lata w bonusie, lekarze mówili, że ma „nadżyte” około tysiąca dni, rzadko aż tak się mylą w ferowanych wyrokach. Nie chciała przenosin do hospicjum, nie godziła się na warunki dyktowane przez raka, miała swoje rytualne podróże na zakupy, na które musiała wydawać dwukrotnie więcej pieniędzy, bo mieszkająca po sąsiedzku córka zerwała z nią kontakt, siostra jeździła zatem po pieluchy, leki i prowiant taksówkami. Paliła jak smok, nawet kiedy dożywała swoich ostatnich dni w szpitalu i zdawało się, że nie ma już z nią kontaktu, potrafiła zebrać siły, aby zaprotestować, kiedy pielęgniarki chciały jej zabrać paczkę fajek – miała je na szafce, nie mogła już zapalić, ale patrzyła sobie na nie, jakby w ten sposób próbowała zmobilizować wycieńczony organizm do tego, by jeszcze raz się ogarnął, żeby można ją było chociaż na wózku wywieźć przed szpital na kilka sztachnięć.

Nie obnosiła się z „walką z chorobą”, jak to się czyni w dyskursie zdrowych, ona ją ignorowała – jeśli walką można nazwać zdyscyplinowane chodzenie na chemię paliatywną, których to sesji miała bodaj z 70. Owszem, poddawała się trującym kroplówkom zadowolona, że rak też obrywa, ale w tym nie było heroizmu, nie używała języka militarnego patosu, nie chciała dać rakowi tej satysfakcji, aby uznać go za godnego rywala bitwy o życie. Jeszcze tydzień przed śmiercią odebrała mój telefon w sklepie, tłumacząc, że oddzwoni po powrocie do domu, ale tych zakupów już nie zdążyła rozpakować. Choroba przypuściła ostatni atak na zrujnowane ciało, lekarze jeszcze próbowali walczyć, operowali ją dwukrotnie w ciągu kilku dni, bo pierwsza stomia nie zadziałała, martwica jelita postępowała, doszło do przetoki, potem chcieli jeszcze założyć nefrostomię, ale z tego zabiegu już ją odesłano, wiedząc, że go nie przetrwa.

Jeszcze kilka dni przed zgonem była w stanie ze mną żartować; kilkadziesiąt godzin przed końcem, kiedy widziałem ją po raz ostatni, dwukrotnie wyszeptała tylko „Strasznie. Strasznie”, jak Kurtz w kongijskim sercu ciemności. Umiera się strasznie. Strasznie się na łożu śmierci człowiek dziwi, że życie, choćby i to najdłuższe, było takie króciutkie. Strasznie jest, kiedy widać już tunel bez żadnego światła na końcu.

Bywało, że strasznie jej się wiodło, zaznała biedy, wychowywana przez dziadków, którzy czasem palili w piecu suchym chlebem, kiedy zabrakło węgla. Za łazienkę wystarczało wiadro z popiołem i miska za zasłonką. Dzieciństwo spędziła w tramwajach – mama dawała piątkę na „jedź do babci” z Chorzowa do Nowego Bytomia, babcia dawała piątkę na „wracaj do mamy”, która w tym czasie zdążyła podjąć kochanka. Szwagier matki, rębacz z kopalni Wirek, potępiał takie „podciepywanie bajtla”, więc Grażyna jeździła tam tylko wtedy, gdy odsypiał nocne szychty; kiedy jednak zdarzało mu się nie spać w ciągu dnia, cioteczka chowała moją małą siostrzyczkę pod stołem – stamtąd właśnie dziecko po raz pierwszy zobaczyło męskie przyrodzenie, kiedy nieświadom niczego wujaszek poprawiał sobie klejnoty w gaciach. Podrzucana w dzieciństwie, w dorosłym życiu też szczęścia nie miała – mąż odszedł do koleżanki swojej córki, po latach i córka się od niej odcięła.

„To był dobry rocznik dla bimbru i dobry rok dla śmierci, przychodziła do wsi często, nie wybrzydza”, pisze Rudzka pod koniec swojej powieści. U mnie w rodzinie sezon na umieranie trwa – w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zmarła moja matka, jej brat, siostra ojca i teraz moja siostra. Są rodziny, w których śmierć jest mniej łakoma, przychodzi w kilkuletnich odstępach, aby dać szansę na przeżycie żałoby, u mnie doszło do pokoleniowej kumulacji. Strasznie, strasznie. ■

Naszemu współpracownikowi

Wojciechowi Kuczokowi

składamy serdeczne wyrazy współczucia po śmierci

SIOSTRY

zespół „Przeglądu”

eprasa.pl 7d57c361f1

Ekipa „Przeglądu" na targach

PRZEGLĄD na Targach Książki Historycznej

Fot. Krzysztof Żuczkowski

Robert Walenciak

Piotr Ciszewski,
autor „Robotniczej Warszawy"

eprasa.pl 7d57c361f1

Dr Hanna Machińska, Rafał Skąpski i Jerzy Domański

Wiesław Uchański

Książki PRZEGLĄDU są dostępne na: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Jan Rodzeń, szef Klubu Księgarza, i Paweł Dybicz

eprasa.pl 7d57c361f1

Depresja rodzaju męskiego

Dla wielu mężczyzn powiedzenie: **„Mam depresję”** to jak przyznanie się do porażki

Rozmawia Dawid Krawczyk

Od lewej: dr Robert Kowalczyk, dr Piotr Paweł Świniarski i Dawid Krawczyk.

Dr n. med. ROBERT KOWALCZYK
– seksuolog i psychoterapeuta

Dr n. med. PIOTR PAWEŁ ŚWINIARSKI
– urolog, androlog i lekarz medycyny seksualnej

Znalazłem statystyki, które naprawdę mnie poruszyły. W 2024 r. w Polsce życie odebrało sobie 4845 osób – aż 4088 z nich to mężczyźni (dane Komendy Głównej Policji). Z kolei dane NFZ pokazują, że w 2023 r. zaburzenia depresyjne nawracające zdiagnozowano u 91 tys. osób, z czego ponad 77% stanowiły kobiety. Jak to rozumiecie? Kobiety chorują na depresję, ale to mężczyźni odbierają sobie życie?

Dr Robert Kowalczyk: Myślę, że ten rozdźwięk bierze się przede wszystkim stąd, że wielu mężczyzn przeżywa depresję, ale jej nie diagnozuje u specjalisty. A to z kolei wynika głównie z faktu, że mężczyźni rzadziej mówią o swoich emocjach. Często sami przed sobą ukrywają, że coś jest nie tak. Rzadziej też chodzą do lekarza, więc depresja po prostu nie zostaje rozpoznana. A przecież brak diagnozy nie oznacza, że problemu nie ma.

Druga sprawa, mężczyźni rzadziej niż kobiety poszukają w tym obszarze pomocy. Nie dzielą się problemami ani z bliskimi, ani ze specjalistami. Bo przecież mają być twardzi, radzić sobie sami. Trzecia rzecz to kwestia tego, jak mężczyźni przeżywają depresję. Mężczyzna rzadko powie: „Jest mi smutno”. Zamiast tego pojawia się drażliwość, złość, ucieczka w alkohol, uzależnienia, ryzyko. Zachowania, które maskują prawdziwe emocje.

Gdybyśmy spróbowali wyobrazić sobie osobę w depresji, pewnie zobaczylibyśmy kogoś skulonego pod kocem. A nie faceta, który pędzi autem 200 na godzinę.

RK: W mediach depresja rzeczywiście przedstawiana jest jako bierność, smutek, zamknięcie w sobie. Ale ten obraz to tylko część prawdy, bo u niektórych osób, częściej właśnie mężczyzn, pojawia się wzrost skłonności do zachowań ryzykownych. Takie, o których słucham w gabinecie, to m.in. właśnie szybka jazda samochodem, ale też sięganie po alkohol czy substancje psychoaktywne.

Ale dla mnie najciekawsze jest to, jak depresja zawęża świat. To nawet nie jest metafora, tylko całkiem dosłownie rzeczywistość osoby w depresji zaczyna się kurczyć. Znajomi się wykruszają, świat wartości ograniczony zostaje do jednej idei, jednego rozwiązania. A tym rozwiązaniem w najtrudniejszych momentach może wydawać się śmierć jako jedyny sposób na rzekome odzyskanie kontroli. Bo to jest właśnie dramat śmiertelnej choroby, jaką jest depresja: człowiek zaczyna wierzyć, że jedyną decyzją, jaką jeszcze może

FOT. MINISTERSTWO PORTRETU/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7d57c361f1

podjąć, jest decyzja o własnym życiu i śmierci.

Dr. Piotr Paweł Świniarski: Często obserwujemy też objawy somatyczne: bóle głowy, kręgosłupa, chroniczne zmęczenie. Wtedy pacjent krąży od specjalisty do specjalisty, szukając fizycznego wyjaśnienia. Dobrze, jeśli w końcu trafi na lekarza, który powie: „A może warto też przyjrzeć się temu od strony psychicznej?". A to nie jest takie oczywiste, bo gdy bolą plecy, szukamy neurologa czy rehabilitanta, nie psychologa.

Depresja to nie lenistwo ani słabość charakteru, lecz choroba.

Rozumiem, że jak się uderzę w rękę, boli mnie ręka. Ale że jest mi smutno i z tego powodu bolą mnie plecy?

PPŚ: Przypomnij sobie sytuację, kiedy miałeś przed sobą ważny egzamin albo stresującą rozmowę. Pociły ci się dłonie? Czułeś ścisk w żołądku albo ból głowy z napięcia? No właśnie, czyli doświadczyłeś fizycznych objawów emocji. Właśnie to nazywamy somatyzacją.

RK: Za różnymi bólami i fizycznym dyskomfortem związanym z depresją stoją dwa mechanizmy. Pierwszy jest czysto biologiczny – w depresji zmienia się działanie neuroprzekaźników, takich jak serotonina czy noradrenalina, a to może wpływać na odczuwanie bólu czy ogólne zaburzenia czucia. Drugi to mechanizm psychologiczny. Kiedy nie potrafimy wyrazić emocji, ciało robi to za nas. Ból może być formą komunikatu, zastępczym językiem emocji, których nie dopuszczamy do siebie.

Czyli ktoś może mieć np. wysypkę na plecach i ona też może mieć związek z depresją?

RK: Właśnie tak. Skóra reaguje na stres i napięcie. Nie każda wysypka czy ból pleców to dolegliwości psychogenne, ale w niektórych przypadkach, szczególnie przy braku innej przyczyny, warto rozważyć związek z przewlekłym stresem lub depresją. W seksuologii mamy mnóstwo takich przykładów. Pacjent przychodzi i mówi: „Nie mam erekcji, coś się dzieje z moim ciałem". A my zaczynamy rozmawiać i okazuje się, że to nie jakiś radykalny spadek testosteronu, tylko przewlekłe napięcie, stres, lęk.

Ale jest jeszcze coś, co wynika często z naszego wychowania. W wielu rodzinach, nie tylko w Polsce, ból fizyczny jest bardziej akceptowalny niż ból psychiczny. Jak powiesz, że boli cię noga, ludzie się zatroszczą. Jak powiesz, że masz depresję, usłyszysz, że wymyślasz. Mimo licznych kampanii społecznych dotyczących zaburzeń nastroju zmiana w tym zakresie zachodzi niezwykle wolno.

Jeśli ktoś w rodzinie stale funkcjonował wokół swoich dolegliwości, takich jak migreny czy ból kręgosłupa, całe życie rodzinne mogło się toczyć wokół tej jednej osoby. Takie wzorce lubią się utrwalać. Ból somatyczny staje się językiem cierpienia. Czasem jedynym, na który otoczenie naprawdę reaguje.

Czy męska depresja różni się czymś od kobiecej? Przecież to jedna i ta sama jednostka chorobowa.

PPŚ: Z punktu widzenia medycyny depresja to konkretna diagnoza, wspólna dla wszystkich. Ale objawy mogą wyglądać zupełnie inaczej u mężczyzn i kobiet. Inaczej socjalizuje się chłopców, a inaczej dziewczynki, dlatego później mamy inny stosunek do emocji, inny sposób przeżywania trudnych stanów. W gabinecie widzę bogaty repertuar ucieczek, np. w alkohol czy sport, ale również w obsesyjne pasje, które z zewnątrz mogą wyglądać jak zaangażowanie, ale w rzeczywistości są próbą ucieczki od siebie. Czasem to będzie hipochondria, nadmierne skupienie na ciele, przekonanie, że „coś jest nie tak" mimo braku obiektywnych powodów.

Jak się zorientować, że coś się dzieje, jeszcze zanim depresja rozłoży nas na łopatki?

PPŚ: Przede wszystkim warto słuchać otoczenia. Czasem to właśnie bliscy, znajomi, partnerka lub partner, rodzina zauważą pierwsze zmiany. Poza tym nie ignorować tego, co mówi lekarz pierwszego kontaktu, internista, androlog czy psycholog. To są osoby, które patrzą z dystansu i potrafią dostrzec coś, co samemu trudno zauważyć.

A ty po czym poznajesz, że źródłem problemów pacjenta może być depresja?

PPŚ: Ocena stanu zdrowia pacjenta nie zaczyna się dla mnie w momencie, kiedy siada naprzeciwko mnie i odpowiada na pytanie, co go sprowadza. Gdy tylko wchodzi do gabinetu, zwracam uwagę na to, jak się porusza, jak mówi, czy patrzy mi w oczy, czy raczej w podłogę. Jak siedzi, co robi jego ciało. Każdy z tych elementów coś komunikuje o jego stanie psychicznym. Jedną z rzeczy, które często zalecam pacjentom mierzącym się z zaburzeniami erekcji, jest konsultacja psychoseksualna – u psychiatry albo psychologa seksuologa. Podkreślam, że chodzi o wykluczenie depresji. Ale mówię też o stanach subdepresyjnych, stanach obniżonego nastroju, żeby nie przerazić kogoś samym słowem „depresja".

Mężczyźni, którzy przychodzą z oporem wobec terapii, często noszą w sobie ogromny wstyd.

Dla wielu mężczyzn powiedzenie: „Mam depresję" to jak przyznanie się do porażki. A przecież depresja to nie porażka, tylko choroba. Podczas rozmowy przyglądam się też innym rzeczom, m.in. czy mężczyzna ma w swoim życiu przestrzeń na wyrażenie emocji, czy ma hobby, pasję, uprawia sport.

I jak reagują, kiedy sugerujesz, że to może być depresja?

PPŚ: Różnie. Niektórzy się buntują, inni się zamykają. Dlatego mówię im to raczej spokojnie: „Chcemy tylko wykluczyć, że nie dzieje się nic poważnego". I zachęcam

eprasa.pl 7d57c361f1

do konsultacji ze specjalistą, który może lepiej zdiagnozować to, co ja wyczuwam w tych pierwszych minutach rozmowy. Czasem to są faceci, którzy obsesyjnie pracują, wszystko kontrolują, mają perfekcyjny styl życia, a przy tym wszystkim zerowe libido. Wtedy tłumaczę: libido to nie jest oddzielony od reszty organizm, to czuły papierek lakmusowy twojego stanu psychicznego i fizycznego.

Ale jeśli mężczyzna, który przechodzi depresję, nie chce gadać o uczuciach, nie wierzy w medytację, psychoterapię i nie chodzi do lekarzy, to co wtedy? Co mu zostaje?

RK: Nie każdy musi od razu kłaść się na kozetce i rozmawiać o dzieciństwie. Można zacząć gdzie indziej. Od obserwacji własnych zachowań. Od prostych rzeczy. Jak wygląda mój dzień? Czy mam jakikolwiek rytm? Czy śpię? Czy jem? Czy ruszam się z domu? Są metody, które nie wymagają „wiary" w terapię. Na marginesie, to trochę zżymam się, kiedy słyszę o „wierze" w terapię, bo nie mówimy o religii, a skuteczność terapii poznawczo-behawioralnej jest potwierdzona naukowo, ale jej powodzenie zależy od zaangażowania pacjenta w proces. Taką metodą jest np. aktywacja behawioralna, po prostu robienie codziennie jednej rzeczy, która sprawia, że czuję się minimalnie lepiej. Może to być spacer. Kontakt z kimś bliskim. Gotowanie. Cokolwiek. Chodzi o działanie, o wytrącenie się z bezruchu. Można też pisać o tym, co się dzieje. Nie muszą to być głębokie analizy. Proste notatki z całego dnia, spisane myśli. Czasem człowiek dopiero na papierze widzi, jak bardzo coś go boli. Depresja karmi się stagnacją. I jeśli na początku nie chcemy rozmawiać o emocjach, to trudno. Ale warto zacząć od działania. Nawet małego. Bo ono naprawdę może coś zmienić.

Depresja karmi się stagnacją. Jeśli nie chcemy mówić o emocjach, warto zacząć od działania.

Zaraz powiesz, że ta obśmiana porada: „Masz depresję? Idź pobiegaj, to ci przejdzie" ma sens.

RK: To prawda, że brzmi niepoważnie, ale jest w niej ziarenko prawdy. Tylko trzeba ją dobrze zrozumieć. Po pierwsze, aktywność fizyczna nie leczy depresji. Nie może być więc traktowana jako zamiennik leczenia psychiatrycznego ani psychoterapii. Ja traktuję ją raczej jako formę profilaktyki i wsparcia, nie jako główne narzędzie terapeutyczne. Kiedy pracowałem na oddziale zamkniętym w szpitalu psychiatrycznym, aktywizacja behawioralna była ważnym elementem wychodzenia pacjenta z najtrudniejszych stanów. Przed wypisem pacjent musiał zacząć się ruszać, uczestniczyć w czymś, odzyskiwać rytm. Ruch nie leczy sam w sobie, ale wspomaga leczenie. I często pozwala utrzymać efekty terapii.

PPŚ: Aktywność fizyczna może być takim haczykiem. Czymś, na

eprasa.pl 7d57c361f1

czym się zawiesisz, kiedy wszystko inne się sypie. Jasne, najpierw trzeba mieć odpowiednie wsparcie: psychologa, psychiatry, farmakoterapię. Ale ta jedna rzecz, że się podnosisz z kanapy i idziesz na spacer, może być pierwszym krokiem, by z tej doliny się wydostać. Nie jest to jakaś czarna magia, tylko realne fizjologiczne zmiany: endorfiny, lepsze dotlenienie, pobudzenie układu nerwowego.

Mieliście pewnie pacjentów, którzy przyszli z bardzo wysoką gardą – kompletnie zamknięci na temat emocji, przekonani, że depresja ich nie dotyczy, że „nie wierzą w takie rzeczy". Co sprawiało, że coś się w nich zmieniało?

RK: Paradoksalnie to często pacjenci, z którymi dobrze się pracuje. Bo przynajmniej nie udają. Mówią wprost: „Nie wierzę, nie mam problemu, to nie dla mnie". Oni nie są w wewnętrznym konflikcie, są jednoznaczni. Wiedzą, czego nie chcą, i to już coś. Z taką deklaracją można pracować. Z tym można wejść w polemikę, podważyć taki sposób myślenia. Trudniej jest z tymi, którzy są pozornie otwarci. Przytakują, kiwają głową, ale pod spodem działa cały zestaw mechanizmów obronnych. Wtedy często stoimy w miejscu, bo nie wiadomo, co pacjent ukrywa za tym murem, z czym się naprawdę mierzy.

A kiedy ktoś zamknięty na pracę terapeutyczną jednak się otwiera?

PPŚ: Wychodzę z założenia, że czasem trzeba powiedzieć coś naprawdę mocno. Czasem nawet brutalnie szczerze. Bez tego niektórych nie da się zatrzymać w tym spiralnym zapadaniu się w sobie. Mam pacjentów, którym wprost mówię: „Jeśli nic pan nie zrobi z tym, jak postrzega pan swoje ciało, będzie pan żył w tej samej pętli przez kolejne dekady. I nie dlatego, że coś jest z panem nie tak, tylko dlatego, że pan sam niczego nie zmienia".

RK: Mężczyźni, którzy przychodzą z oporem wobec terapii, często noszą w sobie ogromny wstyd. Bo jeśli przez całe życie uczono ich, że emocje są słabością, że nie wolno okazywać bólu, to nawet słowo „depresja" brzmi jak akt kapitulacji. Zamiast więc pytać ich od razu, jak się czują, pytam, co ich męczy. Co przeszkadza im w codziennym funkcjonowaniu, gdzie coś przestało działać. To pytania, które nie każą od razu grzebać w emocjach, ale pozwalają mówić o realnym cierpieniu. I krok po kroku pojawia się przestrzeń na zmianę.

Czasem świadomość, że nie jest się w tym samemu, może być pierwszym krokiem na drodze leczenia.

Co może zrobić ktoś bliski, kiedy widzi, że mężczyzna w jego otoczeniu powoli się wycofuje? (...) I cały czas powtarza: „Poradzę sobie sam".

PPŚ: Często mówię pacjentowi wprost: „Skoro uważa pan, że poradzi sobie sam, proszę spróbować". A potem pytam, czy to mu pomogło. Zazwyczaj odpowiedź brzmi: „Nie". I to jest ten moment, żeby zapytać: „To może warto spróbować czegoś innego?". Bo dopóki ktoś powtarza te same działania i oczekuje innych rezultatów, stoi w miejscu. Ja nie narzucam pomocy z zewnątrz, raczej zachęcam, żeby przyjrzeć się, czy dotychczasowe sposoby radzenia sobie w ogóle działają. Jeśli nie, to znak, że warto coś zmienić.

RK: Tak, ale musimy uważać na język. Jeśli mówimy o osobie, która naprawdę cierpi na depresję, a nie ma tylko gorszego dnia, stwierdzenie w stylu: „Weź się w garść" nie tylko nie działa, ale też może zaszkodzić. Depresja to nie lenistwo ani słabość charakteru. To choroba, która zaburza funkcjonowanie całego organizmu od gospodarki hormonalnej przez sen i odporność aż po życie seksualne i relacje z ludźmi. Nieleczona, może prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji, począwszy od chorób sercowo-naczyniowych, skończywszy na śmierci.

Ale chcę też bardzo wyraźnie powiedzieć: depresję da się leczyć i powinno się ją leczyć. Mamy do dyspozycji psychoterapię, leki, zazwyczaj obie te metody się łączy. Jeśli więc widzisz, że ktoś bliski się wycofuje, traci energię, zamyka się w sobie, spróbuj z nim spokojnie porozmawiać. Nie oceniaj, nie krytykuj, nie bagatelizuj. Po prostu powiedz, że widzisz, że coś jest nie tak, że się martwisz i chcesz pomóc. Czasem już sama świadomość, że nie jest się w tym samemu, może być pierwszym krokiem na drodze leczenia.

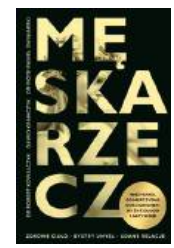

Fragmenty książki dr. Roberta Kowalczyka, Dawida Krawczyka i dr. Piotra Pawła Świniarskiego, *Męska rzecz. Wszystko co mężczyzna musi wiedzieć, by żyć długo i aktywnie*, Znak Literanova, Kraków 2025

Jeśli masz myśli samobójcze, nie zostawaj z tym sam

Telefony wsparcia i kryzysowe

- **Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111**
  Bezpłatna, anonimowa pomoc psychologiczna. Działa 24/7. Możliwość kontaktu online: **116111.pl**
- **Kryzysowy telefon zaufania dla dorosłych 116 123**
  Bezpłatna pomoc psychologiczna. Czynne codziennie w godzinach 14:00–22:00.
- **Antydepresyjny telefon Forum Przeciw Depresji 22 594 91 00**
  We środy i czwartki w godzinach 17:00–19:00. Pomoc dla osób z depresją i ich bliskich.
- **ITA KA** – Antydepresyjny telefon zaufania **22 484 88 01**
- **Wsparcie psychologiczne** – aktualny harmonogram dyżurów znajdziesz na **stopdepresji.pl.**
- Telefon zaufania **„Niebieska Linia" 22 668 70 00**
  Całodobowa pomoc dla osób doświadczających przemocy domowej.

eprasa.pl 7d57c361f1

Jerzy Samusik

DZIĘCIOŁ obrączkuje drzewa

Monogamiczna para co roku wykuwa nową dziuplę, rzadko zasiedla ją po raz drugi

Każdej wiosny słyszymy donośne werblowanie dochodzące ze wschodniego krańca naszego podwórza. Rośnie tam kilka starych sosen, a od pnia jednej z nich odchodzi kawał suchej gałęzi. Upodobał ją sobie dzięcioł duży i od czasu do czasu siada na niej, by walić w nią dziobem krótkimi seriami z szybkością kilkunastu uderzeń na sekundę. Robi to przede wszystkim samiec w okresie godowym, ale może werblować również samica, tylko mniej intensywnie, no i nie w tym samym miejscu. Oboje wyznaczają w ten sposób granice swojego terytorium lęgowego, a jednocześnie nawzajem się wabią.

Kiedy nawiązały już bliski kontakt, zaczęły szukać miejsca na założenie gniazda. Początkowo przymierzały się do budki lęgowej przeznaczonej dla sikorek i poszerzały jej otwór wejściowy, ale chyba doszły do wniosku, że jest ona dla nich za mała, i przeniosły się na obrzeże podwórza, gdzie rosła jedyna osika. Wykuły w niej wspólnie dziuplę na wysokości 7 m i po trzech tygodniach samica przystąpiła do znoszenia jaj.

Dzięcioły duże tworzą pary monogamiczne, ale nie na całe życie. Jesień i zimę spędzają w pojedynkę, w pary zaś łączą się w okresie godowym i może to być połączenie tylko na jeden rok, podczas którego „nie zdradzają się". Dymorfizm płciowy jest niewielki i dotyczy tylko upierzenia głowy – samica nie ma czerwonego pasma na potylicznej części głowy, które posiada samiec. Pisklęta natomiast mają – bez względu na płeć – ciemię pokryte czerwonymi piórkami. Poza tym ubarwienie dorosłych ptaków jest jednakowe u obu płci – czarny wierzch głowy z szaro-brązowym czołem, czarny grzbiet, ogon i skrzydła z dużymi, białymi pasmami na barkach i pięcioma równoległymi rzędami białych plamek ułożonych łukowato w dalszej części skrzydeł. Czarny pasek zaczynający się u nasady dzioba otacza od dołu biały policzek i po połączeniu się z paskiem usznym biegnie po bocznej powierzchni szyi. Na karku wąski czarny pasek łączy czarną potylicę z czarnym grzbietem. Pierś i brzuch są białe, a pokrywy podogonowe żywo czerwone. Dłutowaty dziób ma kolor ciemnoszary, podobnie nogi, których dwa palce skierowane są do przodu i dwa do tyłu. Taki układ palców zaopatrzonych w ostre pazury umożliwia siadanie i wędrowanie po pionowych pniach drzew.

Dzięcioł duży (*Dendrocopos major*), zwany też dzięciołem pstrym większym, nie jest wcale taki duży, jakby wskazywała jego nazwa. Spośród 10 gatunków dzięciołów gniazdujących w Polsce aż cztery są większe od niego. Długość jego ciała to 21-25 cm, a waga 75-95 g. Tymczasem dzięcioł czarny jest dwa razy dłuższy, a wagę ma nawet trzykrotnie większą. Również dzięcioły zielone i zielonosiwe są bardziej masywne oraz dłuższe. Nieco większy jest także dzięcioł białogrzbiety. Za to z pewnością dzięcioł duży jest najliczniejszym dzięciołem w naszym kraju i również w Europie.

Wyróżniono pewne podgatunki dzięcioła dużego. Niektórzy ornitolodzy opisali ich 14, inni aż 30. Różnią się one od siebie niewielkimi zmianami w upierzeniu, rozmiarami i regionem występowania. W Polsce mamy dwa podgatunki: *Dendrocopos major pinetorum* – najwięcej go w zachodniej części kraju oraz *Dendrocopos major major* – gniazdujący głównie na Warmii i Mazurach.

Dzięcioł duży jest ptakiem osiadłym, zamieszkuje głównie lasy bez względu na rodzaj drzewostanu, ale spotkać go można również w parkach, na cmentarzach czy w dużych ogrodach, gdzie rosną stare drzewa. Gniazdo zakłada w dziupli, którą wykują wspólnie samiec i samica przez dwa-trzy tygodnie, na wysokości od 50 cm do 20 m. Musi to być grube,

eprasa.pl 7d57c361f1

zwykle zdrowe drzewo, najwyżej nieco nadwątlone. Dziupla ma otwór o średnicy 4,5-5,5 cm, a do jej wymoszczenia służą wióry powstałe podczas kucia. Monogamiczna para co roku wykuwa nową dziuplę, rzadko zasiedla ją po raz drugi. Niekiedy zdarza się, że gniazduje w zawieszonej na drzewie budce lęgowej.

Samica znosi cztery-sześć białych jaj, o cienkich skorupkach, i wysiaduje je wspólnie z samcem przez 12-13 dni, licząc od zniesienia ostatniego jaja. Po wykluciu się pisklęta przebywają w dziupli 21-25 dni i są wówczas karmione owadami i ich larwami przez oboje rodziców, również przez kilka dni po opuszczeniu gniazda.

Wiosną i latem pokarmem dorosłych dzięciołów są chrząszcze, gąsienice motyli, mrówki, mszyce, owady i ich larwy wyszukiwane pod korą drzew. Wydobycie spod kory ułatwia im długi, owinięty wokół czaszki język, pokryty lepką wydzieliną z gruczołów ślinowych. Niestety, wybierają również jaja i pisklęta z gniazd małych ptaków. Potrafią rozkuć otwór wlotowy do budki lęgowej, żeby się dobrać do znajdujących się w niej piskląt. Są jedynymi drapieżnikami spośród dzięciołów występujących w naszym kraju. Jesienią i zimą wydziobują nasiona ze świerkowych i sosnowych szyszek, wtykanych w szczeliny kory drzew. Miejsca te to tzw. kuźnie dzięcioła, pod którymi leży mnóstwo szyszek z podważonymi łuskami.

Takich miejsc znaleźliśmy kilka w otaczającym nasze podwórze sosnowym lesie. W brzeźniaku rosnącym za stodołą zobaczyliśmy inne skutki poczynań dzięcioła dużego, służących do zdobycia pożywienia, polegających na obrączkowaniu drzew. Dzieje się to wczesną wiosną, kiedy w łyku brzozy zbiera się oskoła bogata w cukry, białka i tłuszcze. Dzięcioły wiedzą o tym i swoimi ostrymi dziobami nakłuwają korę i łyko, z którego wypływa kroplami ten brzozowy sok, a one od razu go spijają. Otwory te wydziobują wokół pnia drzewa, zaczynając od dołu i spiralnie przesuwając się ku górze, pozostawiając charakterystyczne, spiralnie biegnące obrączki.

Dzięcioły duże spędzają zimę w kraju, podobnie jak pozostałe nasze dzięcioły, z wyjątkiem krętogłowa odlatującego późną jesienią do Afryki. Spotkać je wówczas można w ogrodach, gdzie zjadają pozostawione na drzewach owoce. Przylatują też do karmników, żeby posilić się ziarnami słonecznika lub podziobać zawieszony płat słoniny.

Dzięciołek (*Dendrocopos minor*) jest najmniejszym naszym dzięciołem, o wielkości zbliżonej do wróbla. Długość jego ciała to 14-16 cm, rozpiętość skrzydeł 27-30 cm, a waga 20-25 g. Chociaż zamieszkuje cały nasz kraj, jest ptakiem nielicznym. Najłatwiej go zobaczyć w lasach liściastych porastających doliny Odry i Noteci. W pozostałych częściach kraju spotkać go można znacznie rzadziej, a góry zasiedla tylko do wysokości kilkuset metrów n.p.m. Unika zwartych borów, preferuje świetliste dąbrowy, skraje lasów, skupiska wierzb i innych drzew liściastych rosnących nad rzekami lub tworzących aleje, nie unika parków i dużych ogrodów, w których rosną wysokie drzewa.

Dzięcioł duży jest najliczniejszym dzięciołem w naszym kraju i w Europie.

Ma krótki, ostry dziób, nad nim brązowawe czoło. Samiec wyróżnia się czerwoną czapeczką, a samica czarną. Od tej czapeczki biegnie po karku czarna smuga do czarnego grzbietu z białymi, równoległymi prążkami. Boczną powierzchnię białej szyi urozmaica szeroki, czarny wąs. Skrzydła i ogon są – podobnie jak grzbiet – czarne z białymi prążkami. Podgardle i pokrywy podogonowe mają barwę białą, pierś i brzuch zaś – brudnobiałą, ciemno kreskowaną.

Jak wszystkie dzięcioły, dzięciołek jest dziuplakiem, ale dziuple wykuwa w miękkim, próchniejącym lub martwym już drewnie przede wszystkim jesionów, grabów, olch, osik i wierzb. Nie zawsze jest to główny pień drzewa, może być również konar boczny lub nawet grubsza gałąź. Wykuwanie trwające dwa-trzy tygodnie zaczyna samiec w początkach kwietnia, a samica pomaga mu w wykończeniu dziupli. Otwór wejściowy jest idealnie okrągły, o średnicy ok. 32 mm. W takiej dziupli – tylko jeden raz w roku – samiczka znosi pięć-sześć białych jajeczek i wysiaduje je na zmianę z samcem przez 11-13 dni.

Pisklęta przebywają w dziupli trzy tygodnie, karmione przez oboje rodziców. Kilka dni przed opuszczeniem gniazda poczynają popiskiwać ostrym, świergoczącym głosem, zdradzając swoje miejsce. Karmione są jeszcze przez dwa tygodnie po wylocie z dziupli, potem muszą już same szukać sobie pożywienia. Ich pokarmem są mrówki, drobne owady i ich larwy znajdowane w martwym drewnie, na liściach i gałęziach drzew, a zimą wyszukiwane w szczelinach kory i pod nią. W tym czasie odżywiają się też nasionami – chętnie pestkami słonecznika. Wtedy można je zobaczyć, jak korzystają z karmników, ale nie dzieje się to często. Natomiast chętnie przyłączają się do ptaków innych gatunków, np. sikor, zięb, pełzaczy, mysikrólików i z nimi żerują.

Dzięciołki trzymają się tych samych regionów, w których wykuły po raz pierwszy dziuplę, i tworzą pary monogamiczne, ale mniej więcej co dziesiąta samiczka zdradza swojego „małżonka", a i samczyki potrafią mieć na boku drugą partnerkę i razem z nią karmić pisklęta niekoniecznie własne.

Z nastaniem zimy wykuwają sobie dziuple „zimowe", w których nocują. W tym celu zajmują też czasem budki lęgowe. Gdy pojawią się silne mrozy, przenoszą się na nieco cieplejsze tereny, położone kilkaset kilometrów dalej na zachód i południe. Na ich miejsce, tylko na okres zimowy, przylatują dzięciołki z północnego wschodu, ale na wiosnę jedne i drugie wracają na swoje rewiry.

Fragment książki Jerzego Samusika *Opowieści o ptakach z wiejskiego podwórka*, Paśny Buriat, Suwałki 2025

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7d57c361f1

JOLKA

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- Rusowicz z Niebiesko-Czarnych lub aktorka Fijał
- sportowe buty z trzema paskami
- zasądzane po rozwodzie
- wnioskowanie przez nią – na podstawie podobieństwa
- klątwa kościelna, ostre potępienie
- kurtka wkładana przez głowę
- jej ciemne jagody na przetwory
- wyjście piłki za obręb boiska
- krzewy barwnie kwitnące wiosną
- miejsce bezpiecznego pobytu
- Cezary z „Przedwiośnia", syn Seweryna
- żeński obiekt kultu, uwielbiana kobieta
- Klenczon śpiewał: „Sztorm idzie, panie…"
- wieloletnia roślina zielna
- nazwisko autora „Śniadania u Tiffany'ego"
- przyznanej akredytacji lub złożonego pozwu
- internetowa rozmowa
- srebrna moneta czterogroszowa Zygmunta Augusta
- słynny rajd Paryż…
- matka Perseusza
- niedobór w budżecie państwa
- kopalna małpa człekokształtna
- nauka o moralności
- harcerski nóż
- zawodnik z kijem na lodowisku
- dla niej – nie dla korzyści materialnych
- kosaciec
- pierwiastek o symbolu Y
- worek na nie dla przedszkolaka
- w tragedii antycznej poprzedza katastrofę
- potocznie o sukience
- maleńka rozpórka
- przyprawa do kapusty lub chleba
- oświaty, wystawy lub sądowy
- polubienie w internecie
- wisior ze zdjęciem
- wodny kwiat o tarczowatych liściach
- natrętna myśl, zafiksowanie się
- pętelki sieci
- …przyrody w powieści
- autorka „Tajemnicy zielonej pieczęci"
- kosmetyk baza pod makijaż
- jeśli na niego, to dla efektu, pozoru
- Hermes – …bogów
- pedagogiczna lub rodziców w szkole
- „…litewska" Karłowicza
- powtórka na talerzu
- piłkarz Henryk, legenda Wisły Kraków
- święcenia duchowne, zwłaszcza biskupie
- lis go wyłudził od kruka
- podopieczny Nikoli Grbicia
- skóra z włosami jako trofeum
- …Małych Form Filmowych Se-Ma-For
- bez płaszcza, więc jest szermierzem sportowym
- zwierane lub komuś krzyżowane
- szybki taniec neapolitański
- decyzja jury
- nienaoliwiony skrzypi w drzwiach
- element pojazdu łagodzący skutki stłuczki
- przypomina kota, ale dziki i chroniony

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1251". Do rozlosowania książki „Zaklinacz dźwięków" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 grudnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1248" z nr. 47: *Grzeczny ma wytrych do serca.*
Nagrody otrzymują: Magda Cyankiewicz z Będzina, Jerzy Ćwięk z Krakowa, Grażyna Putowska z Lublina.

eprasa.pl 7d57c361f1

Kandydat, który się podoba

Wypomniał nam jeden z czytelników, że piszemy o prof. Janie Stanisławie Ciechanowskim, który jest spoza MSZ i jedzie na stanowisko ambasadora, a pomijamy zawodowych dyplomatów.

OK, napiszmy więc o zawodowcach. Na tej samej komisji, na której prezentowana była osoba prof. Ciechanowskiego, przedstawiany był Marcin Kubiak, kandydat na ambasadora w Kenii. To rzeczywiście zawodowy dyplomata, choć wykształcenie ma nietypowe jak na MSZ, jest bowiem lekarzem, skończył Akademię Medyczną w Warszawie i przez rok pracował w szpitalu. To było dawno, jeszcze w pierwszej połowie lat 90. Potem rozpoczął studia w KSAP, no i jako ksaper trafił do dyplomacji. Tu znalazł sobie miejsce – jako specjalista od Afryki. I zapewniło mu to ciekawą karierę.

Zaczynał w ambasadzie w Nairobi. Potem wrócił do centrali, następnie został wysłany jako ambasador do Zimbabwe, później był ambasadorem w RPA. Wrócił do kraju, był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego. A w lipcu 2015 r. uzyskał nominację na ambasadora w Malezji.

I to jest rzecz interesująca – ponieważ PiS pamiętało mu ministrowanie w rządzie Ewy Kopacz, Witold Waszczykowski z Kuala Lumpur go odwołał, zdecydowanie przed terminem. Ewidentnie chodziło o to, by mu pokazać, że jest w niełasce, po jego powrocie do Warszawy bowiem placówka w Malezji przez wiele miesięcy pozostawała nieobsadzona. I wreszcie wysłano na nią ściągniętego z emerytury 68-letniego Krzysztofa Dębnickiego, byłego ambasadora w Mongolii i Pakistanie, a przede wszystkim orientalistę i dziennikarza.

Co ciekawe w tej sytuacji, Kubiak, dość brutalnie odwołany z placówki – nie obraził się. I co go spotkało? W roku 2020 rekomendowany był przez PiS, osobiście przez Szymona Szynkowskiego vel Sęka, na stanowisko ambasadora w Iraku. To nie była łatwa placówka. Ale Kubiak ten egzamin zdał. Późną jesienią 2024 r. powrócił do Warszawy. I teraz minister Sikorski wysyła go na ambasadora do miejsca, gdzie zaczynał karierę dyplomatyczną, czyli do Nairobi. Kubiak zatem prezentuje standardy zawodowego dyplomaty – każdy minister go docenia.

W tym wszystkim jest jeszcze jedna rzecz zwracająca uwagę – otóż zastąpi on w Kenii Mirosława Gojdzia, który placówkę objął wiosną 2023 r. I słusznie. Bo Gojdź jest przykładem zmonetyzowania politycznej przeszłości. W latach 1981-1989 – czym się chwali – był działaczem konspiracyjnej Solidarności i Solidarności Walczącej. Potem był radnym powiatu lubińskiego i wiceprezydentem Lubina. A w roku 2012 przeszedł do pracy za granicą, został radcą i kierownikiem Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji w ambasadzie RP w Atenach. Potem, od roku 2019, w Nikozji.

„Pan Mirosław Gojdź poprzez udział w walce o niepodległość Polski oraz działalność na rzecz przemian demokratycznych przyczynił się do odzyskania i umacniania suwerenności naszego państwa", opowiadał o nim pisowski wiceminister Paweł Jabłoński, tłumacząc, jeszcze w roku 2022, dlaczego Gojdź powinien zostać ambasadorem.

Słusznie więc zrobił Radosław Sikorski, przerywając to gorszące tournée po synekurach. I zwracając ambasadę w fachowe ręce.

Attaché

Prezydent Francji Emmanuel Macron z żoną Brigitte oraz prezydent Chin Xi Jinping i jego żona Peng Liyuan odwiedzili stanowisko archeologiczne w Dujiangyan, wpisane na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. 5 grudnia 2025 r.

FOT. SARAH MEYSSONNIER/POOL/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7d57c361f1

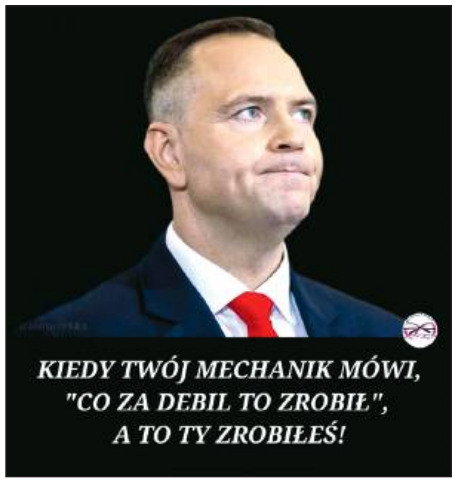

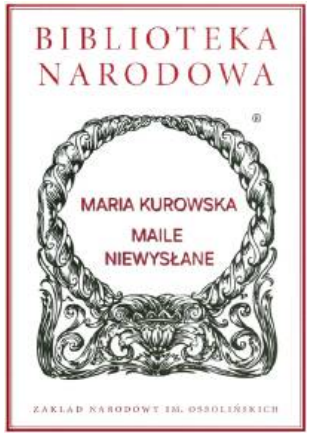

PENETRACJE

Monde diplomatique

BENOÎT BRÉVILLE,
PREZES ZARZĄDU

Unia Europejska jest największym partnerem handlowym Izraela, drugim dostawcą broni i jednym z ulubionych miejsc wypoczynku Izraelczyków. Przywódcy Starego Kontynentu mogli zawiesić zwolnienie Izraelczyków z obowiązku wizowego, nałożyć indywidualne sankcje na większość ich przywódców, ogłosić embargo na sprzęt wojskowy… Mogli również zawiesić umowę o stowarzyszeniu i wolnym handlu, która łączy Unię z Tel Awiwem – środek przewidziany zresztą w jej art. 2 na wypadek naruszenia przez jedną ze stron praw człowieka i zasad demokratycznych. Nie zrobili jednak nic z tych rzeczy. Zamiast tego rządy Francji, Włoch, Grecji i Belgii zezwoliły statkom przewożącym broń dla Izraela na zawijanie do swoich portów. Macron dwukrotnie (w lutym i kwietniu 2025 r.) zezwolił Netanjahu na przelot przez francuską przestrzeń powietrzną pomimo nakazu aresztowania wydanego przez MTK. Europejscy przywódcy są współwinni nie tylko bierności i braku działania. Udzielali oni Tel Awiwowi stałego wsparcia materialnego.

Twój STYL

MAGDALENA ZAWADZKA,
AKTORKA

Gdy Holoubek przyszedł do szpitala pierwszy raz zobaczyć dziecko, usłyszał: „Panie Zawadzki, syn się panu urodził".

Druga zabawna sytuacja wydarzyła się, gdy poszłam zarejestrować Jasia i wpisać dziecko do dowodu osobistego, taki był wtedy przepis. Urzędniczka napisała: „Jan Zawadzki, syn". Złapałam ją za rękę i mówię: przecież to jest mały Holoubek! Przekreśliła i postawiła na tym pieczęć. Mam ten stary dowód do dziś jako pamiątkę tej pomyłki. Te anegdoty, z których śmiał się także mój mąż, kolportował przyjaciel Gustawa, Tadeusz Konwicki.

Tygodnik ANGORA

CEZARY KUCHARSKI,
BYŁY PIŁKARZ, MENEDŻER PIŁKARSKI

Robert poszedł do ówczesnego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego i naskarżył na mnie, że go szantażuję. Tylko nie powiedział prawdy. Byłem z ukrycia nagrywany, a z tych naszych rozmów, setek mejli oni wycięli jedno zdanie, połączyli ze zdaniem wyciętym z innego wątku i złożyli w oskarżenie. Proces toczy się za zamkniętymi drzwiami i nie o wszystkim mogę mówić. Mogę jednak powiedzieć, że Robert, co jest miodem na moje uszy, kłamie w sądzie jak najęty. (…) Dookoła Roberta jest zbyt wiele osób niekompetentnych. Były też różne afery, które chwały mu nie przyniosły – m.in. sprawa fałszywego dyplomu i ogólnopolska dyskusja, czy Lewandowski jest dobrym kapitanem. Fatalnie została rozegrana też afera premiowa. Ona spowodowała wewnętrzne napięcia między piłkarzami reprezentacji Polski i pokazała opinii publicznej, że Robert jest człowiekiem chciwym i – choć zarabia grube miliony – łasym na publiczne pieniądze.

zwierciadło

KATARZYNA NOSOWSKA,
PIOSENKARKA, TEKŚCIARKA, KOMPOZYTORKA

Dobrałam się ostatnio do kartonów z zasobami, które ciągnę przez całe moje życie. Zobaczyłam zdjęcia moich byłych chłopaków, listy od nich, notatki, kartki – i wszystko to wypierdzieliłam. Co za nieprawdopodobna ulga! Po co to w ogóle trzymałam?! Jeden już nie żyje, relację z drugim niezbyt dobrze wspominam… Dzięki temu zrobiłam miejsce na nowe. Trzymałam też swoje rysunki z przedszkola, potężna teczka. Zachowałam tylko te, które w moim odczuciu są urocze, wszystkie pozostałe – do kosza.

FOT. BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SARKA FARKA

eprasa.pl 7d57c361f1

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Henryk Sienkiewicz.

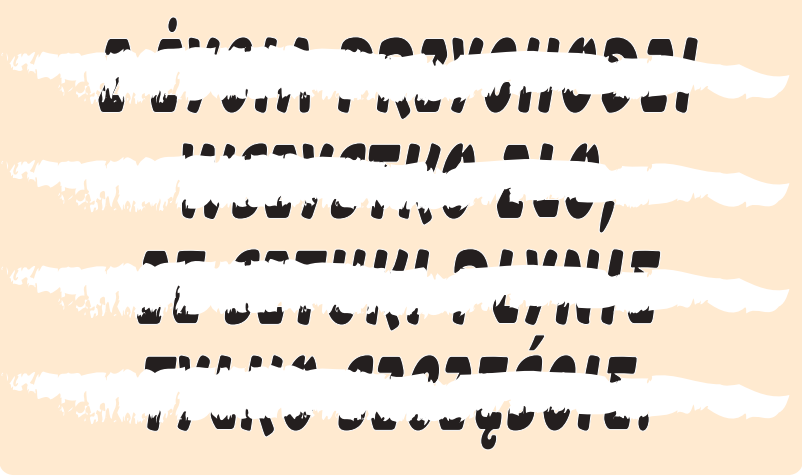

Z ŻYCIA PRZYCHODZI WSZYSTKO ZŁO, ŻE STUKI PŁYNIE TYLKO SZCZĘŚCIE.

Aby język giętki…

HUBERT URBAŃSKI O NICNIEROBIENIU

Chciałbym pracować do ostatniej prostej na Powązkach. Praca jest dla mnie tym, czym paliwo dla silnika.

PROF. MAGDALENA SZPUNAR O WSPÓŁCZESNYCH ZWIĄZKACH

Bardzo łatwo w nie wchodzimy, ale równie łatwo z nich wychodzimy. Ludzi traktujemy jak rzeczy, a rzeczy jak ludzi.

KRZYSZTOF VARGA O FILMIE „CHOPIN, CHOPIN!"

Spośród wszystkich filmów biograficznych, jakie nakręcono w Polsce w ostatnich latach, jest klęską najbardziej zawstydzającą.

JERZY RADZIWIŁOWICZ O AKTORSTWIE

Generalnie najciekawsze w tym zawodzie jest usłyszeć siebie inaczej i pomyśleć, co to znaczy, dlaczego tak jest.

ŁUKASZ WARZECHA O STANISŁAWIE ŻARYNIE

Znany z zaciekłego polowania na „ruskie onuce" i wygłaszania potwornych dyrdymałów – zawsze ze śmiertelnie poważną miną.

KACPER BAJON O URSYNOWIE

Jestem przywiązany do Ursynowa, siedzi we mnie jego egalitaryzm. To była wielka sprawa, że ludzie z różnych środowisk mieszkali obok siebie w świetnie zaprojektowanej przez Marka Budzyńskiego przestrzeni.

URSZULA DUDZIAK O BRANIU

Mam teraz największe branie, jakie miałam kiedykolwiek. Mam błysk w oku, mam seksowny głos, mam w sobie żar.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7d57c361f1

Kaja Solecka, Taniec

Kaja Solecka, Zapatrzenie

WIDOK Z OKNA

Prace Kai Soleckiej i Andrzeja Borowskiego nie są jedynie zapisem pejzażu. To refleksja nad strukturą i kolorem, subtelnością i ciszą. Artyści pytają, jak obrazy za szybą wpływają na nasze nastroje, myśli i sposób doświadczania rzeczywistości. Okno pełni tu funkcję ramy i jednocześnie granicy: łączy i dzieli, otwiera przestrzeń, ale też ją porządkuje. Przy czym „okien" jest wiele: w pracowni, w podróży, a także te metaforyczne, powstające w pamięci i emocjach. Widok z okna staje się symbolem przejścia między różnymi światami, zaproszeniem do zatrzymania się na moment i obserwacji.

Galeria Wirydarz
Lublin, ul. Grodzka 19
do 28 lutego

Kaja Solecka, Na plaży

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

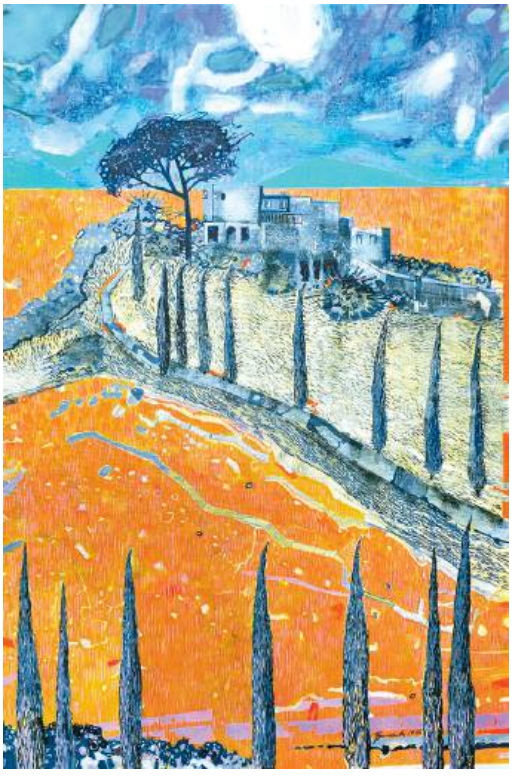

Andrzej Borowski, Z Murlo do Buonconvento

eprasa.pl 7d57c361f1

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 7d57c361f1

TEATR CAPITOL

Sylwester 2025/2026

Gdańsk

AUTOR Marc Camoletti

PRZEKŁAD Bartosz Mierzejewski

REŻYSERIA Wojciech Apperzyk

Boeing Boeing

Kraków

PRZEKŁAD Elżbieta WOŹNIAK

AUTOR Robin HAWDON

REŻYSERIA Jerzy BOŃCZAK

SCENOGRAFIA Rimaldo SOLARZ

KOSTIUMY Sylwester GOLPIŃSKI

OPRACOWANIE MUZYCZNE Marian SZAŁKOWSKI

Prezent urodzinowy

Poznań

ŁÓŻKO PEŁNE CUDZOZIEMCÓW

AUTOR DAVE FREEMAN

REŻYSERIA JERZY BOŃCZAK

PRZEKŁAD ELŻBIETA WOŹNIAK

Warszawa

UNE IDEE GENIALE

GENIALNY POMYSŁ

Autor SÉBASTIEN CASTRO

Przekład BARBARA DESSOBIEWSKA

Reżyseria WOJCIECH ADAMCZYK

PÓŁ ŻARTEM...

tłumaczenie tekstu i reżyseria OLAF LUBASZENKO

autor PETER QUILTER

ZŁOTE HOLLYWOOD BURLESKA

Sylwester 2025/2026
z najlepszymi komediami!

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 7d57c361f1